

urban waite



OSTATNI CZŁOWIEK **OSTATNIE ZLECENIE** OSTATNIA SZANSA

JUŻ JESTEM MARTWY

urban waite

JUŻ JESTEM MARTWY

Z angielskiego przełożył
KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI



Tytuł oryginału:
DEAD IF I DON'T

Copyright © Urban Waite 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Krzysztof Sokołowski 2015

Redakcja: Ewa Pawłowska

Zdjęcia na okładce: © Aurora Open/Getty Images, © Aaron Lam/Getty Images

Projekt okładki: © Simon & Schuster UK Art Department

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros
Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7885-545-3

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



*Matce, która, kiedy byłem dzieckiem,
nauczyła mnie, że brylanty świecą i w popiele*

Żałuję, że ta droga nie skręciła w inną stronę.

Daniel Woodrell, *Tomato Red* (Pomidorowa czerwień)

Jakże straszna jest dla człowieka świadomość, kim mógłby być. Jak mógłby żyć. Tymczasem wiedząc to, trwa, czekając śmierci, i to jest to.

Oakley Hall, *Warlock*

Nowy Meksyk
wczesne lata pięćdziesiąte

Dzień pierwszy

Telefon budzi go o w pół do czwartej rano. Ray leży z otwartymi oczami w ciepłym, pomarańczowym blasku światła z sąsiedniej przyczepy, przedzierającym się przez zasłonę nad głową, a przez rozsunięte okno do środka wdziera się surowy przedwieczny zapach pustyni nocą.

Przesuwa dłońmi po twarzy. Telefon na nocnym stoliku wciąż dzwoni. Czy sam się o to nie prosił? Czy nie tego oczekiwał? Przygryza wargę, czuje słony smak zaschłego na skórze potu. Przeciera twarz, próbując jakoś ją ożywić, czuje ból.

Telefon na stoliku przy łóżku wciąż dzwonił. Ray poszukał go po omacku. Na podłogę posypały się puszki po piwie, jedna z nich upadła ciszej, bez brzęku, dowód, że była na wpół pełna.

Za wcześnie, cholera! Za wcześnie!

Uniósł się. Usiadł. Postawił telefon na udach, podniósł słuchawkę do ucha. Oparł się plecami o ścianę i czekał.

– Gotów się zabawić? – spytał Memo.

– Co rozumiesz przez „gotów”?

Głos Mema załamał się. Ray wyobraził sobie pogardliwy uśmiezek na jego ustach.

Myślałem, że tacy starzy faceci jak ty wstają przed wschodem słońca.

– Nie jestem „takim starym facetem” – odparł Ray.

– Spokojnie – powiedział Memo. – To komplement.

– Tak? Co rozumiesz przez „komplement”?

– Będzie jak za dawnych dobrych czasów.

– Mam nadzieję, że nie będzie.

Cisza. Trwała chwilę, nim przerwał ją Memo.

– Dzwonię powiedzieć ci, że dzieciak w drodze. Co było, a nie jest...

Ray smakował sylaby: „by-ło, by-ło”.

– Posłuchaj – powiedział Memo. – To mój siostrzeniec. Podziwia cię. Przyszłość należy do niego, więc spróbuj przypilnować, żeby go nie zabili.

Siostrzeniec Mema nazywał się Jim Sanchez. Dla Raya był dzieciakiem na warunkowym, po pięciu latach odsiadki. Właściwie nie wiadomo, czego się po nim spodziewać.

– Nie mówiłem ci, że chcę robić za opiekunkę do dzieci.

– Ale mówiłeś, że nigdy nie będziesz dla nas pracował.

– Świat się zmienia.

– A owszem, owszem.

Memo przerwał połączenie. Ray zsunął się na łóżko, odstawił telefon na nocny stolik. Życie nie ułożyło się, jak planował.

Zgodził się znów pracować dla Mema z jednego powodu: miała to być praca poza Coronado. Jego rodzinnym miastem. Tam się ożenił, doczekał syna, założył rodzinę. Przed przeszło dziesięć laty, dobiegał wtedy czterdziestki. Jego życie bardzo się od tamtych czasów zmieniło. Zmieniło się, kiedy zaczął pracować dla Mema. Brzuch Marianne zaokrąglił się, żadnych widoków na pracę w dolinie, trzeba koniecznie odłożyć trochę grosza.

Dziesięć lat, a jego noga nie postąpiła w Coronado, przez cały ten czas nawet nie zadzwonił do domu. Zostawił dwunastoletniego syna. Obawiał się, że dziś syn nawet by go nie poznał. O tym wszystkim myślał, kiedy zadzwonił Memo i zaproponował pracę, okazję na powrót do domu, choć samemu Rayowi jego własne powody przez te dziesięć lat ani razu nie wydały się wystarczająco dobre. Miał za co być mu wdzięczny, przynajmniej tyle. Niczego innego nie pragnął, od bardzo dawna, ale nie wiedział, jak to zrobić, coś tak prostego, spotkanie z synem, albo chociaż możliwość zobaczenia go. Mógłby zacząć nowe życie z dala od przemoicy tych dziesięciu ostatnich lat. Memo był źródłem wszystkiego.

Kiedy się spotkali, był młodym mężczyzną, chudym, muskularnym, z ostrymi meksykańskimi rysami twarzy. Później, po

śmierci ojca, rysy te wypełniły się, twarz zaokrągliła i Memo zaczął wyglądać solidnie jak pralka, jak lodówka. Wyłysiał na czubku głowy, resztę włosów golił, czaszka błyszczała mu, jakby była ze stali nierdzewnej.

Ray wolał ojca od syna, ale to syn poznał się na jego talencie. Memo awansował, a on awansował wraz z nim. Był dobry w tym, co robił, w karaniu ludzi, którzy stawali na drodze Mema. Wzmacniał siły rodziny, żeby sprowadzane przez nią narkotyki zawsze docierały na miejsce. Ale potrafił także być ostrożny. Przetrwał tyle czasu, kręcąc nosem, wybierając bez pudła właściwą robotę spośród tych, które mu oferowano.

Miał ciemną skórę, gęste siwe włosy na skroniach i okrągłą meksykańską głowę, dziedzictwo od strony matki. Przyzwyczał się do niej, bo kiedy dorastał, widywał identyczne u jej kuzynów i braci. Krótko przycięte włosy podkreślały zdecydowany zarys szczęki, a szorstki zarost dodawał charakteru rysom twarzy.

Podniósł wzrok, rozejrzał się po maleńkim pokoju, zobaczył prawie wyłącznie porozrzucane ubrania. Usta miał wewnątrz suche, obolałe, czuł w nich smak prosty i czysty, jak nierozcieńczonego alkoholu. Wyschnięte na wiór, to przez picie. Siedmiu krasnoludków już maszerowało mu wewnątrz głowy, gotowych do codziennej pracy, łupania kamieni. Wysoko wznosili miniaturowe kilofy, uderzali nimi w czaszkę, rytmicznie, jeden za drugim.

Wziął ze stołu buteleczkę tylenolu, wysypał na rękę trzy pastylki, przełknął je na sucho, poprawił antacydem, na zgagę, i zakończył jedną z tych dziesięciomiligramowych pigułek, które doktor z Wirginii kazał mu brać dwa razy dziennie. Siedmiu krasnoludków nadal waliło kilofami w jego czaszkę, śpiewając piosenkę, którą dopiero teraz udało mu się wygrzebać z zakamarków pamięci. Śpiewał ją kiedyś synkowi: *Hej ho, hej ho, do pracy by się szło.*

Nalał wody do umywalki. Pojedyncze światełko ściennej lampki rzucało żółty poblask na jego twarz. Lustro zaparowało, zasłaniając wpatrzoną w nie okrągłą gębę.

Przytrzymał dłoń pod wodą, sprawdzając jej temperaturę, a potem obiema rękami ochlapał twarz i czekał, aż ścieknie po policzkach. Ból z tyłu głowy słabł, odpływał powoli, po odrobinie. Lekarstwa działały. Krasnoludki wybrały się na wyprawę, badając głębie pnia jego mózgu.

Gdy tylko Memo powiedział mu o pracy, Ray podjął decyzję, że ta będzie ostatnia. Wraca do domu, do Coronado. Wraca do domu zobaczyć syna. Oszczędności wystarczą na kilka pierwszych lat. Potem będzie musiał poszukać czegoś zwykłego, może zostanie prostym robotnikiem na polach naftowych, ale na razie ma dość. Ostatnia praca przyda się, tak na wszelki wypadek.

Przez lata spędzone poza miastem starał się utrzymać w formie. Walczył z tłuszczakiem, który pojawiał się na brzuchu, napiął gumkę slipek, rozpieął dzinsy na udach. Codziennie rygorystycznie sprawdzał wytrzymałość mięśni, aż na skórę występowały wielkie krople potu, przemaczały koszulę i spodnie. Mimo wszystko po opuszczeniu Coronado przybrał na wadze. Wspomnienie po sprawnych mięśniach objawiało się w zmarszczkach na czole i skrzywieniu warg widocznym w lustrze, gdy poruszał szczęką, rozsmarowując po policzkach krem do golenia.

Golił się bardzo ostrożnie. Kolejne pociągnięcia ukazywały coraz to nowe pasy skóry nieokreślonej, brudnobrązowej barwy, mieszanki różowej cery ojca i ciemnej cery matki. Prawdziwy brąz zanikał wraz ze zgolonymi włosami, odziedziczony po ojcu orli nos zaznaczał swą obecność coraz wyraźniej.

Memo powiedział, że to wielka szkoda, że tak to się ułożyło. Ray nie wiedział, co ma z tym począć. Cokolwiek powie, nie będzie mieć wpływu na przeszłość, bo nie może. Nic nie zwróci mu Marianne, nie wyleczy jego synka, Billy'ego. Na to Memo nie mógł poradzić, Ray wiedział o tym doskonale, wiedział, jak to działa, wiedział, że przeszłość się nie zmieni, ale przyszłość może.

Gdzieś daleko, na samym krańcu osiedla przyczep, zaszczekał pies. Zachrząścił żwir pod oponami samochodu. Ray spojrzał na zegarek. Podszedł do kuchennego okna w samą porę, by zobaczyć mężczyznę, pewnie siostrzeńca Mema, Sancheza. Przyjechał

fordem bronco, szybko, wcisnął hamulec. Zabłyśły światła stopu, barwiąc żaluzje kuchennego okna na czerwony kolor grubego pustynnego piasku.

Grzebał w szafce nad lodówką w poszukiwaniu pudełka po krakersach. Trzymał w nim broń. Szafka była wysoko, widział tylko ścianki pudełek, musiał macać w ciemności, wyciągać jedno po drugim, a potem wkładać je na miejsce i przesuwać. Pamiętki poprzedniego życia rozsiane po całej przyczepie, wsunięte pod ławę w dużym pokoju, wciśnięte pod umywalkę w łazience, ukryte za wypełnionymi do połowy butelkami szamponów. Same drobiazgi, trzymał je, bo sądził, że kiedyś może mu w czymś pomogą, ale teraz nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

Zapatrzył się na pudełko z zabawkami Billy'ego. Znał wszystkie razem i każdą z osobna: małego pluszaka, plastikowe figurki bohaterów gier, gumową kaczuszkę, towarzyszkę kąpielii. Zabawki, a nawet samo wygładzone od dotyku palców pudełko, przypominały mu powód, dla którego chciał się wyrwać z tego biznesu. Nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał w nim pracować.

Memo powiedział, że trzeba tylko pogadać, ale Ray wiedział, że nie skończy się na gadaniu. Nigdy nie kończy się na gadaniu. Wiedział też, że już nie ma czasu, bo siostrzeniec Mema czeka, by wyszedł z domu i wziął się do roboty.

Odłożył zabawki na miejsce. Znalazł pudełko ritzów, wyjął z niego przezroczystą plastikową torebkę pełną spleśniałych sucharów i rugera. Matowa czerń nie odbijała światła kuchennej lampy. Rozkładał go, czyścił i składał po każdej robocie. Owinął pistolet w kurtkę, a potem usłyszał pukanie do drzwi.

Sanchez stał przy schodkach do przyczepy. Głowę otaczała mu para oddechu. Ray pchnął drzwi i wyszedł na czyste, suche powietrze. Było jakieś pięć stopni, nie więcej. W półmroku osiedla przyczep stał bronco z otwartymi drzwiami od strony kierowcy, z radia płynęła latynoska muzyka. Poza tym wszystko jak zawsze: gdzieś przy wjeździe szczekanie psa, przyczepy pogrążone w cieniach jak rozrzucone po obu stronach wąskiej zwirowej uliczki klocki, każdy inny, obdrapany i pogięty przez lokatorów

przychodzących, odchodzących, pozostawiających ślady. Stara Dalton, wynajęta od właściciela za pięćdziesiąt dolców na tydzień, spoczywała za jego plecami na kołach i betonowych blokach.

Ray widział, jak chłopak się porusza, jak patrzy na tę przyczepę, jakby nigdy przedtem nie widział czegoś takiego i miał kłopoty z uwierzeniem świadectwu swych oczu. Podobnie jak wuj Memo, Jim był Meksykaninem, sporo od niego wyższym, młodym, muskularnym, z wygoloną głową i pasem czarnych włosów ciągnącym się od ucha do ucha. Miał na sobie bluzę z kapturem i białe tenisówki.

– Nowa krew? – spytał Ray.

Chłopak spojrział na niego. Uśmiechnął się.

– A ty stara?



Kilka godzin później Ray rozsiadł się na siedzeniu bronco zaparkowanego wśród krzaków akacji, osłaniających samochód od strony ciągnącej się przed maską drogi gruntowej. Dojechali tu międzystanową z Las Cruces, nawet nie zamieniając słowa. Po trzydziestu paru kilometrach Sanchez zjechał na pobocze. Ray usiadł za kierownicą. Pojechali na południe, w stronę granicy z Meksykiem, drogą, którą Ray nie jechał od dziesięciu lat. Utworzona, z dziurami zalanyymi smołą. Na pustyni zamarzała nocą, rozgrzewała się w dzień. Trzydziestometrowe betonowe odcinki przejeżdżało się z łomotem regularnym jak bicie serca. W powietrzu wisiał zapach kwitnących nocą kwiatów i pyłu unoszącego się w chłodnym pustynnym powietrzu.

Siedzący w samochodzie Ray od dawna wiedział, że życie usuwa mu się spod stóp. Zanosił się na to, że dzisiejszy dzień nie będzie wyjątkiem. Po niemal dwóch godzinach zjechali z biegnącej przez dolinę szosy w prowadzącą wzdłuż urwiska drogę gruntową. Potem siedzieli, patrząc, jak powoli jaśnieje niebo na wschodzie. Nie chciał tu być, pomagała mu jedynie słaba nadzieja, że

wszystko zaraz się skończy, a z tym wszystkim skończy się życie, jakim żył do tej pory. Życie, na które nie było lekarstwa.

Miał plan. O nim starał się teraz myśleć. Dorastał, pracując dla ojca na polach naftowych Coronado. Codzienne ćwiczenia wyrobiły mu barki i mięśnie ramion. Ćwiczył do dziś, robił pompki na podłodze, aż serce zaczynało go boleć, a płuca wpompowywały w krew płynny żar.

Sanchez przerwał milczenie.

– Wiem od wuja, że się wycofałeś.

Silnik tyka cicho, chłodzony powietrzem poranka.

– Przestałem pracować dla Mema – powiedział Ray. Przyglądał się Sanchezowi, nieruchomemu w fotelu pasażera. Krótko przycięte włosy, gęste brwi, napięta skóra twarzy o meksykańskich rysach. – Nie wycofałem się, po prostu nie pracuję już dla twojego wuja.

– Ale teraz dla niego pracujesz, nie?

– Mam swoje powody.

Bronco został skradziony z parkingu poprzedniej nocy. Założono mu migacz, podłączony bezpośrednio do przewodów przednich świateł. I reflektor punktowy nad zewnętrznym lustrem kierowcy. Poruszany dźwignią, przeprowadzoną do wnętrza w gumowym przewodzie. Sanchez podjechał do Raya nocą, nim słońce wychyliło się zza horyzontu, w workowatych džinsach i mającej chronić przed chłodem czarnej bluzie. Czuć go było smarem i papierosami.

Ray ma na sobie impregnowaną kurtkę z grubego płótna, jak zawsze. Kurtkę z podpinką, od chłodu. Pod kurtką flanelowa koszula, zapięta aż prawie pod szyję. Stare wytarte džinsy, poplamione przy innych pracach, innych kłopotach, ale mimo wszystko nosił właśnie te. Zapach szaławii i pustynnego pyłu wpływa przez przewody wentylacji, kiedy tak siedzą, rozmawiają, z oczami wpatrzonymi przed siebie, w mrok kolejnego dnia.

– Dzięki tej forsie wyniosę się z Las Cruces – powiedział Ray.

– Dokąd? – Sanchez roześmiał się. – Na Florydę? Nie jesteś jeszcze taki stary, poza tym wiesz, że nie można się wycofać. Nie

w tym zawodzie. – Wyjął torebkę tytoniu, bibułki.

– W tym zawodzie? – zdziwił się Ray.

– Wiesz, o czym mówię.

Ray powiedział, że wie. Sporo wiedział o tym, o czym mówił Sanchez. Może nawet za wiele? Tak naprawdę chciał się tylko wy dostać, przed dziesięciu laty znalazł drogę, ale nie doszedł tą drogą tam, gdzie wiedział, że powinien pójść.

– Szczęściarz z ciebie – powiedział Sanchez, skręcając papierosa.

– Szczęściarz – zgodził się z nim Ray. – Próbowałem nie popełnić błędu.

– Z tego, co słyszałem od wuja, to był wypadek. Ale mimo to popełniono błędy.

– Błędy? – powtórzył Ray.

– Twój kuzyn. Stracił pracę, nie? Był szeryfem i stracił pracę, bo stało się to, co się stało. Zginęła kobieta z kartelu, tylko dlatego, że nie chciałeś odpuścić.

Ray siedział i myślał. Próbował przypomnieć sobie, co powiedział wtedy do kuzyna. Do Toma. No właśnie, co powiedział? Dokładnie. Jak to ujął? Żona Raya, Marianne, nie żyje, jego syn siedzi z nimi przy stole, na wysokim krzeselku. Ray i Tom rozmawiają, Tom w swoim starym mundurze, kapelusz rzucony na stół obok połówki zgrzewki piwa, które pił Ray. Pił piwo za piwem, jakby nowy dzień miał nigdy nie nadejść, jakby nie chciał pamiętać, co kazał Tomowi zrobić.

– To ty powinieneś tam być – powiedział Sanchez.

– Ja próbowałem wtedy nie obsrywać własnego podwórka. Coronado miało własne problemy. Nie potrzebowało moich.

– Memo zawsze powtarzał, że to cię załatwiło. Powiedział, że potem robiłeś już wszystko po swojemu. Powiedział, że wtedy byłeś najlepszy.

– Użył tego słowa? Że byłem najlepszy?

– Od niego wiem, że zabiłeś braci Alvarezów. W osiemdziesiątym drugim.

– To było dawno temu – powiedział Ray.

– Słyszałem, co zrobiłeś w Deming, parę lat później – mówił dalej Sanchez. – Słyszałem, co się stało pod Las Cruces, o tym domu na farmie, na północ od miasta. Wuj powiedział, że byłeś...

– Nie jestem już tamtym człowiekiem – przerwał mu Ray. Odwrócił się, spojrzał na wpół wypalonego papierosa, a potem podniósł wzrok na palącego go Sancheza. – Ile masz lat?

– Dwadzieścia sześć.

– I kiedy to wszystko słyszałeś?

– Uzbierało się przez jakiś czas. Rodzinne rozmowy. Słyszałem, że odwalasz kupę roboty w latach siedemdziesiątych i że w osiemdziesiątych przeszedłeś na zawodowstwo.

– A słyszałeś, że miałem żonę? I małego synka?

Ray cały czas obserwował Sancheza. Młody człowiek nie patrzył mu w oczy, tylko przez boczną szybę. Obserwował własne odbicie.

– Słyszałem o tym – potwierdził.

– Pomyłka – powiedział Ray. Otworzył okno, patrzył, jak jego oddech ulatuje chmurką w chłodne powietrze poranka. Można pracować, mówiąc sobie, że to biznes i tylko biznes. Zupełnie co innego przynieść pracę do domu, do kuchni, gdzie jada się obiady, gdzie żony gotują, a dzieci raczkują po podłodze.

– Ale poradziłeś sobie – zauważył Sanchez. – Udało ci się jakoś sobie poradzić.

– Nie jestem już tamtym człowiekiem, rozumiesz? – Ray wpatrywał się w ciemność, przypominając sobie zdarzenia, od których uciekł przed dziesięciu laty, o których nawet myślał, że zostawił je daleko za sobą. – Skończyłem z tym.

– Ale to wuj po tobie posprzątał, tak?

– Był dobry w tych sprawach – przyznał Ray. – W sprzątanii.

– Przykro mi z powodu twojej rodziny – powiedział Sanchez. Wreszcie. – Ale to przecież niczego nie zmienia.

Powinieneś o tym wiedzieć.

– Nie jestem już tamtym człowiekiem.

– Kimkolwiek jesteś, zadzwonili do ciebie, bo znasz okolicę i dobrze odegrasz swoją rolę. Jak zawsze.

– To wszystko?
– To wszystko, czego chcemy.
– Myślisz, że ten facet po prostu się zatrzyma?
– Na dachu miga światło. Pomyśli, że jesteś gliniarzem. Gdyby próbował uciec, dałby powód do przeszukania, a tego z całą pewnością nie zechce. Masz tylko podejść do niego, poprosić o prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Odegraj rolę, zaświeć latarką w szybę, wyjmij ładunek spod ławki.

Ray wyprostował się na siedzeniu. Nie odrywał wzroku od szyby, nawet kiedy słuchał Sancheza. Wiedział, że obok, niewidoczna w mroku wnętrza bronco, spoczywa strzelba myśliwska o dużym zasięgu. Wiedział także, że to stanowczo za wielka rzecz, jak na rozmowę na poboczu drogi.

– Idziesz ze mną? – spytał. Rugera, dziewiątkę, miał w kieszeni tej swojej ocieplanej kurtki.

Strzelba stała oparta o drzwi, w zasięgu ręki Sancheza. Po drodze Sanchez odbezpieczał ją i zabezpieczał, co jakieś dziesięć sekund rozlegał się metaliczny trzask, który odliczał czas.

– Tego byśmy nie chcieli – powiedział. – Parę lat temu, nim mnie posadzili, pracowałem dla tego człowieka. Dość regularnie. Będzie wiedział, po co się tu zjawiłem, i co ważniejsze, będzie wiedział, że nie jesteś gliniarzem. – Odszukał wzrokiem strzelbę, sięgnął po nią, odbezpieczył. – Jeśli wysiądę, to będzie znaczyło coś zupełnie innego.

– Naprawdę myślisz, że tak po prostu odda mi narkotyki?

– Oślepiaj go latarką, niech nie zobaczy ani twojej twarzy, ani mojej. Jeśli dobrze to rozegrasz, zabierzesz ładunek i wypuścisz go po upomnieniu. Nie będzie mógł nic zrobić. Nie zaczepi gliniarza, nie wróci do Coronado po nowy towar. Będzie załatwiony.

– Kim są ci ludzie? – spytał Ray.

– Samochód, na który czekamy, wyjeżdża z Coronado raz w miesiącu. Odbierają narkotyki na granicy. Przewożą na północ, do Deming, a potem międzystanową dziesiątką na wschód, do Las Cruces, albo na zachód, do Tucson. Wszystko przechodzi przez takiego jednego Daria Campa. Ma bar w miasteczku.

– Więc tylko o to chodzi? Przeszukanie?

Sanchez zgarnął papierosy z półki pod przednią szybą do paczki na tytoń, którą trzymał w ręku.

– To było nasze terytorium – powiedział.

– Myślałem, że to ciągle jest wasze terytorium – zauważył Ray.

– Bo przecież o to chodzi, nie? Czy nie dlatego mój kuzyn stracił pracę i zastrzelił tę kobietę, że Memo próbował ustawić wszystkich przeciw wszystkim?

– Nie wiem, co słyszałeś, ale kartel próbuje zabrać wszystko wszystkim. Nasze terytorium zmniejszyło się o dobrą połowę.

– Może jest jakiś powód, że już nie jest wasze? Myślałeś o tym?

Sanchez schował gotowe skręty do torebki tytoniu. Zabrał się za następne, a Ray tylko na niego patrzył. W końcu Sanchez zdecydował się odpowiedzieć.

– Wypadłeś z obiegu. To ci muszę przyznać. Myślisz, że wiesz, jak to jest, ale gównie wiesz. Musisz być bardzo ostrożny, kiedy tam podejdziesz, kiedy zabierzesz towar. Nie bądź taki pewny siebie tylko dlatego, że tkwisz w tym dłużej ode mnie. – Umilkł i z podziwem obserwował swoje dzieło, na pół skręconego papierosa. – Bądź ostrożny z każdym, kto pracuje dla Daria. On jest naprawdę dobry. Wyjątkowy. Nie daj mu powodu. Najmniejszego. Kiedy będziesz odbierał towar, nie pokazuj twarzy. Zrób, co trzeba, to nic nam nie będzie.

– Robię to od bardzo dawna – przypomniał mu Ray.

– To prawda. Wuj mówi, że jesteś najlepszy. Powiedział mi, że nikt nie mógł się z tobą równać. Ale moim zdaniem powinieneś wiedzieć, że Dario to nie jest ktoś, z kim możesz się czuć swobodnie. Pochodzi z Juarez. Jest z kartelu. Ostatniemu facetowi, który spróbował tego, czego my próbujemy, zdarł skórę z dłoni, od nadgarstków po czubki palców. Mówią, że skórę trzyma na biurku, a kiedy robi się chłodno, wkłada jak rękawiczki.

– Wygląda mi na to, że to Memo kołysał cię do snu. – Ray roześmiał się. – Co to jest, twoja ulubiona bajeczka na dobranoc?

Sanchez nie patrzył na niego. Siedział, kręcił głową i robił papierosa.

– Memo opowiedział ci tę historyjkę? – nie ustępował Ray. – Może myślał, że dzięki temu będziesz grzeczniejszy?

Ale wiedział, że w ciągu zaledwie kilku minut wszystko w nim oklapło. Kartel – pomyślał. Ten sposób na życie nie był już atrakcyjny. Nie taki atrakcyjny jak kiedyś.

Na jego oczach światło zrobiło się ziarniste, różowe, gruntowa droga wyrzała z cienia.

– Lepiej by było, gdyby ten facet już się pojawił – powiedział.

– Pojawi się, pojawi – burknął Sanchez, wsypując resztę tytoniu do bibułki, śliniąc ją i zalepiając.

– To się jeszcze zobaczy. – Ray patrzył przez krzaki akacji, szukając miejsca na drodze, tak żeby biegła prostopadle do linii jego wzroku. – Wolałbym nie zrobić z tego zbyt dużego bałaganu, bo nie będzie mi się go chciało sprzątać.

– Nie będzie bałaganu.

Ray usłyszał przez okno głosy budzących się ptaków, szelest wiatru w akacjach, suchy trzask uderzających o siebie gałęzi. Państwowa ziemia, zapach krów i kurzu... tylko to tu było, a pola naftowe ojca leżą przecież zaledwie kilka kilometrów na południe, od lat nie był tak blisko nich. Większość wydzierżawiono teraz na pastwiska kilku sąsiednich rancz.

Wysunął rękę za okno. Dłoń trzymał prawie na lusterku. Zaczynał się denerwować, tak blisko poprzedniego życia i rodziny, wobec której nigdy nie był szczery do końca.

Wychylił się. Poruszył szperaczem. Chciał to załatwić jak trzeba. Chciał, żeby wyglądało oficjalnie. Jeśli załatwi to jak trzeba, będzie wolny, dopóki starczy mu pieniędzy, a jeśli zagra sprytnie, to nawet dłużej.

Manewrował szperaczem i obserwował drogę, kiedy najwyżej piętnaście metrów od nich przejechał stary chevrolet pick-up z włączonymi światłami postojowymi.

Dogonili go w minutę, Ray prowadził, Sanchez siedział obok, światło migacza sięgało tylnej klapy chevroleta. Ray włączył szpe-

racz. Przez tylną szybę widział kapelusz z szerokim rondem na głowie kierowcy. I skórę, białą w silnym świetle. I pasażera. Pasażera, którego obaj z Sanchezem nie brali pod uwagę. Ale pasażer tam był.

Ray odbezpieczył rugera.

– Wiesz coś o tym? – spytał. Pochylił się, wsunął pistolet za pasek. Patrzył na starego pick-upa stojącego trzydzieści metrów przed nimi. Światła postojowe ledwie przebijały się przez poranną mgiełkę.

– A co za różnica? – odparł Sanchez. – Nic się nie zmieniło.

Ray otworzył drzwi, popychając je ramieniem. W lewej ręce trzymał latarkę. Uderzał nią o nogę, w rytm kroków. Jasne światło szperacza docierało wszędzie, przed sobą miał swój cień, deptał go, czarną bezdenną otchłań. Wokół nie było nic oprócz zapachu kwiatów pustyni, pyłu i krowiego nawozu. I wąskich pasm kwitnącego na żółto tytoniu szarego, rosnącego jak chwasty po obu stronach drogi, zaledwie widocznego w słabym świetle brasku. Zbliżył się do furgonetki. Zapalił opartą na ramieniu latarkę. Wiedział, że przy policjantach tacy ludzie często robią się nerwowi.

Już prawie zrównał się z kabiną. Uniósł latarkę. Znał tego człowieka, Jacoba Burnhama. Pracował tu, kiedy Ray był jeszcze dzieckiem. Teraz, w jednej chwili, uświadomił sobie także, dlaczego Memowi tak bardzo zależało, żeby to właśnie on wykonał tę robotę.

Ray znał Burnhama przez całe życie. Przewozili razem narkotyki, kiedy zaledwie startował w tym interesie. Pierwsze spotkanie z Memem załatwił mu właśnie Burnham, facet dwadzieścia lat od niego starszy, blady, z prześwitującymi spod białej skóry niebieskimi żyłkami i włosami srebrnymi jak rtęć nawet wtedy, przed tyloma laty.

Burnham był tutejszy, mieszkał w Coronado od zawsze. Przewoził narkotyki przez granicę, Ray słyszał o nim różne rzeczy jako dziecko, powtarzano je szeptem, gdy mijał ludzi, gdy skręcał za rogiem i znikał im z oczu. Teraz obaj pracowali w tym samym

interesie. Pracowali w tym samym interesie dłużej, niż Ray miał ochotę przyznać. Zajmowali się tym samym, uprawiali ten sam zawód; wiedział, że ci sami ludzie, z Coronado, pewnie ciągle jeszcze wymawiają szeptem jego nazwisko, jak przedtem wymawiali nazwisko tego starucha.

Nie spuszczał z niego wzroku. Burnham czekał, siedząc nieruchomo za kółkiem. Światło latarki na szybie od strony kierowcy z pewnością go oślepiało. Ray upewnił się, że stary nie trzyma nic w rękach. Zastukał knykциями w szybę. Czekał, póki się nie otworzy.

– Dzień dobry, panie władzo.

– Proszę o jakiś dowód tożsamości – powiedział Ray, zmieniając głos tak, by nie był podobny do niczego, co Burnhamowi mogłoby się z kimś kojarzyć.

Burnham sięgnął do tylnej kieszeni. Jego beżowy kowbojski kapelusz, płaski, z szerokim rondem, nie przypominał żadnego noszonego przez kogokolwiek w Coronado. Wyjął portfel, z portfela prawo jazdy. Podał je Ray owi.

– Jacob Burnham – odczytał na głos Ray. Przesunął kciukiem po prawie jazdy, przyjrzał się zdjęciu. Skóra blada jak kreda, pomarszczona, srebrnosiwie włosy szesane na prawo, nierówno przycięte, jakby strzygł się sam. – A pański pasażer?

Stary zerknął na siedzącego obok mężczyznę, a potem znów spojrzął na Raya.

– Nazywa się Gil Suarez – powiedział.

– Doprawdy? – Ray oddał mu prawo jazdy. – Proszę wysiąść z samochodu.

Nadal trzymał latarkę nad ramieniem. Burnham zawahał się. Spojrzął na niego, jego oddech przeszywał strumień światła chmurką pary, rozpraszającą się i znikającą w ciemności po drugiej stronie.

– Takiego jak ty jeszcze nie widziałem. Nie włożyłeś munduru jak zwykły zastępca szeryfa.

– Nie jestem zwykłym zastępcą szeryfa – powiedział Ray. Stary zmrużył oczy, chciał coś zobaczyć, ale patrzył w bok, tam

gdzie światło nie było aż tak silne. – Przykro mi, ale w dzisiejszych czasach nie wiadomo już, kto tu jeździ i po co. Wolę mieć was tam, gdzie nic nie zasłania mi widoku. Nie musicie się zastanawiać, co macie w ręku albo pod siedzeniem.

Burnham westchnął. Wypuścił powietrze z płuc ze świstem, jakby skakał z wysoka do bardzo zimnego jeziora.

– Nie zrobiliśmy nic nielegalnego – powiedział. – Mamy prawo pozostać tu, gdzie jesteśmy.

– Znam wasze prawa. – Ray spojrzał na Gila Suareza. Oceniał, czy ten młodszy nie będzie bardziej niebezpieczny. Wrócił spojrzeniem do starszego. Czekał, aż wysiądzie, nie spuszczać z niego wzroku. Rękę trzymał prawie na biodrze. – Chcę po prostu coś sprawdzić – powiedział głośno.

Burnham postawił stopę na szosie. W tym momencie Gil Suarez spróbował szczęścia. Pistolet zmaterializował się w dłoni Raya, który okrążył kabinę furgonetki i szukał czystej pozycji do strzału. Gil, przygarbiony, żeby stanowić jak najmniejszy cel, biegł w stronę krzaków akacji przy drodze. Burnham, który stał na ziemi, wyciągnął ręce, próbując odebrać Rayowi broń. Ray pchnął go, przewrócił, przesunął się wzdłuż paki chevroleta. Nie miał jeszcze dobrej pozycji. Gil prawie dotarł do krzaków. Nie było innego wyjścia. Ray ściągnął spust. Tryskający z lufy płomień odbił się od kabiny pick-upa jasny jak żółta flara, kula zrykoszetowała po dachu, znikła w szarówce poranka.

Słyszając strzał, Gil skulił się jeszcze bardziej, ale dalej biegł przed siebie. Ray mierzył za nisko. Nie wiedział, czy Gil jest uzbrojony, co może mieć przy sobie. Burnham zdążył wstać, też się skulił i próbował uciec w krzaki. Osłaniała go skrzynia pick-upa. Ray wymierzył do niego, wychylił się zza samochodu.

Nie chciał zastrzelić Burnhama, ale wiedział, że będzie musiał to zrobić, jeśli stary nadal będzie uciekał. Już prawie wyszedł zza chevroleta, kiedy rozległ się głośny huk śrutówki. Burnham skoczył w powietrze w pół kroku i znikł za skrajem szosy. Ray odwrócił się. Sanchez przeładował i strzelił do biegnącego Gila.

Chłopak upadł, jakieś trzy metry od drogi. Śrut uderzył w ziemię w miejscu, gdzie się potknął.

Ma szczęście, sukinsyn – pomyślał Ray.

Sanchez przeładował po raz drugi. Gówniarz przebiegł wąski pas piasku między szosą a akacjami, znów omal nie upadł, ale zdążył zniknąć w zielonoszarych zaroślach.

Ray stanął, mierząc w nie z rugera. Huk strzału cichł, słyszał już wiatr w gęstych, splecionych gałęziach.

Obejrzał się na Sancheza, stojącego przy ich bronco.

– Weź karabin, jest z tyłu! – rozkazał. A potem znów spojrzął na akacje. Musiał zapamiętać miejsce, gdzie młody znikł mu z oczu. Bardzo starał się wypatrzeć ścieżkę. Stał i czekał z wyciągniętymi rękami.

Sanchez wyjął z bronco karabin myśliwski. Zatrzymał go, a Rayowi podał jedną ręką śrutówkę.

– Młodsza dla mnie – powiedział.

Ray chwycił ją jedną ręką wysoko za lufę. Metal był gorący, w czystym powietrzu pustyni czuć było zapach siarki.

– Trafiłeś go? – spytał.

– Nic o tym nie wiem.

Stał wpatrzony w punkt, w którym Gil znikł mu z oczu. Nie sądził, by udało mu się daleko zwiać. Po kilkuset metrach, tam gdzie droga prowadziła na północ dnem doliny, trafi na równinę płaską jak patelnia. A jednak tutaj pozostały tylko cienie i gęste krzaczki. Zza horyzontu na wschodzie przeciekła odrobina światła, rozjaśniła niebo, aż wszystko wyrastające ponad szaroniebieską mgiełkę i oni sami rzucili długie, cienkie cienie skierowane na zachód.

– Kiedy wyjdzie z krzaków, będzie widział szosę w dolinie.

– Tam, w dole, nie ma gdzie się ukryć. – Sanchez trzymał karabin w jednej ręce. Drugą wyciągnął z kieszeni trzy naboje do śrutówki. Podał je Rayowi w zaciśniętej dłoni.

Sanchez odryglował, zajrzał do komory, zaryglował. Naboje .308, niemal pięć centymetrów długości, kształt miniaturowych rakiet, każdy wystarczająco wielki, żeby położyć dwustukilogra-

mowego mulaka, wystarczająco potężny, by przebić skórę, mięśnie, połamać kości.

– Widziałeś, jak załatwiłem starego?

– Widziałem.

Sanchez podszedł do rowu przy szosie, do którego wpadł Burnham. Słysząc było jego ciche rzęzenie.

– Jeszcze żyje!

– Też dla mnie nie nowość. – Ray podszedł bliżej.

Chłopak spojrzał na niego, jakby oczekiwał pochwały.

– Nieźle, co? – spytał.

– Lepiej bierz się za robotę. Gówniarz ucieka, a ty masz celownik na mniej niż tysiąc metrów.

Ray trzymał w ręku zapasowe naboje. Zaczął wkładać je do kieszeni, powoli, po jednym. Czekał, co zrobi Sanchez.

– Memo chciał, żebym wziął tę robotę, bo chodziło mu o to, żeby Burnham mnie rozpoznał. Tak?

Sanchez skinął głową, Patrzył na leżącego na ziemi rannego.

– A mówiłem ci, że będzie bałagan.

– Nie ma mowy o żadnym bałaganie. – Błysk uśmiechu, przelotny wyraz dumy na twarzy Sancheza. Nie powinna tak wyglądać. – Wuj załatwił to całkiem nieźle, nie?

Ray milczał. Trawił te słowa.

– W bagażniku bronco jest łopata – rzucił Sanchez.

– A po co łopata? – spytał Ray. Nie chciał wierzyć własnym uszom.

Wyglądało na to, że Sanchez nie słyszał, co się do niego mówi. Z karabinem w ręku szedł na skraj szosy, ku linii wysokich akacji.

– Po co ta łopata w bagażniku?! – Ray podniósł głos. Nie sposób go już było zignorować.

– Żeby posprzątać bałagan! – rzucił przez ramię Sanchez. Zjechał po zboczu nogami do przodu i stanął na dnie rowu.

Nie ma się co oszukiwać, gdy tylko Ray zobaczył Burnhama, wiedział, o co chodzi. Nie o rozmowę na poboczu drogi. Te myśli odsunął od siebie. Zepchnął gdzieś głęboko, wraz ze wszystkim innym.

Memo tylko tak sobie gadał. Chodziło o to, żeby znalazł się właśnie tu, żeby zrobił to, co potrafił najlepiej, to, czego nienawidził, to, czego miał nadzieję nigdy już nie robić. Nie przyjechali po jakiś towar, jakieś pieniądze. Przyjechali pozbyć się konkurencji. A teraz Sanchez zniknął mu z oczu, zniknął wśród akacji, trzymając karabin przed sobą, jakby to była jakaś różdżka. Szedł śladem Gila.

Ray odwrócił się. Spojrzał na pick-upa Burnhama stojącego z otwartymi drzwiami, zalewanego światłem migających lamp, podobnie jak wszystko dokoła w ich zasięgu. Stary człowiek leżał w mroku przy szosie. Leżał w rowie, na wznak, nadal żył, choć ledwie oddychał. Krew wsiąkała w ziemię pod bezwładnym ciałem. Ray pomyślał, że to straszna śmierć, od postrzału z grubego śrutu.

Znał tego człowieka. Znał go przez prawie całe życie. Przykucnął obok niego, patrzył, jak załamane oczy powoli zachodzą mgłą. Powolny, ciężki oddech u jego stóp, nieruchomiejąca twarz. Przykłęknął. Po postrzale Burnham przeleciał prawie metr, nim upadł. Z gardła wydobywał mu się bulgoczący dźwięk. Oberwał w prawą stronę ciała, przyciskał rękę do boku, próbował powstrzymać upływ krwi. Palce drugiej wbił w ziemię koło biodra, jakby mógł oderwać się od niej, zawirować i odlecieć.

Stary człowiek, niemal dwadzieścia lat starszy od Raya. Pewnie dobijał siedemdziesiątki. Twarz miał zakrwawioną, z rany na policzku ciemnorubinowa krew ściekała na siwą brodę, twarz tężejąca z bólu przy próbie wykonania choćby nieznacznego ruchu, skóra na czole biała jak czysta kartka papieru.

Burnham zamknął załamane oczy, a potem otworzył je, jakby mrugał w zwolnionym tempie.

– Czasy się zmieniły. – Poruszył wargami, zaczął mówić i z ust popłynęła krew.

– Czasy zostały, jakie były, *viejo*, tylko ty się zmieniłeś.

Burnham podniósł na niego wzrok, zdołał skupić spojrzenie. Ray wiedział, że został rozpoznany, wiedział o tym z taką pewnością, z jaką się wie, że to twoja twarz patrzy na ciebie, gdy prze-

glądasz się w lustrze. W jakiś dziwny sposób byli spokrewnieni, przez to, kim byli, przez to, co robili, i to była przerażająca świadomość. Dawno, przed laty, Ray myślał czasami, że może do tego dojść, że ich znajomość zakończy się właśnie tak, jak się kończyła. Nie czekały go żadne niespodzianki, nic nie mogło oszczędzić mu przyszłości, którą wyobraził sobie przed wieloma laty.

Nie wiedział, od jak dawna stary operował na tym terenie, ale już skończył. Wyjął z kieszeni buteleczkę antycydu. Przeżuwał pastylki, a u jego stóp konał stary człowiek.

– Czasy się zmieniły – powtórzył Burnham. – Myślisz, że nie, ale właśnie tak. Powinieneś to wiedzieć. Jesteś wystarczająco stary.

Ray nie chciał być jak ten człowiek. Nie chciał. Nie zbliżał się do niego, ale też nie spuszczał z niego wzroku. W dłoni luźno trzymał śrutówkę, w ustach czuł gorzki smak lekarstwa. Drugą dłonią wyciągał naboje z kieszeni. Nie spiesząc się, ładował broń.

– Kiedyś to był wielki kraj – ciągnął Burnham. – Coś podobnego można jeszcze znaleźć w paru miejscach na południu. Tu wszystko już podzielono i sprzedano. Nie możesz pojechać gdzieś tak, żeby nikt o tym nie wiedział. – Odchylił głowę w lewo, splunął krwią, a potem znów spojrzał na wprost. Patrzył na Raya. Rana po śrucie, który trafił go w policzek, wydawała się ciemną, głęboką studnią w twarzy. – Kiedyś jeździłem tu wszędzie razem z rodziną, z bratem, z ojcem, rozumiesz? Ale to już koniec. Rozumiesz?

Ciemna plama pod ciałem, plama wsiąkającej w ziemię krwi, nadal się rozszerzała. Powieki umierającego opadły, uniosły się i znów opadły. Ray pozwolił mu mówić, pozwolił mu wyrzucić z siebie to, co stary chciał wyrzucić. Wiedział, że kiedy przyjdzie na niego czas, sam będzie tego chciał. Będzie chciał jakoś pogodzić się ze światem, powiedzieć, jak wszedł na tę ścieżkę, jak codziennie żałował, że na nią wkroczył, ale już nie umiał zawrócić.

Stary mężczyzna kaszlnął. Z rozdartego policzka trysnęła krew. Znów odwrócił głowę i splunął, a potem popatrzył na Raya,

jakby tak sobie zwyczajnie rozmawiali, a przerwę zrobił po to, żeby rozmówca mógł mu odpowiedzieć.

– Kiedy to był jeszcze wielki kraj, kradliśmy bydło. Pędziło się je aż do Meksyku, a po drodze ani żywej duszy. – Załzawione oczy zamknęły się, otworzyły. – Chyba sam się w to wkopałem. – Chwila przerwy, przytomne spojrzenie na Raya. – Rozpoznałem cię, wiesz? Chłopak Gusa. Cały czas zastanawiałem się, gdzie ty znikł, a teraz już chyba wiem. Nadal pracujesz dla Mema, co?

– Tak.

– Wiesz, że kantuje nas wszystkich? Pracowałem dla jego ojca, ciebie jeszcze na świecie nie było, ale Memo to co innego. Nie szanuje starych zwyczajów... Niczego już nie szanuje. – Przerwał, zaczerpnął oddechu, w kącikach ust pojawiła się ślina. – Takie rzeczy załatwiało się według zasad. Ojciec Mema znał te zasady, ale teraz już nie jest jak było. Już nie.

– To dlatego przeszedłeś na drugą stronę? – spytał Ray. – Dlatego zacząłeś pracować dla południowców? – Patrzył na starego leżącego na ziemi, przy boku miał gotową do użytku śrutówkę. Znał tego człowieka, ale to już nie miało znaczenia. Nic już nie miało znaczenia. Wykona swoją robotę niezależnie od tego, co jeszcze usłyszy. Nie miało to żadnego znaczenia.

– Wszystko się zmieniło – powiedział Burnham. – No już. Jestem gotowy. Byłem gotowy od bardzo dawna, tylko o tym nie wiedziałem.

Ray odsunął swobodnie trzymaną przy boku śrutówkę jeszcze kilka centymetrów od ciała. Przyłożył lufę do piersi starego, na wysokości serca.

– *Viejo* – powiedział – takich jak ty już nie robią.

A potem ściągnął spust.

Podniósł głowę znad martwego leżącego u jego stóp ciała. Patrzył, jak podmuch wiatru porusza gałęziami... i cichnie. Światła bronco paliły się, migwały, na wszystkim, na co padły, rysowały blade wgłębienia, fałszowały blask poranka ogarniającego świat rozwodnioną, upiornie nienaturalną poświatą. Kiedy znów spojrział na trupa, wiedział, że równie dobrze mógłby nim być on

sam. Burnham najprawdopodobniej miał rację. Zasady się zmieniły: już nie było zasad. Teraz to widział. Być może wiedział o tym od samego początku. Być może to on je zmienił. To się rzucało w oczy. Popełnił błąd, biorąc tę robotę. Nie chciał tego. Już nigdy. Wszystko, tylko nie to.

Odwrócił się, podszedł do samochodu od strony drzwi pasażera, które Gil zostawił otwarte. Na brudnej podłodze przed fotelem leżał kapelusznik Burnhama. Narkotyki powinny być gdzieś pod siedzeniem, pozostawało je tylko wyjąć i zawieźć Memowi. A po głowie chodziła mu myśl, że skończy z tym biznesem, że stojąc tak, z trupem za plecami i drugim, jeszcze uciekającym, wystawił się jak dziesięć lat temu.

Z tylnej kieszeni spodni wyjął nóż. Wsadził głowę do pick-upa, wbił ostrze w siedzenie, przeciął tapicerkę. Pokazały się białe paski, a pod nimi czerwono-czarna sportowa torba. Przez brezent widać było zarys cegiełek. Wiedział, że to kilogramy brązowej heroiny.

Wyjął torbę. Położył ją na siedzeniu pasażera. Rozsunął zamki. Zobaczył dwanaście cegiełek heroiny, każda barwy melasy.

Przez dziesięć lat po utracie Marianne próbował wyjść z interesu, już nawet nie pamiętał ile razy. W lecie malował domy, pracował na budowach... jeśli była praca. Nie zarabiał nawet w przybliżeniu tyle, ile teraz zapłaci mu Memo, ale był bezpieczny. I nikt nie musiał umrzeć za dwanaście cegiełek heroiny.

Grzebał starego, kiedy usłyszał huk w dolinie, niczym odległy odgłos artylerii. Wiedział, że tak czy inaczej wszystko już skończone, że jadący z Burnhamem młody chłopak nie żyje, że robota, którą mieli wykonać, on i Sanchez, zaraz się skończy.

□□□

Za nimi wzniesienie pokonała karetka. Tomas Herrera zjechał na pobocze, pies obrócił się, udeptał siedzenie. Syrena zawyła, ucichła, a kilka sekund później obok przeleciał radiowóz hrabstwa, robiąc najmniej sto trzydzieści po wąskiej dwupasmowej

szosie. Oba samochody, karetka i radiowóz, oddalały się od niego równie szybko, jak przedtem zbliżały, jego furgonetka zabujała się na resorach. Przez okno widać było wyłącznie płaską jak deska pustynię, pył zmyty na skraj nawierzchni przez deszcze, padające tu kilka razy w roku, a dalej wyschnięte strumyki, ich głębokie wąskie koryta prowadzące ku smaganym przez wiatry szczytom Hermanos. Karetka i radiowóz prawie znikły mu z oczu, o ich istnieniu świadczyło wyłącznie słabe pulsowanie świateł w oddali. Suka Jeanie stała na tylnym siedzeniu, zapierała się w nie sztywnymi łapami, obszczekiwała mknące na północ samochody.

Wrócił na drogę, noga trochę mocniej wcisnęła pedał. Stary samochód przy tej prędkości już się męczył, polatywał za karetką i radiowozem jak napalony ptaszek, ciągnąc za sobą chmurę dymu wyraźnie widoczną w lusterku. Wóz palił benzynę i olej, ale dzielnie parł przed siebie.

Jeszcze chwila i półtora kilometra, i widać już było wypadek, wielkiego pick-upa stojącego w poprzek drogi, okrakiem na przerywanej linii. Karetka zatrzymała się obok, w pulsującym świetle lamp trzech radiowozów hrabstwa. Zastępca szeryfa Pete Hastings – piętnaście lat temu Tom uczył go zawodu – kierował ruchem omijającym przeszkodę.

Odkąd przestał być szeryfem, nie rozmawiał z kolegami z dawnych lat, może tylko kilka słów na ulicy, przy jakimś przypadkowym spotkaniu. Kiedy wpadał na któregoś z nich w miasteczku, gdzie kupował paszę dla świń albo załatwiał jakąś sprawę dla rodziny Deaconów, zachowywał się uprzejmie, ale robił, co w jego mocy, by spotkanie trwało jak najkrócej, udawał, że ma coś bardzo pilnego do załatwienia. Bał się, cały czas bał się, że go przejrzą na wylot, że dostrzegą tę jego wewnętrzną pustkę, wyczują ją, ściskając mu dłoń.

Tom był dużym facetem, zawsze potężniejszym niż większość, metr dziewięćdziesiąt pięć, odpowiednio szerokie bary. Ta jego wewnętrzna pustka bywała za ciężka do zniesienia, a czasami, wcześniej, zaraz po odejściu z biura szeryfa, to wstyd go wy-

pełniał, wstyd i poczucie winy, jedno przemieszane z drugim, sięgające aż po czubek podłużnej głowy z czarnymi, krótko przyciętymi włosami. Wiedział, że kiedyś ludzie nazywali go przystojnym, ale tak naprawdę wcale im nie wierzył. Szczeka mu się zakręgliła od ucha do ucha i lekko obwisła, jak tłuszczuk u niemowlęcia. Obojętnie, ile schudł, zawsze zostawało mu to „podgardle”, pokryte teraz siwą brodą, a białych włosów nie mógł już ukrywać.

Ludzie go lubili. Zawsze go lubili. Myślał sobie, że pewnie dlatego go wybrali, dali mu pracę, sam nie wierzył przecież, że ją dostanie. Meksykanin jak on w mieście nafciarzy i Teksasńczyków przyjeżdżających na zachód, na pola naftowe, musiał być trochę samotny. Dlatego ciągle nie czuł się pewnie na ulicach Coronado. To był powód, dla którego w końcu wybrał rodzinę – albo obrócił się przeciw swoim, to zależy od punktu widzenia – ponieważ tak bardzo potrzebował akceptacji. Tylko że nic nie poszło, jak miał nadzieję, że pójdzie, a przy okazji stracił jeszcze pracę i część samego siebie.

Czekał teraz w spowodowanym przez wypadek korku. Wielki pick-up – widział jego kawałek – blokował pół szerokości jezdni. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, wydawało mu się, że skądś go zna. Czekał, aż zastępca szeryfa pozwoli mu przejechać. Wyprostował się, przejrzał w lusterku, zaraz miała przyjść jego kolej. Dwudniowy, szorstki zarost na policzkach nie ukrywał powolnego rozpadu jego dawnego ja. Brzuch ważył trochę więcej, i to poczucie, że żyje w sposób, którego się nigdy nie spodziewał.

Zastępca szeryfa machnął ręką. Tom ruszył. Niemal tego samego wzrostu, ale dwukrotnie chudszy, zastępca szeryfa Hastings był blondynem o okrągłym twardym brzuchu i bladej, ziemistej cerze pacjenta czekającego w szpitalu na pilną transfuzję. A także dalekim krewnym szeryf Kelly i najstarszym funkcjonariuszem po tym, jak z biura burmistrza przyszły zwolnienia z pracy.

Tom zdjął nogę z gazu. Prowadził z ręką wysuniętą przez otwarte okno. Spytał, co się stało.

- Nie mogę powiedzieć.
- Jak to: „Nie możesz”?
- Po prostu nie mogę.
- Co jest, Pete?
- W tej sprawie, Tom, zwyczajnie nie mogę.

Przed sobą na wprost Tom widział karetkę zaparkowaną koło niebieskiego forda super duty. Światła na dachu karetki nadal po-błyskiwały, przez małe boczne okienko widział dwóch sanitariu-szy pracujących nad kimś w fordzie. Tak, to ten ford, teraz był tego całkiem pewien. Widywał go codziennie w pracy.

- Clint Deacon ma kłopoty? - Ford Deacona stał pod kątem, na drodze nie było szkła, w ogóle nic nie było. - Jest moim przyjacie-lem - mówił dalej Tom. - Sąsiadem.

Pracował dla Deacona od dwóch lat. Stawiał ogrodzenia, spę-dzał bydło. Jego ojciec, Luis, załatwił mu tę robotę, kiedy w ho-dowlę świń wsiąkły wszystkie pieniądze. Ale Tom ciągle wolał na-zywać Deacona sąsiadem zamiast szefem. W tym szefie było coś żenującego, bo Tom był kiedyś szeryfem hrabstwa, potem farme-rem z pewnymi sukcesami, a teraz już tylko robotnikiem u ko-goś, dokładnie jak ojciec.

Zatrąbił czekający za nim w kolejce samochód. Tom obejrzał się przez ramię. To jeden z tych nafciarzy, spotykał ich od czasu do czasu, kiedy chodził napić się z ojcem. Znowu zatrąbił, Ha-stings machnął niecierpliwie ręką. Kazał mu jechać.

Tom poczekał, aż ten za nim go objedzie. Nie rezygnował.

- Pete, słuchaj, ta karetka mnie wyprzedziła. Pruła jak szatan. Przecież tylko pytam.

- Nie mogę, Tom.

Jakieś trzydzieści metrów dalej zza jednego z radiowozów wy-szła szeryf Edna Kelly. Zdjęła kapelusz. Otarła pot z czoła małą białą chusteczką. Ignorując jej zastępcę, Tom podniósł rękę, krzyknął na przywitanie. Kelly podniosła głowę, rozpoznała go i ruchem ręki kazała Hastingsowi go przepuścić.

Kiedyś była zastępczynią Toma, miała uda biegaczki i szerokie, krągłe ramiona dziewczyny, która się wychowała, pracując

na farmie.

– Thomas Herrera – powiedziała z udanym niedowierzaniem, kiedy furgonetka zatrzymała się obok niej. – Wiesz, że nie powinno cię tu być?

Tom wzruszył ramionami.

– Po prostu przejeżdżałem – usprawiedliwił się.

Jeanie przeszła po tylnym siedzeniu samochodu, wystawiła łeb i czekała, aż ją pogłaszczą. Dostał ją w prezencie od Kelly wiele lat temu, kiedy zmuszono go do ustąpienia, i to właśnie Kelly zajęła zwolnione przez niego miejsce.

Kelly dała psu obwąchać dłoń, a dopiero potem poklepała go po łbie.

– A tak naprawdę to co tu robisz? – spytała. Zajrzała do furgonetki. W jej głosie brzmiała nuta niepokoju, jak najdelikatniejsze ostrzeżenie.

Tom odciągnął psa od okna. Czuł, że Jeanie się opiera, ale tylko przez chwilę, a potem układa po swojej stronie siedzenia.

– Nic nie robię, Edna. Tylko przejeżdżam tędy w drodze na północ.

Szeryf Kelly czekała, pewnie spodziewała się, że powie coś jeszcze, ale nie powiedział, więc to ona przerwała ciszę.

– Nie możesz tu zostać. Nie po tym wszystkim.

To były twarde słowa, ale łagodnie wypowiedziane. Wiele ich łączyło. Tom bardzo chciał wierzyć, że to się liczy. Chciał wierzyć, że może jego obecność tu nie przeszkadza jej tak bardzo, jak udaje, że jej przeszkadza.

Mimo to poczuł się skarcony. Trzydzieści sześć lat, przeszło dziesięć lat od niego młodsza, nosi gwiazdę, która kiedyś należała do niego. Jasne włosy, zawsze bardzo mu się podobały, nawet kiedy była jego zastępczynią, wiąże teraz w koński ogon i chowa pod kapeluszem. Wszystko to było dla niego nowością, jakby nigdy nie była kimś, kogo znał. Napięcie i ciężar pracy odcisnęły się na jej twarzy zmarszczkami, pogłębionymi przez to, od czego właśnie odeszła, cokolwiek to było.

– Nie jestem tu, żeby deptać ludziom po odciskach – uspokoił ją Tom. – Wiesz, że ostatnio pomagam Deaconowi. Chcę zarobić kilka groszy ekstra, postawić farmę z powrotem na nogi. Zobaczyłem pick-upa. Pomyślałem...

– Z Clintem wszystko w porządku – przerwała mu. Zerknęła na forda, tylko na sekundę. – Widać go stąd, siedzi w samochodzie Pierce'a.

Tom osłonił osłepione słońcem oczy. Kawalek dalej, w jednym z radiowozów, rzeczywiście siedział Clint Deacon. Młody zastępca szeryfa, którego kilka razy widział ostatnio przy drodze, stał obok i chyba przyjmował od niego zeznania.

– Nie chciałem cię naciskać – powiedział Tom, starając się, by zabrzmiało to jak przeprosiny.

– Wiem. Po prostu martwię się, to wszystko. Nic mam za wielkiego doświadczenia w tego rodzaju sprawach.

– Tego rodzaju sprawach?

Kelly znów zerknęła na forda, ale nic nie odpowiedziała.

– O czym właściwie rozmawiamy? – spytał Tom.

– O niczym nie rozmawiamy, Tom. – Podeszła krok bliżej. Zapaliły się światła cofania karetki, kierowca skręcił i pojechał w stronę Coronado. – Tylko musimy zatrzymać na trochę wóz Deacona.

Karetką przejechała obok. Tom uniósł się na siedzeniu, ale i tak nie zobaczył, kogo wiezie.

– Po co? – spytał.

Kelly wyjęła chusteczkę. Znów przetarła czoło. Tu, na szosie, letni upał przetaczał się falami po asfalcie, a pod jej ramionami widać było dwa ciemne półksiężycy potu.

– Nie jesteś już szeryfem, Tom.

– Wiem o tym. Możesz mi wierzyć, że wiem o tym doskonale.

Obrócił się. Spojrzał na psa, zawstydzony brutalną bezpośredniością Kelly. Kiedyś, przez lata, co czwartek jedli razem kolację, ale potem zarzucili ten zwyczaj. Patrząc na Jeanie, przypomniał sobie te czwartki, wieczory w dużym pokoju jego mieszkania,

włączony telewizor i szczeniaka podgryzającego mu rękę ostrymi jak igły zębami.

– Mam wolne jutro i pojutrze – spróbował rozładować atmosferę. – Jadę zobaczyć chrześniaczkę. Widzę to – skinieniem głowy wskazał krzywo zaparkowanego pick-upa, ślady hamowania na asfalcie – więc pomyślałem... może będę mógł pomóc albo coś. Może ktoś jest ranny? Co tu się stało?

Kelly pokręciła głową, uśmiechnęła się, odwróciła, a kiedy znów na niego spojrzała, była bardzo poważna.

– Czasami zdarza się w tej pracy coś, na czym się nie znam – przyznała.

Przytaknął cicho. Przez ostatni rok pracy jako szeryf też miał takie wrażenie. Żona Raya, Marianne, zginęła w wypadku, sprawca zbiegł, a Ray powtarzał, że to nie był żaden wypadek, tylko kartel. Ciągłe go naciskano, żeby zrobił coś z tą kobietą, Angelą Lopez, podobno też związaną z kartelem. Tom nie mógł przestać myśleć o tym, czy w ogóle warto. Strasznie go to wkurzało. Wiedział, że zabrnął za daleko, że za bardzo bierze sobie te sprawy do serca. Dopuścił, by kuzyn, Ray, wciągnął go w te sprawy, za trudne i zbyt niebezpieczne nawet dla niego.

Znów przytaknął cicho, niewyraźnie. Już prawie dowiedział się czegoś, czego nie powinien wiedzieć, ale co rozpaczliwie potrzebuje wiedzieć. Przeszłość zwała się na niego jak wykolejone wagony towarowe. Całym sobą Tom tęsknił za swoją poprzednią pracą, za ciężarem gwiazdy na piersi, za tym, czym była i co oznaczała.

– Nie chcę, żeby to się do mnie przykleiło – przerwała milczenie Kelly.

– W porządku – przytaknął. Nic więcej. Bał się, że jeśli powie coś więcej, może ją zniechęcić.

– Dobra. – Kelly podjęła decyzję. – Nigdy cię tu nie było.

Tom skinął głową.

– Mamy mężczyznę... właściwie to jeszcze chłopak. Meksykanin. Na drodze. Postrzelony tak ciężko, że był bledszy nawet ode mnie.

- Martwy?
- Nie wiem. Karetka przyjechała bardzo szybko, ale... po prostu nie wiem.
- Myślisz, że mieli go przemyścić do Stanów, ale zamiast tego załatwili?
- Nic nie wiemy, ale jakoś mi na to nie wygląda.
- A to dlaczego?
- Ubranie. Nie pasowało do okolicy, rozumiesz? Nie wyglądał na kogoś, kto wędruje od paru dni, żeby przekroczyć granicę.
- Więc może narkotyki? To mógł być ktoś od Daria. Może Dario próbuje załatwić swoje sprawy?
- Trzymaj język za zębami. Nie potrzebujemy tu takiej gadki.
- Niby dlaczego?
- Sam wiesz dlaczego – powiedziała Kelly.
- Musisz przynajmniej wziąć to pod uwagę.
- Czy to wygląda na coś, co zrobiłby Dario? Odkąd się pokazał, dwa, trzy lata temu, siedzi cicho. Dlaczego to? Dlaczego teraz? Możemy wspomnieć o nim tu i tam, ale jest za ostrożny, żeby tak się dać wystawić.
- Edno – Tom przybrał bardzo poważny wyraz twarzy – wiesz, co mówi się o nim w mieście.
- Słyszałam plotki.
- Jest z kartelu... albo tak blisko kartelu jak nikt od czasów Angeli Lopez.
- Nie chcę w to wierzyć – powiedziała Kelly. – Nie stać mnie na to, żeby rzucać oskarżenia bez dowodów. Sam powinienes to wiedzieć. Tu już się tego nie robi.
- No więc co dalej?
- Deacon zeznał właśnie, że dzieciak wybiegł z pustyni wprost na szosę. To wszystko, co mamy w tej chwili.
- Nie było nikogo innego?
- Tylko para z Kalifornii, turyści, chcieli obejrzeć sobie pustynię. Podjechali, kiedy Deacon już stał. Kobieta jest pielęgniarką z Los Angeles. Pomogła przy chłopaku. Deacon próbował powstrzymać krwawienie. Musiał użyć do tego własnej koszuli.

– Kula?

– Duża siła rażenia. Przeszła na wylot. Jak już oczyścimy drogę, pošlę moich ludzi, żeby poszukali jej z wykrywaczem metalu.

Tom spojrział na zachód, na długie wzgórza spływające z pasma Hermanos, niczym leżące na boku pod kątem gładkie ostrze. Przecinały je koryta wysychających strumieni, tu i tam plamy zieleni, gęste zarośla wyrastających na pustyni akacji.

– Ktoś, kto strzelał do chłopaka, może siedzieć sobie teraz w ukryciu i spokojnie nas obserwować. Musisz wysłać kogoś teraz, natychmiast, rozumiesz?

– Wiesz, z kim pracuję, Tom. Nie jesteśmy przygotowani do tej roboty. Możemy zatrzymać ruch, możemy przegonić grzechotnika z ganku, ale to... to przecież coś zupełnie innego.

– Patrol stanowy?

– Burmistrz chce załatwić sprawę domowymi sposobami.

Tom prychnął przez nos. Nie zdążył się powstrzymać.

– Nie chce ściągać na nas niepotrzebnej uwagi – dokończyła Kelly. – Wiesz, jak tu wyglądają sprawy. Ropa się skończyła. Ludzi nic tu nie trzyma, burmistrz doskonale o tym wie.

Nie był w stanie nic poradzić na to, że w tym momencie wrócił pamięcią do Lopez, kobiety, którą zastrzelił przed dziesięciu laty, że przypomniał sobie, jak wraz z Kelly weszli do jej domu, szukając dowodów, możliwości postawienia jej w stan oskarżenia, odesłania do Meksyku. Niczego nie znaleźli. Angela Lopez podbiegła osłonić małą córkę, Tom w ułamku sekundy podjął decyzję i już nigdy, nigdy nie będzie w stanie cofnąć jej skutków. Nie znaleźli śladu narkotyków, niczego, co mogłoby potwierdzić, że jest winna czemukolwiek.

– Jeśli okaże się, że ma to coś wspólnego z narkotykami, sprawa może się mocno skomplikować.

Kelly nie odpowiedziała od razu. Chciała dobrze przemyśleć odpowiedź.

– Owszem – powiedziała w końcu, znowu przecierając czoło. – Dobrze o tym wiem.

Tom wiedział, że naraża ją przez samo to, że się tu znalazł. Zapragnął przeprosić ją jakoś za to, co powiedział. Za to, że próbował wydawać polecenia, których nie miał już żadnego prawa wydawać.

– Słuchaj – odezwała się Kelly po kolejnej długiej chwili milczenia – nie wolno ci powtórzyć nic z tego, o czym rozmawialiśmy.

– Wiem. Po prostu przejeżdżałem tędy, żeby odwiedzić chrześniaczkę.

– To strasznie fajne, ale może już teraz jedź. Nie chcę, żeby coś z tego dotarło do Elego.

– Do burmistrza? – Tom czuł wielkie rozczarowanie, ilekroć słyszał imię tego człowieka.

– Jeśli okaże się, że jednak mamy do czynienia z morderstwem, a nie wygląda mi to na nic innego, nie chcę, żeby zaczął wypytywać, jak na siebie wpadliśmy.

Tom powiedział, że rozumie. Po śmierci Angeli Lopez odbyły się przesłuchania. Burmistrz, Eli Stone, naciskał na sędziego. Chciał ukarać Toma, wspominał nawet o więzieniu. Sędzia uznał to za wypadek. Ofiara pochodziła z Nogales, miała związki z południem. Ludzie wiedzieli, że posiada narkotyki. Można było uznać ją za niebezpieczną. Szeryf Herrera wypełniał swoje obowiązki. Jedyne poza nim stróż prawa będący naocznym świadkiem, zastępca szeryfa, Edna Kelly, podczas przesłuchania złożyła oświadczenie we wszystkich szczegółach zgodne z tym, co zeznał Tom.

Nie było to żadne usprawiedliwienie. Tom o tym wiedział. Nie ma usprawiedliwienia. Nigdy nie będzie, dla niczego. Podniósł wzrok, zobaczył, że Kelly przygląda mu się uważnie.

– Tyle lat minęło, a ty ciągle jeździsz odwiedzać dzieciaka? – spytała.

– Czasami nie wiem, dlaczego nie szkoda mi czasu. Dlaczego coś takiego w ogóle przychodzi mi do głowy. Wiem, że pewnego dnia opowiedzą o mnie Elenie, że dowie się wszystkiego. Boję się, jak to będzie wyglądało. Jak ja będę wyglądał po tych wszystkich latach. Czasami myślę, że najlepiej byłoby to wszystko zostawić.

Tom patrzył na drogę. Zastanawiał się, co zrobić. A kiedy znów spojrział na Ednę, dostrzegł, jak jej twarz się zmieniła, z jak wielkim rozczarowaniem pani szeryf przyjęła jego słowa. Wiedział, że ona inaczej widziała to, co się stało z Lopez... wszystko widziała inaczej. Jego kuzyn Ray nie był jej kuzynem, dla niej nie była to sprawa osobista, nie było w tym nic osobistego, więc wiedział, że nigdy nie zrozumie, nie do końca, tego wszystkiego, co się zdarzyło wcześniej i co doprowadziło ich do tego domu, w którym Elena, małe dziecko, siedziała na podłodze, a matka podbiegła, żeby ją osłonić.

Kelly pokręciła głową, powoli, w ten charakterystyczny sposób, jak zawsze, kiedy była pewna, że wie coś lepiej od Toma. Jak wtedy, gdy widziała wszystko w jaśniejszym świetle, niż on mógłby to kiedykolwiek zobaczyć, bo sam sobie na to nie pozwalał. No więc powtórzył, po to tylko, żeby wszystko było zupełnie jasne:

– Nie wiem, po co jeszcze tam jeżdżę.

Tym razem uśmiechnęła się do niego.

– Wiesz doskonale.

– Owszem, chyba tak. – Tom wiedział, że przemawia przez niego wstyd, że ma milion różnych powodów, by pojechać w odwiedziny do dziewczynki, która kiedyś, zaledwie osiemnastomiesięczna, siedziała na podłodze w domu matki.

– Pozdrów ode mnie Heather i Marka.

– Pozdrowię.

– Ile lat ma teraz Elena?

– W marcu skończy jedenaście.

– Ją też ode mnie ucałuj.

– Ucałuję. – Ruszył, ale wcisnął jeszcze hamulec i spytał: – Poradzisz sobie?

– Poradzę, poradzę – zapewniła go Kelly – tylko zniknij, nim burmistrz dowie się, że tu w ogóle byłeś.

□□□

Edna Kelly podeszła do zastępcy Hastingsa, uśmiechając się lekko. Nie miała pojęcia, jak to się stało, że Tom wpadł na nich akurat teraz na szosie, jadąc na północ, wyjeżdżając z doliny. Opowieść o Elenie brzmiała prawdopodobnie. Pytania, które zadawał, gnębiły nie tylko ją, ale też chyba wszystkich jej ludzi. Od podobnego przypadku śmierci minęło dziesięć lat. Nie da się przewidzieć, jak to potraktuje burmistrz.

Mogła tylko mieć nadzieję, że nie wdepnie na jakąś minę. Wybiegający na szosę chłopak, zakrwawiona koszula, dziura w piersi przebitej kulą na wylot. Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Za blisko stąd do tej historii, kiedy ona była zastępcą, a Tom szeryfem. Dziesięć długich lat, żeby się z tego wygrzebać, wygrzebać spod ciężaru czegoś, co bez problemu można byłoby nazwać morderstwem, choć w końcu tak tego nie nazwano.

Naprawdę bała się, że wyrzucą ją razem z Tomem. Widziała, jak teraz wszyscy go traktują. Jak jakiegoś upośledzonego umysłowo dzieciaka proszącego o pracę. Smutne, kiedy tak patrzy się na kogoś, kto poświęcił miastu życie, a w zamian nie dostał niczego. Wszystkie te długie lata i jeden jedyny błąd. Czasami Kelly po prostu ich za to nienawidziła. Nienawidziła burmistrza, nienawidziła sędziego, nienawidziła zwykłych ludzi patrzących na niego w ten sposób. Jakby już nic nie był wart.

Wiedziała, że czymkolwiek Tom ostatnio się zajmował – hodowla świń, praca na farmie Deacona – jego myśli zawsze biegły do tego, co się dzieje w mieście. Nie winiła go za to. Wiedziała, że po tym, co się zdarzyło z tą Lopez, musieli go zwolnić, pozwolić mu odejść. Idąc po żółtej linii na szosie, żeby pogadać z zastępcą, o to właśnie się bała. To ją w Tomie niepokoiło. Tak naprawdę nigdy nie przestał być szeryfem, choć wszyscy już dawno w niego zwątpili.

– Mówi się, że Tom ma w domu nasze stare radio – odezwała się do Hastingsa. Miała nadzieję, że się przynajmniej uśmiechnie.

Hastings zdjął kapelusz. Otarł czoło rękawem.

– A ty co? – spytał.

– No nie wiem... ale dziwnie wybiera sobie moment, gdzie i kiedy się zjawi.

Podjechał samochód. Hastings machnął ręką, żeby go przepuścić.

– Właśnie przez to wpadł w kłopoty – powiedział.

– Tak – przyznała Kelly. – Wpadł.

Została szeryfem dzięki Tomowi. Dziesięć lat temu poprosił, żeby mu towarzyszyła. Powiedział, że dostał informacje o Angeli Lopez. Że coś się szykuje. Kelly wiedziała, że tej informacji udzielił mu kuzyn, Ray Lamar. Ray dorastał w Coronado, jak oni wszyscy. Był synem Gusa Lamara, przedstawiciela pierwszego pokolenia nacierzy, właściciela pól na północ od miasta. Co ważniejsze, wiedziała też, że Ray szuka sposobu na załatwienie porachunków tak, żeby nie wszczynać totalnej wojny.

Nie ma nic złego w tym, że szeryf idzie do domu kobiety, by zadać jej parę pytań, czegoś się dowiedzieć, sprawdzić, czy powiedziano mu prawdę i ta kobieta rzeczywiście przechowuje narkotyki dla kartelu.

Ale coś było tego dnia nie tak. Coś było nie tak w podjęciu działań na podstawie tych informacji. Kelly wiedziała, że Ray i Tom szukają winnego. Że szukają go od jakiegoś czasu. Żona Raya zginęła w wypadku samochodowym, sprawca uciekł z miejsca wypadku; wówczas wszyscy jeszcze o tym pamiętali.

Kiedy dociera do nich wiadomość o wypadku, wszyscy są w biurze szeryfa. Dzwoni telefon na biurku Toma, a oni – zastępców było wówczas sześcioro – podnoszą głowy jak zawsze, zgadują, w co tym razem wdepnęli.

W końcu to Kelly pojechała do domu Raya stojącego daleko za miastem, na Perimeter Road, jednego z setki identycznych nowych domów budowanych dla robotników naftowych przyjeżdżających na zachód z Teksasu, pojechała powiedzieć mu o wypadku. Razem zjawili się w szpitalu, do którego przewieziono wcześniej jego dwuletniego synka, Billy'ego. Billy przeżył, bo siła uderzenia wyrzuciła go z samochodu. Żona Raya nie miała tyle

szczęścia. Tom osobiście powiedział mu o jej śmierci. Siedzieli wtedy przed salą operacyjną.

Przez następne tygodnie kruszał biznes Raya, a w każdym razie podstawy, na których miał powstać, a on sam rozpoczął walkę z kartelem. Walczył z nim jak facet bijący w mur pięściami, aż robi z nich galaretę. Codziennie dzwonił do biura szeryfa.

Może to sam Ray postawił rodzinę na drodze nieszczęścia, zawiódł ją do kanionu, gdzie padł na nią cień. Może i tak, a może to, co stało się z rodziną Raya i z nim, było im przeznaczone. Tego Kelly nie wiedziała, ale wiedziała na pewno, że potem już Ray nie odpuścił, że codziennie dzwonił telefon w biurze Toma, że powoli, słowo po słowie, Ray zaczął mu przekazywać informacje, że Tom stawał się coraz bardziej podejrzliwy wobec tej Lopez.

Stojący za Kelly zastępca Hastings trącił ją w łokieć. Szosą, którą Tom odjechał na północ, do Las Cruces, podjeżdżała teraz do nich furgonetka stacji telewizyjnej.

– Do diabła! – Kelly nałożyła kapelusz. Poczula, jak ocean przelewa się jej w żołądku, podchodzi do gardła. – Elemu to się nie spodoba.

– Fakt – przytaknął Hastings. – I nie sądzę, żeby miało się spodobać nam.

Furgonetka rosła im w oczach, zbliżała się, płynąc przez falujące nad drogą, rozgrzane powietrze.

– To prawda? – spytał Hastings.

– Co?

– Że Herrera ma policyjne radio?

– Nawet jeśli, to z całą pewnością nie tylko on.

Jakieś trzydzieści metrów od nich furgonetka zwolniła i zjechała na pobocze. Żwir zachrząścił pod jej kołami.

□□□

Ray Lamar siedział na najwyższym stopniu schodów na ganek. Wpatrywał się w pustynię. Dom, piętrowy, ze ścianami z desek szalunkowych, pomalowano kiedyś na żółto, ale teraz był już

tylko brudny i jakby spłowiały, miejsce zapomniane przez los, wypalone słońcem, blade jak ugotowane jajko. Dorastając tu, Ray znał go pod nazwą „domu Sullivanów”. Był to jeden z tych starych domów stojących już za miastem, zapomnianych po tym, kiedy wielkie kompanie naftowe przeszły tędy jak burza, wykupując ziemię. Za granicami miasta było ich tyle, że Ray i Sanchez mogli przebierać w kryjówkach na torbę heroiny i pick-upa Burnhama, a właśnie chcieli je ukryć.

Patrzył na rozciągającą się przed nim ziemię, niskie wzgórza porośnięte krzakami, uboczką i dumosą, góry na wschodzie i północy oczyszczone do nagiej skały. Myślał o tym, że przecież przeżył już jedno kompletne życie, a teraz przebywa gdzieś w krainie po życiu. Sam ją sobie urządził i jest w niej sam, za towarzystwo mając pamięć po żonie.

Wzięli ślub, kiedy dowiedzieli się, że Marianne jest w ciąży. Ray po powrocie z Wietnamu pracował na polu naftowym ojca. Ropa to była ta jedna jedyna rzecz znana mu od urodzenia, tylko na niej mógł polegać tu, w świecie, który porzucił, żeby do niego wrócić. Jedyne, czego chciał, to zapomnieć o latach spędzonych daleko stąd. Był jeszcze młody, ledwie przekroczył dwudziestkę, wyjeżdżając, a wrócił, mając prawie dwadzieścia pięć lat.

Związek z żoną, z Marianne, zaczął się na długo przed powrotem. Nim jego noga znów powstała w Stanach, nim zaczął pracować dla ojca. Marianne, drobna dziewczyna, niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, blada, jakby przezroczysta skóra, bystre zielone oczy. We wspomnieniach Raya ciemnobrązowe włosy zawsze wiązała na dzień, a rozpuszczała do kolacji. Była siostrą jednego z kumpli z wojska. Utrzymali kontakt po śmierci tego kumpla, pisali do siebie listy, z jednego świata do drugiego świata. Listy te pomogły Rayowi przetrwać ostatnie kilka miesięcy, pisał do niej, jakby był częścią jej utraconego brata, przedłużeniem tego samego człowieka gnębionego tymi samymi strachami, mającego te same doświadczenia.

Wziął robotę u Mema przede wszystkim dla Marianne i syna. Chciał im zapewnić przyzwoite życie po tym, jak wyczerpała się

ropa na polach ojca. Marianne, przepełniająca sobą całe Coronado. Wspomnienia o niej były jak owiewający go wiatr, to nasilający się, to cichnący nagle.

Ray przeczesał włosy dłonią. Siedział na ganku, przyglądając się światu, który porzucił, by teraz do niego powrócić. Burnham martwy u jego stóp zaledwie kilka godzin wcześniej i ta przygnębiająca myśl, że przecież nie chciał pociągnąć za spust, nie chciał, ale musiał, bo taką miał robotę. Za to mu przecież zapłacili, i gdyby miało się to powtórzyć, wiedział, że zrobi znowu to, co wcześniej robił wielokrotnie.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi za jego plecami. Spojrzał przez ramię. Na progu stał Sanchez. Czubki białych adidasów miał czerwone jak piasek pustyni, czarna bluza i czarne dżinsy były na niego o numer za duże.

– Załatwione? – spytał Ray.

– Znalazłem miejsce na torbę w dziurze w ścianie na piętrze.

– Schowałeś ją?

Sanchez uśmiechnął się z wyższością, co uczyniło jego twarz jeszcze młodszą, a także bardzo arogancką. Podniósł rękę, obejmując gestem pustynię i zniekształconą upałem, daleką plamę Coronado.

– Tu wszystko się rozpada. Nikogo nie zdziwi, że na podłodze leży trochę więcej gipsu.

Rodzina Raya była jedną z tych pierwszych prawdziwych, nafcjarzskich. Pojawiła się w dolinie przed wielkimi firmami. Dzieciństwo upłynęło mu w okresie od boomu do stopniowego upadku. Matka była meksykańską kucharką, ojciec jednym z najbogatszych prywatnych nafcjarzy swoich czasów. Osiwiał młodo, miał złamany nos i jasną skórę, zawsze zbyt mocno spaloną słońcem.

Ze swojego miejsca na ganku, nisko na horyzoncie, na południu, Ray widział miasto utkane ze wspomnień, ale przecież wiedział, że ono mimo wszystko tam jest. Drewniany kościół z czarną żelazną wieżą, ceglany budynek, w którym brali ślub, szpital, w którym się urodził, wszystkie ustawione w linii przy Main Street, przy szosie biegnącej z północy na południe, obok sklepów

z paszą i ziarnem, restauracji i barów. One wszystkie już za jego życia powoli znikają z mapy. Wątpił, czy za dwadzieścia lat będą jeszcze istnieć, a za sto zostaną po nich pewnie tylko fundamenty i kilka żelaznych słupów ogrodzeniowych.

Większość miasta, w tym dom, w którym teraz siedzieli z Sanchezem, zbudowano w okresie prosperity, na samym początku gorączki naftowej, nim wielkie firmy zaczęły spekulować aktami własności. Ojciec Raya pojawił się tu jako jeden z pierwszych, a Ray wiedział, że nadal tu jest, nawet teraz, chociaż skończyła się ropa i wszystkie stare domy, w których kiedyś mieszkali Sullivanie, Clarkowie i Andersonowie, wielkie firmy porzuciły na łaskę losu, pozostawiając tylko plamy domów na wydzielonych farmach, rozrzucone po dnie doliny.

– Ty zadzwonisz czy ja mam to zrobić?

Ray wstał. Otrzeptał nagromadzony na spodniach kurz. Miał na sobie flanelową koszulę, włożył ją wczoraj przed robotą, i grubą płócienną kurtkę, tę, co zawsze, chroniącą go przed chłodem w noc, kiedy czekał na Burnhama. Krótko przycięte czarne włosy poddawały się czasowi, siwiały na skroniach, skórę też pomarszczyły lata pracy, także tej, którą wykonywał wcześniej, przy ropie.

Mimo że otrzepał spodnie prawie do czysta, potrzebna mu była łazienka, skoro miał zadzwonić. Chciał doprowadzić się do porządku, jakby nie grzebał w piachu przez godzinę, jakby nie kopał płytkiego grobu.

– Ja zadzwonię – powiedział. – To powinienem być ja.

– Kontaktował się ze mną dosłownie przed chwilą.

– Memo? Który to będzie raz?

– Szósty.

– Normalnie też tak robi? Przecież to twój wuj.

– Pracowałem na własny rachunek – przypomniał mu Sanchez. – Mówiłem ci, jak to między nami jest. Chce, żebym czegoś się od ciebie nauczył. Żebym zobaczył, jak pracuje prawdziwy zawodowiec.

– Tak powiedział?

Sanchez uśmiechnął się, pokazując nierówne zęby.

– Mniej więcej.

Ray wiedział, że tu nie pasuje. Nie w ten sposób, nie znowu przy tej robocie. Ale wziął ją po to, żeby wrócić do domu, i teraz był tak blisko niego, jak tego chciał. Od dziesięciu lat nie znajdował się tak blisko Coronado. Jego życie w tym mieście skończyło się, syn, upośledzony po wypadku, w którym zginęła żona Raya, mieszkał z dziadkiem. Samochód, którym tego dnia jechała Marianne, został uderzony z boku jak taranem. Zabito ją specjalnie, żeby skrzywdzić jego. Szosa była pusta jak okiem sięgnąć, biegła prosto na południe, zostały odcisnięte w betonie tylko dwa pasy gumy z opon ciężarówki, która zepchnęła z niej samochód Marianne.

Nie chciał żyć w ten sposób dla syna, okaleczonego, pozbawionego matki. Nie umiałby zająć się takim dzieckiem. Upośledzonym, niemym, siedzącym naprzeciw niego w kompletnej ciszy, przyglądającym się, jak on dzwoni do kuzyna, do Toma, codziennie z tą samą nadzieją, że już więcej nie będzie musiał oglądać chłopca.

Minęło dziesięć lat. Przez ten czas Ray pracował w Las Cruces, tu i tam, miał nawet zlecenia krajowe, czasem aż z Albuquerque, jednak ta robota z Burnhamem była czymś zupełnie innym. Morderstwo z zemsty, znów dla rodziny Mema. Dla ludzi, którzy wciągnęli go w ten rodzaj roboty. Kiedyś. Tylko że nie pracował dla nich od lat, teraz już nawet rozumiał dlaczego. Stres, wolno-amerykanka i znacznie większe ryzyko, niż miał w zwyczaju podejmować. Poza tym był zdecydowanie za blisko miejsca, gdzie ludzie mogli go rozpoznać.

Minęło dziesięć lat od chwili, gdy jego kuzyn Tom stracił przez niego posadę szeryfa.

Ray miał mnóstwo czasu, żeby zniknąć z oczu, porzucić własną krew. Ale wtedy nie widział przed sobą innej drogi, więc uciekł, byle dalej od wszystkich. Wiedział, że pojawią się pytania. I że na te pytania ciągle jeszcze nie odpowiedział.

Uciekł, ponieważ zastawił na kuzyna pułapkę. Chciał wyrównać rachunki z kartelem. Poprosił Toma, żeby przycisnął tę kobietę, nie za mocno. Nie znalazł innego łącznika z kartelem. Nie znalazł innego bezpośredniego związku z Marianne, tylko kartel, tylko kartel mógł winić za to, co się stało. Przepełniała go nienawiść, z którą nie umiał sobie poradzić. Chciał, żeby Tom ją przeraził, przekonał, że zamierza pozbawić ją wszystkiego. W jakiś straszny, najgorszy możliwy sposób jego kuzyn dokonał właśnie tego.

Potem, przez długie, długie lata, Ray robił, co mógł, żeby zapomnieć o rodzinnym miejscu tu, w tej dolinie, o ojcu, synu, wuju, kuzynie. Próbował zapomnieć o tym, co zrobiono jego żonie, o głuchoniemym synku, o życiu, które sobie budowali, i planach na to życie. Jak łatwo te plany przepadły, zniknęły jak grunt usuwany się spod stóp! Jak łatwo życie w jednej chwili nieodwracalnie się zmienia z tego na inne.

Wiedział też, że w tym nowym życiu wszystko, co robi, jest w jakiś sposób puste, że dobrowolne wygnanie niesie tylko poczucie beznadziei towarzyszące mu wszędzie jak zagnieżdżony w skórze pasożyt. Nie było mu widać pisane, by odczuć satysfakcję ani w tym świecie, ani w przyszłym. Będzie wegetował, dopóki nie wypełni tej pustki, dziury przewierczonej na wylot, jak szeroko otwarte okno. Ale siedząc na ganku, patrząc na Coronado, czuł, że nigdy mu się to nie uda. Wraz z tą myślą zabójstwo starego człowieka wśród wzgórz za miastem nagle wydało się czymś łatwym.

Rozległ się pisk pagera. Sanchez odczepił go od paska, spojrzał na numer.

– Siódmy – powiedział Ray.

Sanchez wsunął pager do kieszeni. Pasek bujał się swobodnie.

– Jak mówiłem, to dla mnie jak lekcja.

Zabrali z sobą pick-upa Burnhama. Razem z ich bronco stał za domem Sullivanów. Na horyzoncie leżała cienka szara linia miasta, ledwie widać było wysoką wieżę kościelną. Ray odwrócił się,

przeszył Sancheza nieruchomym spojrzeniem, trwało to dobre dziesięć sekund, jeśli nie więcej.

Młody człowiek musiał zrozumieć, że partner jest śmiertelnie poważny.

– Co ci mówiłem tam, na drodze, kiedy czekaliśmy i nic się jeszcze nie stało? Mówiłem ci, że co jest najważniejsze?

Sanchez przestąpił z nogi na nogę. Uciekł oczami przed spojrzeniem Raya, jak uczeń przed spojrzeniem nauczyciela.

– Żadnych błędów – powiedział.

– Memo wzywał nas siedem razy. Zastrześliś tego chłopaka, tak? Widziałeś, jak dostaje kulę, jak pada martwy na ziemię? Tak mi powiedziałeś, prawda? Czy tak mi powiedziałeś?

– Zastrześliłem go. – Sanchez mocno zacisnął zęby.

□□□

Tom odłożył zdjęcia, które oglądał, stare zdjęcia Marka pracującego przy wieżach wydobywczych, pozującego w żółtym kasku nadzorcy na głowie.

– Miałaś dobrą drogę? – spytała Heather po raz drugi. Była w kuchni, podniosła głos. – Duży ruch?

– Zaraz na północ od Coronado był wypadek. – Tom przeszedł do kuchni z dużego pokoju. Elena siedziała w głębi, odrabiała lekcje przy małym stoliku. – Miałem okazję pogadać przez chwilę z Edną, a potem, bez pośpiechu, dojechałem w półtorej godziny.

– Mam nadzieję, że to nie było nic poważnego – powiedziała Heather, krojąc kurze piersi. – Ktoś, kogo znamy? – Nóż znieruchomiał. Czekwała na odpowiedź.

Przez okno wpadały do kuchni promienie późnopołudniowego słońca. Tom zastanawiał się nad odpowiedzią. Nie wiedział, czy Mark i Heather poznali Deaconów, kiedy mieszkali w Coronado. W ogóle nie była to przecież żadna metropolia, nawet po dwóch latach wstydził się powiedzieć Heather, że musiał wziąć robotę przy bydle, bo jego farma w zasadzie przestała funkcjonować.

Siedząca w kącie Elena podniosła głowę. Czekala, co wujek Tom ma do powiedzenia. Pewnie chciała poznać krwawe szczegóły. Przedtem tak naprawdę zwróciła na niego uwagę, kiedy miała siedem lat, a on przywiózł jej na urodziny pluszową krowę, jedną z tych zabawek, z których wisi sznurek. Wszyscy troje, Heather, Mark i on, słyszeli ją potem w całym domu, naciągającą sznurek, wyrywający krowie z brzucha chrypliwe „muuu...”.

– Nic poważnego. – Tom widział, że mała wraca do odrabiania lekcji. – Poznaliście Deaconów?

– Nie. – Heather pokręciła głową. – Jeśli nie robili w nafcie, to chyba nie mieliśmy okazji.

– Bydło – powiedział Tom. – Moi sąsiedzi, od wieków.

– Ojciec pracował dla nich po tym, jak skończyła się ropa Lamarów?

– Właśnie – przytaknął Tom. Heather skończyła z kurczakiem, przeniosła go do miski na ostrzu noża. – A przy okazji, Edna was pozdrawia.

– Co u niej? Nie odzywała się już od dawna. Musi mieć mnóstwo pracy teraz, kiedy w całym biurze szeryfa została ich tylko trójka.

– To nie był jej dobry dzień – przyznał Tom. – Rzeczywiście są przepracowani. Odjechałem, a po dosłownie pięciu minutach minęła mnie furgonetka telewizji. Jechali do wypadku. Nie sądzę, żeby miało to ją zachwycić.

– Telewizja? Mówiłeś chyba, że to nie było nic poważnego.

– W naszych czasach nie sposób powiedzieć, co ludzie chcą oglądać, a czego nie chcą. – Znów spojrzał na Elenę.

Doprawdy nie wiedział, po co tu w ogóle przyjeżdża. Heather i Mark zrobili z niego ojca chrzestnego dziewczynki, ale on wcale tego nie chciał, i nie uznawał nawet za stosowne, biorąc pod uwagę to, co się stało. Może najlepiej by zrobił, gdyby pozostał w Coronado, nigdzie nie wyjeżdżając, poruszając się po wyznaczonym dla niego z góry kursie. Kelly dobrze zrobiła, przypominając mu, że nie jest już szeryfem. Zdarzały się jednak rzeczy, które przypo-

minały mu, że kiedyś przecież nim był. Miał coś jak szczątkowy ogon, pozostałość z innej epoki.

Heather poprosiła go, żeby wyjął z lodówki tortille. Przyniósł je. Na blacie kuchennym owijali nimi kurczaka w ciężkim milczeniu, które przerwała Heather. Zaczęła go wypytywać, co słyhać w mieście, o zmiany, które zaszły od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni, aż wreszcie zebrała się na odwagę i zadała pytanie o kobietę, z którą spotykał się, raz częściej, raz rzadziej, od piętnastu lat. Chodziło o sekretarkę z biura burmistrza pracującą w siedzibie hrabstwa. Claire była tam zatrudniona, zanim Tom został szeryfem.

– Przestaliśmy się spotykać jakiś miesiąc temu – przyznał, trzymając w rękach opartych o mały, porysowany kuchenny blat przedostatnią tortille.

– Nigdy nie udało się wam wytrzymać razem dłużej niż miesiąc. – Heather roześmiała się. – Ty przestałeś spotykać się z nią czy ona przestała spotykać się z tobą?

– Trudno powiedzieć. Znajomość po prostu się skończyła. Zawsze się tak kończyła i pewnie właśnie skończyła się na dobre. Zmęczyła nas, jak sądzę. Oboje.

– Jakoś się wam jednak układało, raz lepiej, raz gorzej. Od dawna. Nie pomyślałeś, że pewnego dnia może się to zwyczajnie skończyć?

– Nie w ten sposób – powiedział Tom. – Usłyszała, jak burmistrz coś mówi na mój temat, i zamiast dać sobie z tym spokój, spróbowała mnie bronić. Tyle że tego już nie zniósł. Nie odpuścił. Claire powiedziała, że musiała wybrać: albo ja, albo praca.

– To nie w porządku, Tom.

– Wiem, że to nie w porządku, ale trudno się spodziewać, żeby przeze mnie rzuciła pracę tylko dlatego, że burmistrz nie potrafi trzymać gęby na kłódkę. I tak nie łączyło nas wiele, więc łatwo było zrezygnować.

Heather skończyła ostatnią enchiladę. Umieściła ją w brytfannie.

– I tak zawsze myślałam, że między tobą i Edną coś tam jest. – Roześmiała się, a potem posłała mu chytry uśmieszek.

– Nie – zaprzeczył Tom. – Za wiele się zdarzyło, a poza tym przecież wiesz, że parę lat temu wyszła za męża. Nie za mnie. I bardzo dobrze.

Heather trąciła go biodrem.

– Ale tak trochę pokręcić na boku, to nie? No, przyznaj, że miałbyś ochotę.

Lubił ją, nawet bardzo, także dlatego, że potrafiła mówić takie rzeczy. Że go prowokowała. Że dowcipkowała sobie w taki właśnie sposób. Trudno było znaleźć teraz w Coronado ludzi, którzy by go tak traktowali. Ludzi, którzy w jego towarzystwie mieliby ochotę do żartów, jak czasami Kelly, a nawet, w rozmowie, Claire.

Jego podróże na północ, odwiedziny u Eleny, miały wiele wspólnego z tym, jak traktowali go Heather i Mark. Byli dobrymi ludźmi i byli dobrzy dla Eleny, nie zwracali uwagi na to, co łączyło ją z Tomem. Doskonale znał powód, dla którego to oni stali się rodziną Eleny: stworzyli dom. Po wszystkim to oni pierwsi, obcy ludzie mieszkający przy tej samej ulicy, spytali: „A co z dzieckiem?”. Wyszli z domu, wzięli małż z rąk Kelly, zajęli się nią, dopóki na miejscu nie pojawiła się opieka społeczna. Te kilka godzin scementowało ich związek z dzieckiem. Dowiadywali się potem o nią, miesiąc po miesiącu, sprawdzali, kto może sprawować opiekę, czy Elena ma rodzinę w Meksyku, czy ktoś się zgłosił, i nie przestali nawet po przeprowadzce do Las Cruces, gdzie Mark dostał nową pracę. Adoptowali Elenę, gdy miała trzy lata.

Dziesięć minut później Mark wrócił do domu przesyconego słodkim kukurydzianym zapachem enchilad. Tom od dawna nie jadł domowego obiadu.

– Wracasz dziś wieczorem? – spytał Mark, kiedy Heather przeprosiła ich i wstała od stołu. Musiała zawieźć Elenę do przyjaciółki.

Tom sprawdził godzinę. Było jeszcze wcześniej, a lokalne wiadomości miały się zacząć za dziesięć minut.

– Nie będę wam przeszkadzał, jeśli zostanę na wiadomości? Potem od razu wracam do siebie. Chciałbym wyjechać, póki na drodze coś jeszcze widać.

– Jak dla mnie, mógłbyś zostać na noc – odparł Mark. – Miło byłoby mieć kogoś dorosłego do towarzystwa. Nie wiem, czy zauważyłeś, że Elena jakoś ostatnio niezbyt chętnie z nami rozmawia.

Tom pomógł mu sprzątnąć ze stołu, a kiedy skończyli, Mark przyniósł piwo. Usiedli wygodnie, włączyli telewizor. Heather wróciła, nim zaczęły się wiadomości.

Najpierw podano informację o strzelaninie w pobliżu Coronado. Stojąca na poboczu Kelly, robiąca co w jej mocy, by nie odpowiedzieć na zadawane pytania, wyglądała na zmęczoną i bardzo niepewną siebie.

– Zdaje się, mówiłeś, że to nic poważnego? – zauważyła Heather, kiedy na ekranie znów pojawił się prezenter.

– Bo to nie jest nic poważnego – odparł Tom. Słuchał monologu prowadzącego, który mówił coś o nielegalnych imigrantach i nieszczelności granicy.

– Więc o co chodzi z tym postrzelonym chłopakiem?

– Edna ma kiepski dzień. – Tom pokręcił głową.

Kolejnym tematem były wojny o ropę toczone gdzieś na drugim krańcu świata. Pokazano ciemne nocne niebo rozświetlone zielonymi błyskami bomb wybuchających na tle sylwetek wieżowców. Potem zmiana, sprawozdawca sportowy opowiadał o szkolnej lidze.

Mark gwizdnął cicho. Napił się piwa.

– Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni pofatygowali się posłać ekipę do Coronado. O ile pamiętam, to...

Tom poprawił się w fotelu. Przyglądał się młodym koszykarzom przeprowadzającym szybki atak.

– Jakies dziesięć lat temu – dokończył.

– Nie chciałem... – usprawiedliwił się Mark.

– Przecież wiem.

– Tak mi się powiedziało.

- Nie przejmuj się. – Tom dopił piwo jednym łykiem.
Wstał, żeby zanieść butelkę do kuchni.
- Myślisz, że Edna sobie poradzi? – spytała Heather.
Tom zatrzymał się pośrodku dużego pokoju.
- Wiesz, jacy oni są – powiedział. – Do jutra o wszystkim zapomną. Przecież to nie ona go zastrzeliła.



Szeryf Edna Kelly patrzyła na kulki zaschłej krwi wymieszanej z piachem. Wyjęła z kieszeni długopis, przetoczyła jedną z nich, wstała, ale nie odrywała od niej wzroku. Ucisk w żołądku, napięte mięśnie brzucha, jakby groziło jej nieznanie niebezpieczeństwo. Tam, na szosie, została plama krwi w miejscu, gdzie chłopak położył się przed pick-upem Deacona z nadzieją, że go w ten sposób zatrzyma. Teraz, po wielu godzinach, widziała czekające na nią cierpliwie wozy telewizji, podczas gdy ona i jej zastępcy szli po równinie tropem krwi. Nierówne kroki chłopaka, szedł zygzakiem, już dostał kulę, widać było, z jakim wysiłkiem stawiał nogę za nogą, potykał się, padał raz za razem, lecz jednak wytrwale parł przed siebie.

Na szosie czekają wozy telewizji. Już trzy, ten trzeci pojawił się przed zaledwie trzydziestoma minutami. Przedtem kilka przyjechało i odjechało, dziennikarze rozmawiali z nią, a potem uwozili swe historie na północ, do Las Cruces albo Albuquerque. Każdy chciał, żeby powiedziała do kamery, co mówiła wcześniej do zbyt wielu innych kamer konkurencji. Spojrzała na kulę krwi na piasku. Zachowała się w idealnym stanie. Leżała na śladach chłopaka jak nieoszlifowany diament czekający, by ktoś go podniósł.

Nie chciała tej roboty. Nigdy. Kiedy zginęła Angela Lopez, Kelly miała dwadzieścia sześć lat. Eli zaproponował jej wtedy, żeby została szeryfem tymczasowo. Zaledwie tydzień po tym, jak zaczęły się przesłuchania i Tom ustąpił ze stanowiska, a ona przejęła wszystkie jego obowiązki.

Myślała o tym i tylko o tym, idąc przez pustynię po tropie krwi. Ślady stóp ciągną się przed nią, daleko, odciśnięte na piasku i krwi. Chłopak biegnie, pozostawiając je za sobą, od czasu do czasu zostawiając też za sobą odcisk ręki, tam gdzie się potknął, podparł, by odzyskać równowagę. Wgłębienie długości ciała, tu się przewrócił.

Każdy krok opowiadał swoją historię, aż wreszcie nie było już śladów krwi. Hastings przesunął nad piaskiem wykrywacz metalu, Pierce robił zdjęcia czerwonych plam. Gruba warstwa krwi wsiąkła w piasek tuż u jego stóp. Wozy transmisyjne oraz kamerzyści towarzyszyli im na każdym kroku. Silne światła pozostawiały kałuże mroku między wydmami.

Dotarli do miejsca, w którym chłopaka postrzelono. Dostał na szczycie wydmy, upadł, potoczył się w dół.

Znaleźli się na granicy równiny. Samochody zostały jakieś czterysta metrów za nimi, po lewej rozciągały się wzgórza. Kelly i ten nowy, Pierce, stali nieruchomo, wpatrując się w ziemię.

– Dziwnie pomyśleć, że to ludzka krew – powiedziała Kelly, nie wiedząc, dlaczego to mówi, nie wiedząc nawet, dlaczego to pomyślała. Być może musiała powiedzieć coś, cokolwiek, co rozładowałoby sytuację, sprawiło, że wbrew okolicznościom to miejsce stałoby się małą oazą normalności.

Zastępca Pierce przesunął się lekko, zrobił zdjęcie, przewinął film. Najmłodszy ze wszystkich, zatrudniony zaraz po szkole, zarabiał o wiele za mało. Patrzyła na niego, wiedząc, że nic nie powie, nie tu, nie o tym. Po prostu wykonywał swoją pracę. Na pierwszy rzut oka widać było, że chce ją już skończyć, im szybciej, tym lepiej.

Pod wieloma względami Pierce był jeszcze dzieckiem, ale wystarczająco dużym, by dostać pracę, więc robił zdjęcia i pomagał, jak mógł. Hastings nadal przesunął wykrywaczem metalu to w jedną, to w drugą stronę. Słyszała monotonne „biiop...”, z którym pracowicie badał to, co zostało przysypane przez piasek.

Przyklęknął. W słuchawkach usłyszał długie niskie „bliiiiip”. Pierce i Kelly odwrócili się w jego stronę. Widzieli, jak się pochy-

lił, na dłoniach miał gumowe rękawiczki, w ręku trzymał plastikową torebkę.

Miał trzydzieści osiem lat, był więc od niej o dwa lata starszy. Dorastali razem, wspólnie rzucali kamieniami w puszkę po piwie, aranżowali skomplikowane wersje chowanego po całym mieście. W szkole średniej ich drogi rozeszły się, rozdzielił ich wiek, płęć czy co tam, Kelly właściwie nie wiedziała co. Trwało to do czasów, gdy mieli po dwadzieścia parę lat, Hastings wyniósł się wtedy z miasta na dobre. Objężdżał zachodnie stany, ujeżdżał byki, potem pomagał przy rodeo, aż pojawiły się problemy z kręgosłupem. Wrócił do Coronado, mając prawie trzydziestkę, a włosy już zaczynały mu siwieć.

Na oczach Kelly przesiewał piasek dłonią w rękawiczkę, znalazł coś, wrzucił do plastikowej torebki. Podeszła bliżej, żeby sprawdzić, co to.

– Wygląda na trzystaósemkę – powiedział, podając jej torebkę.

Obróciła ją na dłoni. Pocisk miał z pięć centymetrów długości. Metal już zaczął rdzewieć od środka. Lepił się od krwi, czubek miał lekko zniekształcony od uderzenia. Widziała milion takich na strzelnicy, wyciąganych z worków z piaskiem, pogiętych nie do poznania.

– Broń myśliwska? – spytała.

Hastings pokręcił głową.

– Jakoś mi na to nie wygląda... za blisko szosy – powiedziała.

– Myślisz, że doszło do wypadku?

– Mam nadzieję. Lepsze to od alternatywy. – Kelly oddała zastępcy torebkę. Poleciała mu, żeby, kiedy odejdą, szukał dalej w kierunku północnym. – Co z łuską? – spytała jeszcze.

– Ciągłe szukamy.

Kelly ruszyła przed siebie w pełni świadoma, że telewizja czeka na nią gdzieś tam, za jej plecami. Snop światła sięgał aż tutaj. Odnalazła ślady chłopaka po drugiej stronie pagórka. Noga za nogą. Równe kroki. Jeszcze nie dostał kuli. Zaczęła układać to sobie w głowie. Chłopak wspina się na pagórek, biegnie do drogi, w dali srebrny odbłask od szyby samochodu, zgrzyt redukowa-

nych biegów, ciężarówka z naczepą jedzie na północ. Nawet w tej chwili, tak od niej daleko, od czasu do czasu słyszy przejeżdżające samochody, odległy podmuch powietrza. To, czego szukała wzrokiem z taką uwagą, kolejne ślady ofiary, chwiejne, nierówne kroki, na zbocze, ze zbocza, wydawały się bardzo nie na miejscu.

Zeszła ze zbocza kolejnego pagórka i nagle stanęła na granicy równiny. Przed sobą miała wzgórze. Przyglądała się śladom przez długą chwilę. Sprawdzała, skąd przyszedł, zauważyła, jak głęboko jego stopy wbijały się w miękką ziemię. Coś tu było zdecydowanie nie tak. Ślady były za szerokie, za głębokie, jakby ktoś przedzierał się przez śnieżne pole. Nagle zorientowała się, że patrzy na trop nie jednego człowieka, lecz dwóch ludzi. Chłopaka i kogoś innego, podążającego za nim i zacierającego jego ślad.

Ktokolwiek strzelał, wyszedł za nim aż tu, na równinę. Żeby dokończyć robotę. Przed nią wznosiło się wzgórze porośnięte akacjami. Nic, tylko zielonobrzazowe krzaki, jak daleko sięga wzrok, aż do szczytu, a w krzakach, tak splątanych, że nie sposób było nawet zajrzeć w ich gąszcz, ptaki oznajmiały śpiewem swoją obecność. Ślady chłopaka kończyły się na dole, tam gdzie wzgórze stykały się z równiną. Ziemia była tu twardsza, błoto zastygłe na beton, kanał wyżłobiony przez wodę spływającą ze wzgórz. Pasy zostawione przez koła motocykli, dwóch, może trzech, pozostały po deszczu sprzed dwóch tygodni, a poza tym nic. Ani śladu stóp.

□□□

Ray przyłożył czoło do szyby. Stał w budce telefonicznej przy barze Lucky Strike, jakieś dziesięć kilometrów na północ od miasta.

– Dzieciak żyje?
– Chyba że specjalnie dla mnie łgano w wiadomościach – usłyszał głos Mema.

Nie miał nic do powiedzenia. Myślał o Memie, siedzącym przy swym biurku w Las Cruces, o jego czarnych brwiach, tak uderza-

jących przy wygolonej głowie, słuchawce telefonu przyłożonej do ucha. Dzieciak żył. Ray myślał o tym, co to znaczy, co może znaczyć, o skutkach, które objawią się prędzej czy później. Memo był uparty jak mało kto. Ale sprytny też. Ray nie słyszał o żadnym jego planie, który by nie wypalił, nie, jeśli on sam był częścią tego planu i trzeba było rozlać krew.

– Gdzie jesteś? – spytał Memo.

– Tuż za Coronado.

– Nie majak w domu. – Mówił śpiwnie, jak wtedy, gdy słowami zapędził go do narożnika, gdy gadaniem skłonił go przed laty do wybrania tej drogi w życiu, proponując pieniądze za coś, co w owym czasie wydawało się tak prostą pracą.

– Zrobiłem, co powinienem zrobić. Mam to, co miałem zdobyć. Wszystko inne liczy się ekstra, rozumiesz?

– Masz problem – odezwał się Memo. – Jeśli nie zlikwidujesz swojego problemu, stanie się moim problemem. Nie chcę, żeby tak się stało, i jestem pewien, że ty też tego nie chcesz.

– Wrobiłeś mnie. Wiedziałeś, co się stanie z Burnhamem, kiedy tylko go zobaczę. Wiedziałeś, że od tej chwili będzie martwy.

– Tak – przyznał Memo. – Ale myślałem, że zrobisz lepszą robotę.

– Mówisz mi, żebym zabił chłopaka?

– Mówię ci, żebyś rozwiązał problem.

– Nie do mnie z tym. – Ray przeczesał włosy, poczuł pod dłonią łysinę. Robiło się późno, tak późno, że promienie słońca rysowały już na parkingu długie, cienkie cienie, budowały świat na szczudłach wyglądający tak, jakby miał się lada chwila przewrócić. W barze, widoczny przez szybę, Sanchez rozmawiał z młodą kelnerką. – To twój siostrzeniec wpakował nas w kłopoty. To on ma problem. On wszystko spieprzył, nakłamał mi, że zabił chłopaka, więc niech teraz załatwia sprawy.

– Myślisz, że wie, co robi? Jest tam z tobą, bo to ty podobno wiesz, jak się zachować. Wiem, że nie możesz dopuścić, żeby zostało, jak jest. Kiedy chłopak zacznie mówić, dotrą do ciebie i będzie dokładnie tak jak przed dziesięciu laty. Tym razem nie dam

radę cię osłonić, jak wtedy, gdy twój kuzyn zabił za ciebie. To teraz twoja sprawa. Chłopak leży w szpitalu. Jeśli cię zidentyfikuje albo choć rzuci na ciebie podejrzenia, nie będę mógł nic zrobić. Oni po ciebie przyjdą. Nikt ich nie zatrzyma. Sam powinieneś to wiedzieć.

– Oni? – spytał Ray.

– Kartel.

Co mam takiego, żeby im się opłacało przychodzić? – Ray był wściekły, gniew słychać było w jego głosie. – A poza tym... – wstrzymał oddech, trochę się uspokoił – ...Burnham nie był z kartelu. Stary biały człowiek, który za długo tkwił w tym biznesie.

– Owszem – przyznał Memo. – Burnham nie był z kartelu. Ten mały, którego mój siostrzeniec zranił, a powiedział ci, że zastrzelił też. Do kartelu należała za to heroina, którą zabraliście z ich samochodu. Ich import. Zechcą ją odzyskać. Sugeruję, żebyś jednak nie zostawiał świadków.

Ray przypomniał sobie, jak stary leżał na ziemi, a krew ciekła mu strużką z rannego policzka. Myślał o tym, ale też o słowach wypowiedzianych do niego przez Burnhama tymi zakrwawionymi ustami.

Niczego nie pragnął bardziej, niż rzucić słuchawkę i odejść. Skończyć z Memem i tym łgarzem, jego siostrzeńcem. Wszystko razem, to, że tu jest, że robi swoją robotę, miało być tylko sposobem na powrót do Coronado, ustawienie się na najbliższe lata. Odciałby się od przeszłości, od ojca, syna, kuzyna, wszystkiego, co zostawił za sobą. Teraz chciał tylko jednego: wrócić do domu.

Wtedy, przed laty, okłamywał sam siebie. Okłamywał Marianne, kiedy jej obiecywał, że będzie kimś lepszym od zwykłego robotnika na polu naftowym, że go na to stać. Nie tak to w końcu wyglądało. Nie teraz, kiedy stał w budce i słuchał, jak Memo radzi mu załatwić problem. Nie – pomyślał – tu nie ma niczego, co mogłoby uczynić mnie lepszym, spełnić obietnicę złożoną Marianne.

– Teraz dowiem się od ciebie, o co tu w ogóle chodzi – odezwał się do słuchawki. – Powiedz mi, skąd wiedziałeś, gdzie będą Burnham i ten chłopak i co będą z sobą mieli.

– Masz pod kontrolą miasto, masz pod kontrolą przepływ dóbr – odparł Memo.

– Tylko tyle? Więc to tak mi wyjaśniasz tę... tę sytuację.

– Ona nie jest problemem.

– Burnham puścił farbę?

– Przykro mi z powodu sytuacji, w której obaj się znaleźliśmy, ale naprawdę powinieneś skupić uwagę na teraźniejszości.

– Chcesz, żebym skończył, co twój siostrzeniec zaczął?

– Jesteś z Coronado. Powinieneś swobodnie się tam poruszać.

– Byłem z Coronado. Już nie jestem.

– Będzie ci łatwiej niż nam.

– Przez dziesięć lat trzymałem się z dala...

– I są między nami pewne różnice – przerwał mu Memo. – Jesteś synem nacierza, który ożenił się ze swą meksykańską kucharką. Jesteś w połowie biały. Bardzo się od nas różnisz.

Ray obserwował samochód jadący szosą w stronę miasta. Gdzieś głęboko w głowie zaczynało mu huczeć, jakby świat urwał się ze swej osi i lada chwila miał odtoczyć gdzieś daleko.

– Nie myślałeś, że wiem wszystko? – Memo roześmiał się, ale nie do końca, jakby powstrzymywał się od śmiechu, jakby Ray uczestniczył w jego niedopowiedzianym do puenty dowcipie. – Naprawdę myślałeś, że nie sprawdzimy cię, nim zaczniesz dla nas pracować? Że nie zadamy pytań, kiedy wpadłeś w te swoje kłopoty? Kiedy cię ukrywaliśmy i osłanialiśmy? – Ray usłyszał, jak Memo odsuwa słuchawkę od jednego ucha, przykładając ją do drugiego. Wyobraził go sobie siedzącego w swym biurze w Las Cruces. Biurko z ciemnego drewna, po jednej stronie on, po drugiej krzesło, na którym siedział Memo, kiedy dostawał pierwszą robotę. – A teraz myślisz, że możesz wrócić do nas, kiedy ci się podoba, wybrać sobie pracę i odejść jakby nigdy nic?

Ray pochylił się, oparł głowę na ramieniu, przenosząc ciężar ciała na szybę budki. Wessał policzki do ust tak głęboko, że mógł je przygryźć. Z Memem koniec. Teraz już to wiedział.

– Odpuszczam – powiedział. – Nie wracam, nie po tym, co się stało. Wyślę twojego siostrzeńca na północ razem z towarem,

zrobię, co chcesz, ale po tym koniec. Za długo chroniłem się przed przeszłością. Jeśli twój siostrzeniec wyjedzie teraz, nikt nie będzie szukał samochodu starego. Jeśli wyjedzie teraz, to wszystko się ułoży. Zrobię, co chcesz, ale potem biorę forszę i masz więcej się do mnie nie odzywać.

– Nie – rzucił Memo. – Nie mogę zaufać mojemu siostrzeńcowi. Za wiele już spieprzył. Ty musisz się tym zająć. Chcę, żebyś to dla mnie skończył. Zatrzymaj jego pager, wyślij go na północ, ale nie wysyłaj go z towarem. Nie mogę mu ufać. Chcę, żebyś to schował, a kiedy już skończysz i będzie po wszystkim, kogoś po to wyślę.

– Tyle mogę zrobić – zgodził się Ray. – Ale... słyszałeś, co mówię? Nie wracam.

– Skoro właśnie tego chcesz... Jeśli sądzisz, że to załatwi twój problem. Ale powinieneś wiedzieć, że wszystko jest na twojej głowie. Jeśli z jakiegoś powodu towaru nie będzie, gdzie powiedziałeś, to twój problem.

– Dostaniesz towar. Nawet jeszcze dziś, jeśli pozwolisz mi wysłać go na północ z siostrzeńcem.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że mój siostrzeniec nie nadaje się do tego typu pracy. Ma za wielkie jaja. Myśli, że pewnego dnia to on pokieruje interesem. Ty jesteś czysty, nikt cię nie ruszył, nie siedziałeś, nie ciąży na tobie nic oprócz tego, co się zdarzyło dziesięć lat temu. Zrobiłeś dla nas kupę dobrej roboty, ale miasto nie rozwiąże twoich problemów. Coronado nigdy nie będzie takie samo, jak było, kiedy żyła twoja żona. Za dużo czasu minęło, żebyś mógł tak po prostu wrócić.

Ray rozpakował i rozgryzł pastylkę antacydu. Wiedział, że Memo ma rację, że nic nigdy nie będzie takie samo, chociaż miał nadzieję, że może będzie. Że wyśle Sancheza na północ, a sam zostanie.

– Antacyd? – spytał Memo. – Tyle lat, a ty to ciągle żresz.

– Zgaga – wyjaśnił Ray.

– A mówiłem, żebyś poszedł do lekarza!

– Poszedłem.

- I co? Powiedział, że masz brać to świństwo?
- Powiedział mi mnóstwo różnych rzeczy, ale go nie słuchałem.
- Niedobrze – zatroskał się Memo. – Bardzo niedobrze. Powinieneś słuchać, co doktorzy mają ci do powiedzenia.
- Dlaczego?
- Zazwyczaj próbują ocalić ci życie.

Ray spojrział przez parking na siedzącego w barze Sancheza, a potem odwrócił wzrok. W ustach ciągle czuł gorzki smak antacydu. Burnham miał rację: wszystko się zmieniło. Nic nie było tak jak przedtem, a on teraz utkwiał w tym życiu, z nogą przerzucaną nad siatką oddzielającą ten nowy świat od starego świata, świadom, że nie powinien był wrócić do Coronado po tą robotę.

- Jesteś gotów mnie wysłuchać? – spytał Memo.

Z kieszeni kurtki Ray wyjął małą pomarańczową buteleczkę lekarstwa, które zapisał mu doktor z Wirginii. Miało pomóc mu w koncentracji, naprostować mu w głowie, żeby mógł skupić się na teraźniejszości. Żeby mógł zapomnieć o duchach towarzyszących mu na każdym kroku. Tylko że lekarstwo chyba nie działało albo może się na nie uodpornił, bo od dawna nic nie wydawało mu się w porządku.

- Jasne – powiedział. – Słucham cię.



Było jeszcze wcześniej, kiedy Tom przejechał przez Rio Grande po drodze do domu. Okno od strony pasażera miał otwarte, dla Jeanie, czuł zapach gliny unoszący się nad wodą.

Być może chodziło tylko o ten wypadek na drodze, może o obecność telewizji, a być może o to, że Mark wspomniiał o wypadku sprzed lat. Nie wiedział na pewno. Ale było w nim to wszystko, głęboko zakorzenione, a teraz uwolnione, objęło się od środka, obciążało umysł, wielkie jak drzewo wyrwane ze swego miejsca na brzegu, jeszcze zielone od liści, wykorzenione i przedziwnie żywe nawet teraz, gdy spływało rzeką.

Droga zajęła mu dwie godziny. Nie był do końca świadom, dokąd jedzie, zanim przyjechał na miejsce. Zjechał z szosy piętnaście kilometrów przed Coronado, ruszył na zachód długą drogą gruntową, patrząc na promienie zachodzącego słońca przez ogrodzenia dla bydła. Dom wyglądał jak zawsze, jakby nieco krzywy, z wielkim frontowym oknem oświetlonym od środka lampą. Stare domki dla pracowników, znał je od dziecka, ładny kawałek oddalone od jego domu rodzinnego, powoli zapadające się w ziemię. Deski przegniły, suszona w słońcu cegła kruszyła się i odpadała.

Przyjechał tu z jednego prostego powodu: nie chciał wracać do siebie. Zadzwoił do drzwi. Czekał. Otworzył je Gus.

Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę bez słowa.

– Oglądałeś wiadomości? – spytał Tom.

Gus nadal przyglądał się siostrzeńcowi.

– Oglądałem – powiedział, przerywając milczenie. – Spodziewałem się, że zechcesz przyjechać, raz jeszcze przeżyć stare dobre dni. Miałem rację? – Przytrzymał siatkowe drzwi, wpuścił gościa do środka.

Dom pachniał jak dawno temu, Tom dorastał z tym zapachem, trochę gotowanego mięsa i trochę talku, teraz przeniósł go on w przeszłość o dziesięciolecia. Stare zielone tapety, solidne drewniane meble z ociosanego drewna, zakurzone abażury lamp, spłowiałe zasłony, zawsze zasłaniające tę samą ćwierć okna.

– Jest mój ojciec? – spytał Tom, kiedy już ulokował się w jednym ze stojących w pokoju dziennym foteli.

– Nie widziałem, żeby szedł do baru, więc pewnie znajdziesz go gdzieś tam z tyłu domu. Jeśli chce ci się szukać. – Gus stał prawie pośrodku pokoju, bliżej kominka. Nie spuszczał wzroku z siostrzeńca.

– Nie – odpowiedział Tom. – Pomyślałem, że po prostu wypada zapytać. Ostatnio często widuję go w pracy, to wystarczy.

– Kawy?

– Jeśli masz...

Gus krzątał się w kuchni. Tom wstał. Oglądał stare fotografie Raya stojące na półce nad kominkiem. Ray w mundurze, Ray i on jako dzieci, stali przy jednej z tych ażurowych stalowych wież wiertniczych w dolinie, Gus i jego żona przed trzydziestu laty. I, przy samej krawędzi półki, ostatnie zdjęcie Gusa, Raya i Marianne. Sprzed dwunastu lat. Marianne w ciąży z Billym.

– Gdzie Billy? – spytał.

– Idź do jego pokoju, tam go znajdziesz.

Tom przeszedł korytarzem prowadzącym na tyły domu.

Otworzył drzwi pokoju Billy'ego. Kiedyś, gdy byli dziećmi, to był pokój Raya, zostało po nim łóżko i szafa, stały w tym samym miejscu, a teraz patrzył jeszcze na wiszące na ścianach dioramy różnych egzotycznych miejsc, dzieło syna Raya. Pełno tu było chaotycznie rozstawionych pudełek na buty ze scenami z dżungli, wysp tropikalnych i egzotycznych dalekich wiosek, zrobione z kawałków drutu, malowanych gazet i sztywnej tektury.

Billy siedział na łóżku. Dziecięcymi nożyczkami ciął karton, w starym pudełku po butach dojrzywał na pół gotowy kolejny fantastyczny pejzaż.

– Nieźle – powiedział Tom tak, by chłopiec mógł odczytać słowa z ruchu warg, a chwilę później zamigał: – Zaczynasz być w tym naprawdę dobry.

– Dziękuję – odmigał Billy i wrócił do pracy. Był niewysoki, chudy jak na swój wiek. Przez jego czarne włosy biegła blizna, pozostałość po trepanacji likwidującej krwotok śródczaszkowy. O trwałym skutku wypadku świadczył też aparat słuchowy, chociaż chłopiec nie korzystał z niego prawie nigdy.

Tom zamknął drzwi. Wrócił do pokoju dziennego. Z półki nad kominkiem zdjął jedno ze zdjęć, przyjrzał się twarzy kuzyna. Całe dni rozmawiali o tym, co zrobić z Billym, i o tym, że Ray nie może żyć bez Marianne, nie może poradzić sobie z jej stratą. Przez kilka tygodni po wypadku Tom jeździł do Raya do domu, siedział z nim przy stole kuchennym, patrzył, jak kuzyn się upija. Billy siedział na dzieciennym wysokim krzeselku, cały czas próbo-

wał zdjąć z głowy bandaż, był taki cichy, a lekarze nie zostawili nawet cienia nadziei, twierdząc, że nigdy nie będzie normalny.

– Wiem, że to złe – powtarzał Ray – ale ja już dłużej nie mogę.
– Dopijał trzecie piwo, machał ręką, pokazywał rozrzucone na stole lekarstwa, jego i syna. Antydepresanty i antybiotyki dla dzieci. – Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Tom patrzył na Billy'ego siedzącego na dziecięcym krześle, niepróbującego już zdjąć opatrunku, nie, małe tłuste rączki próbowały teraz sięgnąć po plaster i bandaż na stole.

– Chcę, żebyś coś z tym zrobił – zażądał Ray. – Musisz coś z tym zrobić!

– Wiesz, że nie zrobię. – Tom pokręcił głową.

Ray zawsze, przy każdej rozmowie, prosił go o to samo. Chciał, żeby Tom spotkał się z tą Lopez, żeby ją nastraszył, żeby ją wygnał z miasta. Tom siedział, słuchał go, ale najbardziej chciał wyjść. Dom śmierdział środkami odkażającymi i gnijącym mięsem. Ray po prostu sobie odpuścił.

– Oddaję Billy'ego – oznajmił Ray. – Zawiozę go do ojca. Na jakiś czas. Nie mogę tak dalej żyć.

– To znaczy jak? – spytał Tom. – Musisz się pozbierać. Nie możesz tak po prostu zniknąć.

– Człowiek, dla którego teraz pracuję, obiecał mi pomoc, powiedział, że może mi pomóc w związku z tym, co stało się Marianne.

– Coś naprawdę złego stało się tobie, Ray. Z tym nie mamy do kąd pójść. Chcę ci pomóc, ale nie mogę ot tak sobie stukać do drzwi kartelu, pokazywać winnych palcem. To, co stało się z Marianne, jest straszne, ale jeśli wyjedziesz, oddasz Billy'ego... to przecież nie rozwiąże problemu.

– Kiedyś byłem ja. Teraz to też ja, ale jest mnie trochę mniej. Rozumiesz? Nie wiem, jak odzyskać tę część, której nie ma.

– Jezu, Ray, może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ludziom takie rzeczy się zdarzają.

– I z każdym dniem będzie mi trochę lżej – zacytował Ray cichym, okrutnym głosem. – Słyszałem to już. Od lekarzy.

– Nie mówią ci tego bez powodu.

– Ale mnie nie jest lepiej, Tom. Nie mnie. To, co się stało Marianne... to mój błąd. Ja jestem wszystkiemu winien. Rozumiesz? Nie powinienem zacząć pracować dla tego człowieka, ale zrobiłem to, a czasu nie da się cofnąć. Kartel już wie, kim jestem, a ja chcę teraz zrobić, co najlepsze dla wszystkich. Billy ucierpiał przeze mnie. – Ray dopił piwo. Postawił butelkę na stole, głośno, ale Billy tego nie zauważył. Ray chwycił tę butelkę, zaczął uderzać nią w stół coraz głośniej i głośniej, ale chłopiec nie podniósł głowy, nawet wtedy, gdy Ray cisnął nią przez pokój, w ścianę, i gdy, nie tłukąc się, upadła na podłogę. Milczał chwilę, a potem powiedział: – Nie daję sobie rady, Tom.

– Jest dzieckiem specjalnej troski. To wszystko. Nie przestał być twoim chłopakiem. Jest, kim był.

– Mówią mi, że będzie musiał chodzić do szkoły specjalnej. – Ray nawet nie spojrzał na Toma. – Jest opóźniony w rozwoju. Nigdy nie będzie normalny. I ty o tym dobrze wiesz.

Tom pokręcił głową. To, co słyszał od Raya, zabrzmiało okropnie, nie pasowało do niego, ale nie było sensu mu o tym mówić. Siedzieli tak przez jakiś czas, a potem Tom wstał, podniósł butelkę, poszli do pokoju dziennego i oglądali telewizję. Billy siedział na kolanach Toma, a Ray pił kolejne piwo.

Następnego dnia Tom poszedł do domu Angeli Lopez i zastrzelił ją z bliskiej odległości. Ani przez chwilę, nawet idąc po schodach, nie miał wątpliwości, że to nikomu w niczym nie pomoże. Nie pomoże jemu, bo nie jest w stanie pomóc Rayowi w jego problemach, nie przywróci życia Marianne, niczego nie naprawi. Wiedział, że niczego nie naprawi, a jednak miał nadzieję, że naprawi. Mijał czas. Przez wiele lat zastanawiał się nad tym, co zaszło, ale nie potrafił powiedzieć, czy zrobił to z premedytacją, czy też, jak uważali wszyscy, po prostu zdarzył się wypadek.

Kiedy wkrótce potem zadzwonił do Raya, nikt nie podnosił słuchawki, a po paru dniach dowiedział się, że Ray zostawił Billy'ego z Gusem i wyjechał na północ.

Teraz, po dziesięciu latach, trzymając w dłoniach zdjęcie, Tom przyglądał się twarzy, która wcale się nie zmieniła, była twarzą jego kuzyna taką jak przed laty. Zanim się to wszystko zdarzyło, zanim wyschły szyby wiertnicze Lamarów, zanim rodzina straciła pieniądze, a Ray zostawił synka pod opieką Gusa.

– Ray się nie odzywał? – spytał Tom, podnosząc głos, żeby sły-
chać go było w kuchni.

Znasz odpowiedź na to pytanie równie dobrze jak ja – odparł Gus.

Trzymając w dłoni zdjęcie, Tom podszedł do drzwi kuchennych. Przyglądał się, jak Gus napełnia zbiorniczek wodą, jak odwraca się, wsypuje kawę do ekspresu.

– Nigdy nie wydawało ci się, że powinieneś postąpić w przeszłości inaczej, niż postąpiłeś? – spytał.

Gus czekał, aż kawa zacznie się parzyć, a potem spojrzał na stojącego w drzwiach gościa.

– Za stary jestem, żebyś zadawał mi takie pytania. Postąpiłem tak, a nie inaczej. I koniec. Co się stało, to się nie odstanie.

– Byłem dziś u Eleny – oznajmił Tom.

– No to miałaś święto, nie?

– Chyba można tak powiedzieć. Z pewnością miałem do czego wrócić wspomnieniami.

– Chciałbyś wrócić nie tylko wspomnieniami? – Do szklanego dzbanka ściekał już ciemny płyn. – O to ci chodzi? Zacząć wszystko od nowa, nowe śledztwo DEA*, bo poszedłeś za radą Raya, a ta rada akurat nie wypaliła? Tego byś chciał?

– Szczerze? Czasami tego właśnie bym chciał. Czasami myślę, że mógłbym przejść przez to bez szwanku.

Gus uśmiechnął się do Toma smutno.

– Udało ci się, bo sędzia potraktował cię łagodnie. Nie powiem, żebyś przez to, co się stało, zasługiwał na karę, jakiej niektórzy chcieli, nie, tego nie powiem. Ale możesz uważać się za szczęściarza. – Gus nalał kawy i przeszli do pokoju dziennego. – Rozmawiamy o tym co parą lat, nie? Czasami myślę, że przyjeżdżasz, bo

chcesz po prostu pogadać, a czasami, dziś na przykład, myślę, że tylko zastępuję Raya, bo go nie ma.

Tom wypił łyk kawy, gorącej, gorzkiej na języku.

– Czy mówiłem ci kiedyś, że próbowałem go wytropić przez kumpla z DEA?

– Nie myślałem, że masz jakichś kumpli w DEA.

– Tak naprawdę to rzeczywiście nie mam – przyznał Tom. Opowiedział Gusowi o agencji Tollville'u, starym znajomym, który pomagał mu w pracy jeszcze w latach osiemdziesiątych, ale potem nawet z sobą nie rozmawiali, więc kiedy zadzwonił, miesiąc przed przyjazdem Tollville'a na zeznania w jego sprawie, mocno Toma tym zaskoczył.

– Chcesz, żebym ci sprawdził Raymonda Lamara? – spytał agent, nawet nie próbując ukryć zaskoczenia. – Myślisz, że go jeszcze nie sprawdziliśmy? Niczego nie znaleźliśmy.

Coś tam jednak mieli: akta wojskowe Raya z jego kolejnych okresów służby odbytej w prawie całej Azji Południowo-Wschodniej na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nim wojna w ogóle się zaczęła. Operacje specjalne, większość dopiero co odtajniono. Obecny adres: brak. Numer telefonu: brak. Podobno pracował dla jakiejś firmy handlującej ziemią w Las Cruces, ale okazało się, że to fałszywa informacja.

Gus dopił kawę. Patrzył na Toma i czekał. Nie doczekał się komentarza.

– Twój kuzyn nigdy nie był dobrym człowiekiem – powiedział. – Nie zapowiadał się na dobrego człowieka. Nigdy nie będzie dobrym człowiekiem.

– Ostre słowa jak na ojca.

– Nie mówię, że go nie kocham, ale chyba sam wiesz, że kiedy skończyła się ropa, podjął kilka złych decyzji. – Gus wstał. Wyszedł do kuchni. Ray znikł przed dziesięciu laty, do tej pory nie dał znaku życia. Pozostał po nim syn, pozostał też grób żony w dolinie, pod wielkim dębem, całkiem blisko grobu żony Gusa, który miał prawie osiemdziesiąt lat. Powtarzał, że jego pewnie też tam pochowają. – Skończyłeś? – spytał głośno.

- Kawę?
- Nie. - Gus stanął w drzwiach. Przyglądał się gościowi.
- Bardzo przepraszam, Gus, ja tylko pomyślałem...
- Nie mogę rozmawiać z tobą na ten temat, po prostu nie mogę, rozumiesz?

Tom wstał. Zaniósł filiżankę do kuchni, odstawił do zlewu. Opłukał ręce, wytarł je o spodnie.

- No to jadę - powiedział. - Chyba robi się dość późno.

W domu czekało na niego kilka rozmów nagranych na automatyczną sekretarkę. Dzwonił ojciec, wyznaczając mu spotkanie na pojutrze. Dwa razy dzwoniła Claire. Tom przewinał taśmę, usłyszał jej głos: „Tom? Jesteś tam?”. Długa chwila milczenia i: „Zadzwoń do mnie, kiedy odsłuchasz wiadomość”. Wcisnął „Delete”, a potem znów usłyszał jej głos, sprzed zaledwie dwudziestu minut. „Wiem, że dowiedziałeś się już o tym z telewizji. Właśnie powtórzyli informację w wiadomościach o dziesiątej. Może nie rozstaliśmy się w najlepszy sposób, ale jeśli chcesz porozmawiać, czekam”.

Tom wymazał i to nagranie. Poszedł do kuchni wziąć sobie piwo. Otworzył drzwi lodówki. W tym momencie zadzwonił telefon. Włączyła się automatyczna sekretarka. Długa chwila ciszy, a potem: „Zaczynam się o ciebie martwić, to wszystko. Zostawiłam wiadomość, ale nie oddzwoniłeś. Zamierzam przyjechać. Sprawdzić, co u ciebie, Tom. To wszystko. Jeśli przyjadę, od razu poczuję się lepiej”.

Tom gapił się na telefon, stojąc w świetle padającym z otwartej lodówki, pewny, że lada chwila znów się odezwie, znów zacznie do niego gadać.

- Jezu, Claire - powiedział cicho. Wypił wielki łyk piwa, odstawił je na kuchenny blat. Zamknął lodówkę. - Hej, co powiesz na krótki spacer? - spytał Jeanie, leżącą na chłodnych kafelkach podłogi w najdalszym kącie kuchni.

Ray odgryzł kawałek jabłka. Siedział w bronco, obserwując podjazd do szpitala. Był to dwupiętrowy budynek zbudowany z bloków brązowego piaskowca różnych rozmiarów, z bocznym podjazdem na oddział nagłych wypadków. Przez szkło od frontu biło silne światło na całą przecznice.

Z nocą przyszedł chłód. Ray widział mgiełkę swego oddechu, wilgoć osiadała na zamkniętych oknach.

Odłożył jabłko na półeczkę pod przednią szybą. Z kieszeni wyjął białą papierową serwetkę, na której niebieskim atramentem wypisany był numer pokoju. Memo powiedział mu wszystko co konieczne o chłopaku i o tym, jak wyglądają sprawy. Ray wiedział, że jeśli chłopak przeżyje, będzie stanowił dla nich zagrożenie. Memo nie musiał specjalnie tego podkreślać, ale nalegał.

Z miejsca, w którym Ray zaparkował forda, trzy czwarte przecznicy od szpitala i przecznice od Main Street, widział na podjeździe dwa radiowozy z biura szeryfa hrabstwa. Jeden stał prawie cały dzień, drugi podjechał przed paroma minutami.

Z odległości jakichś stu, stu dwudziestu metrów Ray nie mógł mieć pewności, ale wydawało mu się, że funkcjonariuszka, która się przy okazji pojawiła, przed laty była zastępczynią Toma. To ona odpowiedziała na wezwanie do wypadku jego żony, powiedziała mu o synu i o tym, że po zderzeniu samochód dachował.

Wziął jabłko z półki. W miejscu, w którym je nadgryzł, już pociemniało. Zjadł coś w barze, potem już nic i teraz patrzył na nie, jakby mógł odczytać z niego przyszłość, jak wróżbita z kryształowej kuli. Potem zjadł je do końca, zdjął pager Sancheza z paska na biodrze, spojrzął na zegarek. Siedział w samochodzie i czekał już od pięciu godzin.

Problem, przynajmniej według tego, co zdołał wyciągnąć od Sancheza, kiedy wrócili z baru Lucky Strike do domu Sullivanów, polegał na tym, że Sanchez po prostu nie był stworzony do tego rodzaju roboty. Mógł gadać do upojenia. Mógł opowiadać, co też zrobiłby i jak wspaniale, gdyby tylko dostał szansę, ale najzwyczajniej w świecie nie można mu było wierzyć.

Nie zrobił tego, co miał zrobić. Nie zabił chłopaka i zamiast upewnić się, że tamten nie żyje, jak postąpiłby Ray, po prostu uciekł.

– Mówisz mi, że go postrzeliłeś – powiedział Ray. Stali w pokoju dziennym domu Sullivanów, połamana kanapa odsunięta od ściany, wszędzie pełno okruchów gipsu. – To już słyszałem. Przez cały dzień słyszę wyłącznie to. Mam dość twoich kłamstw.

Sanchez stał oparty o ścianę. Skubał gips, palce miał białe, Wokół jego stóp rosła górka drobnego gruzu.

– Mówię ci, że go postrzeliłem. Nie twierdzę, że to był idealny strzał, ale postrzeliłem go i zobaczyłem, jak pada.

– Potem co? – spytał Ray.

Ostatnią godzinę spędzili w barze, jedząc w milczeniu. Ray siedział plecami do drzwi. Miał nadzieję, że nie spotka kogoś, kto mógłby go rozpoznać. Był pewien, że lada chwila do środka wkroczy Tom lub, co byłoby znacznie gorsze, jego ojciec.

– Strzał był niesamowicie głośny – powiedział Sanchez. – Nie spodziewałem się, że będzie taki głośny, więc się przestraszyłem. Nie wiedziałem, co robić. Spojrzałem tam, gdzie dostał, zobaczyłem, że upadł na piasek. – Zakładał rękę na rękę, raz w jedną, raz w drugą stronę. Za paznokciami miał gips. – Podszedłem, trąciłem go łufą w kark. Był martwy. Kiedy go tak zostawiłem, był martwy, a po szosie jeździły samochody.

Wyglądał tak, jakby miał się lada chwila rozpłakać. Ray odwrócił wzrok. Słońce zaszło za horyzont pustyni, na niebie pozostała tylko różowa mgła i wypełził na nie powoli ciemny granat.

– Ale nie był martwy, tak?

– Myślałem, że jest.

Ray zrobił kilka kroków. Opadł na kanapę. Potarł twarz dłońmi, przeczesał palcami włosy. Tak blisko Coronado było nie do uniknięcia, że myślał o tym dniu, kiedy wyjaśnił Marianne, bez ogródek, kim był i co robił. Nie obróciło się to na dobre, Marianne powiedziała mu, że zniszczy ich małżeństwo, że nawet w tej chwili, kiedy stoją tak blisko siebie, w kuchni własnego domu, właśnie je niszczy. Chciała, żeby się przeprowadzili, powiedziała,

że ropa się skończyła, a to była jego praca, więc powinni się przeprowadzić. Jeśli to jest ich życie, to musi być w nim coś więcej, w tym ich wspólnym życiu. Zginęła kilka tygodni później, kilka tygodni później kartel wpadł na trop Raya i odebrał mu ją.

Spojrzał na Sancheza. Podjął decyzję. Zrobi, co musi, ale nie chce mieć z nim nic wspólnego. Pójdzie do szpitala, bo tak trzeba. Nie było innego wyjścia.

– Memo ci nie ufa – zwrócił się do chłopaka. – Chce, żebyś pojechał na północ samochodem Burnhama. Jutro po robocie przysła kogoś po towar.

Sanchez skrzywił się żałośnie.

– Tego ci nie powiedział – zaprotestował.

– Może niedokładnie tymi słowami.

Ray zażądał pagera, dostał go i po chwili chłopak znikł za drzwiami.

A teraz Ray siedział, obserwując wejście do szpitala. Na kolanach trzymał serwetkę, którą zabrał z baru, a na szybach samochodu wilgoć osiadała mgiełką.

Przed pięcioma godzinami wjechał do miasta. Po drodze mijal osiedla przyczep, które już nigdy nie miały się poruszyć, zepsute kampery stojące na flakach. Mijał domy, pamiętając nazwiska rodzin, które mieszkały w nich przed dziesięciu laty. Mijał także działki, gdzie kiedyś stały piętrowe domy z desek, ale pozostały po nich wyłącznie kratery, dziury w betonowych fundamentach, uszkodzonych przez czas, samotnych.

Po wyjściu Sancheza Ray wybrał się na długi spacer po pustyni ze strzelbą, z której zabił Burnhama, w jednej ręce i torbę z heroiną w drugiej. Szedł, trzymając w ręku łopatę. Liczył kroki. Musiał mieć absolutną pewność, że zdoła odnaleźć wybrane miejsce, jeśli zajdzie taka potrzeba. Kopał bez pośpiechu. Wyczyścił strzelbę i pogrzebał ją razem z torbą. Skończył po zachodzie słońca, na niebie pozostało tylko pasmo bladego światła. Wrócił do domu, usiadł na kanapie. Próbował stworzyć coś w rodzaju planu.

Ulica była pusta. Ray poprawił się za kierownicą. Siedział wyprostowany, dzinsy wpiły mu się w krocze, zacisnęły w pasie.

Z tyłu, za paskiem, miał rugera, dziewiątkę. Wyjął go, odciągnął zamek i schował go pod siedzenie.

Strasznie chciało mu się łać. Obejrzał się, szukając wzrokiem na tylnym siedzeniu tekturowego kubka, może butelki, Zobaczył pokrowiec na strzelbę myśliwską. Miał ochotę zakopać ją razem z samą strzelbą i narkotykami, ale w końcu zrezygnował. Ciągle nie miał przecież planu na tego chłopaka tam, w szpitalnej sali.

Pęcherz pod klamrą paska pulsował mu w rytm uderzeń serca. Ray wysiadł, odlał się pod pobliskim ogrodzeniem z siatki. Trzymał się cienia, jedynym znakiem jego obecności był kłęb pary bijący z kałuży moczu u jego stóp. Zapiął rozporek. Spojrzał na budynek szpitala.

To właśnie wtedy, samotny w chłodzie pustynnej nocy, dostrzegł jadącą ulicą w stronę szpitala półciężarówkę. Błysnęło światło cofania. Zaparkowała przy krawężniku. Ray obserwował ten manewr zafascynowany. Po tyłu, tyłu latach wrócił do miasta i miał przed sobą kuzyna, Toma, który właśnie otwierał drzwi od strony ulicy. Na jego oczach Tom trzasnął nimi i poszedł podjazdem do wejścia.



Kiedy po północy Kelly wyszła ze szpitala, Tom Herrera siedział na masce jej radiowozu, opierając stopy na zderzaku.

– Ostrożnie – powitała go. – Nie chcesz chyba uszkodzić własności hrabstwa?

Tom uśmiechnął się.

– Nie jestem pewien, czy hrabstwo wie, jakich szkód już mu narobiłem.

Ześlizgnął się z maski. Staął, czekając, aż Kelly do niego pojeździe. Na samym początku podjazdu stała jego półciężarówka. Jeanie siedziała w środku przy otwartym oknie.

– Zdaje się, że prawdziwe z was papużki nierozłączki – powiedziała Kelly.

Tom obejrzał się na swój samochód. Ulica za nim była jednym pasmem cienia.

– Zdaje się, że rzeczywiście – przytaknął. – Przyjechałem spytać, czy nie poszłabyś ze mną na piwo.

Kelly podniosła brwi.

– Tomasiu Herrera, czyżbyś proponował mi randkę?

– Jeśli tak to chcesz nazwać?

– Niech zgadnę. – Szeryf Kelly ominęła go, podeszła do drzwi swojego radiowozu. – Zamierzasz podjechać do Daria i sprawdzić, co tam dzisiaj słychać?

– Zawsze wiedziałem, że będziesz bardzo dobrym szeryfem. – Tom zamilkł. Patrzył na Kelly, czekał, żeby coś powiedziała, ale się nie doczekał, więc sam przerwał milczenie. – Myślę, że lepiej jedźmy oddzielnie. Po co ludzie mają myśleć, że jesteśmy jak papużki nierozłączki?

Uśmiechnęła się do niego, otworzyła drzwi, wsiadła do radiowozu. Nie planowała wypadu na piwo dziś wieczorem, nie planowała wizyty u Daria, ale z Tomem, czemu nie? U Daria to nie było miejsce, w którym z przyjemnością spędzałyby wieczory. Niski sufit, pośrodku rozległy bar, a stoliki i krzesła stłoczone pod ścianami, z jedynym źródłem światła w postaci reklam piwa nad barem i na ścianach.

Na ulicy przed szpitalem Tom zawracał właśnie, a potem ruszył w stronę Main Street. Pojechała za nim. Mijali puste miejsca parkingowe po obu stronach ulicy, ale przed barem stało sporo samochodów. Z obu stron otaczały ich ciemne witryny sklepów.

Zaparkowali naprzeciw baru, po drugiej stronie ulicy.

– Sporo samochodów jak na dzień powszedni – zauważył Tom, nim weszli do środka.

– Wygląda, jakby odbywała się tu konwencja nafcjarzka.

Tom, idący przodem, odwrócił się na środku ulicy.

– Nie sądziłem, że zostało tu tak wielu nafcjarz – powiedział, wszedł na chodnik i w trzech krokach dotarł do drzwi. Otworzył je szeroko. Ze środka wypłynęła chmura woni: mokrej ściery, rozlanego piwa, a na końcu także smród papierosów.

– Cudownie! – mruknęła Kelly, ale Tom jej nie usłyszał. Wszedł do środka.

Do Daria wchodziło się jak do jaskini. Barwione szkło okien nie przepuszczało do środka blasku latarni. Tył knajpy oświetlały wyłącznie lampy z toalet w korytarzu, reszta pomieszczenia była zdana na czerwone i zielone neonowe reklamy piwa.

– Znajdź stolik – powiedział Tom. – Ja pójde po piwo.

Kelly rozejrzała się. Była tu, w środku, po raz pierwszy od czasu, kiedy Dario najpierw pojawił się w mieście przed trzema laty, a potem nim zawładnął. Nie przepadała za tego rodzaju lokalami i nie miała powodu, by go odwiedzać. Obecni, mężczyźni, zaczęli się na nią oglądać, jeden po drugim. Stała w drzwiach.

Ktoś po prawej wykrzyknął jej imię. Obróciła się. Zobaczyła Luisa, ojca Toma, siedzącego samotnie przy drewnianym stoliku pod oknem. Przed nim stała wysoka puszka piwa Coors i szklaneczka do whisky. Oczywiście już zmętniałe od alkoholu.

– Prowadzisz? – spytała, przyciągając jedno krzesło dla siebie, a drugie dla Toma.

Luis pokręcił głową. Uśmiechnął się.

– Masz zamiar psuć ludziom zabawę, Edna?

– Nie tobie. Każdemu, tylko nie tobie.

– Jasne. – Luis wypił łyk piwa. – Zwolnili dziś trzydziestu ludzi z Tate Bulger. – Odstawił kieliszek. – I jak tu się nie napić?

Kelly znów się rozejrzała i przyjrzała klientom. Niektórzy popijali ostro, inni siedzieli spokojnie po kątach. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy było już pięć fal zwolnień, więc ostatnie nie powinno zaskoczyć ani jej, ani tych mężczyzn.

– Przejmujesz się tym, Luis? – spytała. – Mnóstwo młodych wykwalifikowanych robotników szuka pracy i ty też, w chłopcym wieku osiemdziesięciu jeden lat.

– Chłopcym, co? – Uśmiechnął się. – Najpierw postaw mi piwo, a potem możesz spróbować tej słodkiej gadki.

– Wiesz, że cię kocham... chociaż nie tak, jak myślisz.

– Spróbować zawsze warto. – Luis oderwał wzrok od Kelly, spojrzał na podchodzącego do nich syna.

– Dla ciebie, staruszkę – powiedział Tom do ojca, podsuwając mu szklaneczkę bursztynowego płynu. Dla siebie i Edny kupił dwa piwa w przezroczystych butelkach. Usiadł za stołem. – Zdaje się, że ktoś znowu stracił pracę – zauważył. Siedzieli wokół stołu plecami do ściany, obserwując salę.

– Twój ojciec właśnie mi o tym powiedział. – Kelly pochyliła się, spróbowała między ludźmi wypatrzeć bar. Wielu z nich znała z imienia, ale mniej więcej połowy chyba nigdy nie miała okazji poznać. – Widzieliście gdzieś Daria?

Tom pokręcił głową.

Luis, siedzący obok niej, dopił whisky, odstawił szklaneczkę, wypił resztkę piwa. Kelly nie spuszczała wzroku z jego jabłka Adama podskakującego równomiernie pod pomarszczoną skórą.

– Trudno wyczuć prawdziwy nastrój, kiedy wszyscy tak dobrze się bawią – zauważyła.

– Ta zabawa to stypa – zwrócił jej uwagę Luis.

Tom uśmiechnął się do Edny przez stół.

– Wszystko zależy od punktu widzenia. – Podniósł rękę, przywołując barmana do ich stolika.

Barman, tęgi, muskularny, miał na imię Medina i prawie nie mówił po angielsku. Kelly już się zorientowała, że zna może ze trzydzieści słów, a wszystkie mają coś wspólnego z alkoholem, przede wszystkim z piwem.

– ¿*Su jefe?* – spytał Tom.

Medina stał nieruchomo, biegając wzrokiem od niego do Kelly i z powrotem. Miał na sobie biały, poplamiony alkoholem podkoszulek z jeleniem z przodu i wiaderkiem zmrożonego milwauke's best na plecach. Kiedy odwrócił się, szukając wzrokiem szefa, jego brzuch też się odwrócił, ale o ułamek sekundy później.

– *La oficina* – oznajmił. – Go chcieć?

– Nie – zaprzeczyła Kelly. – Chcieliśmy się tylko dowiedzieć, czy tu jest.

Medina gapił się na nią, jakby nic nie rozumiał. Źrenice miał rozszerzone od mroku przy barze, błyszczące jaskrawą zielenią

od reklamy piwa nad głową. Wyczuwając, że to już koniec rozmowy, wrócił za bar, dokąd głośno przyzywali go nafciarze.

– Nie chciałaś rozmawiać z Dariem? – zdziwił się Tom.

Kelly wybuchła śmiechem.

– Zapewne najlepiej będzie, jeśli tylko dowie się, że tu jesteśmy. Nie zaszkodzi trochę go przycisnąć. – Podniosła butelkę, wypła łyk piwa, cały czas obserwując Toma. – Poza tym, w odróżnieniu od Luisa, nie nazwałabym tego typowym wieczorem w barze.

– Drobnymi kroczkami do przodu – zwrócił się Luis do syna.

– W tym jesteś ekspertem – odpowiedział ojcu Tom, po czym spojrzał na Kelly. – Chyba nie masz wątpliwości, że całe miasto mówi tylko o tym chłopaku, który trafił do szpitala?

– No pewnie. I teraz wszyscy zastanawiają się, co ja tu robię i dlaczego Dario chowa się w kantorku w jeden ze swych najlepszych wieczorów. Ja też się nad tym zastanawiam.

– Ten chłopak... wszystko z nim w porządku? – spytał Tom.

– Nazywa się Gil Suarez. Późnym popołudniem dostaliśmy jego akta. Przez trzy miesiące był na wikcie hrabstwa. Pod zarzutem posiadania substancji zakazanej. Miał dziewiętnaście lat.

– A teraz ile ma?

– Dwadzieścia jeden.

Tom poprawił się na krześle.

– Ma kuratora?

– W Albuquerque, ale od roku nic o nim nie słyszeli. Dowiedzieli się czegoś dopiero wtedy, gdy do nich zadzwoniłam.

– Jakie ma szanse?

– Jeszcze nie odzyskał przytomności. Teraz jest przy nim Pete, a na noc zastąpi go ten nowy, Pierce.

Tom trzymał butelkę piwa w ręku, ale nie pił.

– Jakie są szanse, że odzyska przytomność i że będzie miał coś do powiedzenia?

– Lekarze twierdzą, że jeśli nie stanie się nic nieprzewidzianego, wyjdzie z tego. Czy będzie miał coś do powiedzenia... no, to już zupełnie inna historia.

Tom trawił jej słowa w milczeniu. Przyglądali się nafciarzom za barem. Po chwili się odezwał:

– Nie sądzisz, że chłopak musi się strasznie bać? Może nie będzie chciał powiedzieć nic na nikogo, nawet jeśli dostanie ochronę.

Luis burknął coś pod nosem, ale Kelly tylko patrzyła na mężczyzn przy barze. Rozmawiali o spaleniu jednego z ruchomych biur na polu, z zemsty na szefach Tate Bulger. Popili sobie i tylko tak gadali, ale Kelly mimo to słuchała bardzo uważnie. Wiedziała, jak łatwo pijacka gadka w barze zamienia się w rozróby na ulicy. Głosy wznosiły się, a potem cichły i panowie zgodnie popijali. Patrzyła i słuchała, starając się zidentyfikować tych najgłośniejszych: wielkiego Andy'ego Strobe'a, który najwięcej gadał i zagłuszał wszystkich, Mike'a Shore'a, także Steve'a Hermana. Reszta albo stała tyłem do niej, albo byli to ci, których nie знаła. Trochę to trwało, nim znów odezwała się do Toma:

– Nie musisz się martwić o chronienie kogokolwiek, Tom.

– Wszyscy musimy kiedyś dokonać wyboru. – Głos Toma zaledwie wybijał się ponad hałas w barze.

– Wiem – przyznała Kelly – ale ty dokonałeś już swoich wyborów. – Przyjrzała mu się, sprawdzając, jak przyjął jej słowa. Pomyślała, że pora kończyć ten dzień. Chciała tylko wpaść na chwilę, dać Dariowi do zrozumienia, że jest i że nie zapomniała ani o nim, ani o tym, co lub kogo mógł reprezentować. Czy chłopak przeżyje, czy nie, nie miało wielkiego znaczenia, nie w szerszym ujęciu. Jeśli Dario reprezentował kartel, mowy nie było, żeby taki Gil odważył się powiedzieć coś przeciw niemu.

Tom dopił piwo. Spojrzał na ojca.

– Gotów, staruszkę? – spytał. Luis skinął głową, oparł się dłońmi o stół, zorientował w przestrzeni. – Wiem, wiem, nie potrzebujesz opieki – dodał syn, patrząc na siedzącą jeszcze Kelly – ale i tak będę się tobą opiekował.

Wziął starego pod pachy, pomógł mu wstać. Luis zatoczył się lekko, ale wyraźnie. Kelly skinęła głową. Odpowiedział jej podobnym skinieniem. Odprowadziła Toma wzrokiem do wyjścia,

a kiedy zamknęły się za nimi drzwi, dopiła piwo i odniosła butelkę do baru.

Medina, który oderwał się od grupy mężczyzn, podszedł do niej. Spojrzał na pustą butelkę.

– ¿Otra? – spytał.

– Nie, nie dziś. – Kelly oddała mu butelkę. Dalej, za grupą naciarzy, dostrzegła Daria stojącego na progu kantorka, patrzącego na nią albo na wejście za jej plecami. Obejrzała się przez ramię, a kiedy znów spojrzała w tę samą stronę, Dario znikł, a drzwi kantorka były zamknięte.

* DEA – *Drug Enforcement Administration*, amerykańska agencja rządowa, której zadaniem jest egzekwowanie prawa antynarkotkowego.

Dzień drugi

Dario usłyszał huk eksplozji nieco po dziewiątej, kiedy siedział w barze, pijąc poranną kawę. Szyby okien zabrzęczały we framugach. Wyrzwał na ulicę, huk rozległ się właśnie tam i stamtąd rozchodziły się promienie porannego słońca padające na podłogę baru przez zakurzone szyby rozproszone niczym przez delikatną firankę.

Miał trzydzieści cztery lata i nadal żył, chociaż się tego nie spodziewał. Stale myślał o śmierci, o tym, jaką śmiercią umrze. To, z czym tu miał do czynienia – bar, miasteczko, towar, który przechowywał, a potem wysyłał na północ – niczym nie różniło się od każdego innego miejsca i innych okoliczności, w jakich pracował dla kartelu. Było mu dokładnie wszystko jedno: ta sama praca, te same chwile podniecenia, te same chwile nudy, coś się działo albo nic się nie działo. Nie potrafił nazwać tego inaczej, bo według niego istniało tylko jedno życie, tylko terażniejszość. Chociaż każdego dnia miał nadzieję, że zdarzy się coś więcej.

Ześlizgnął się ze stołka. Podszedł do okna. Wyrzwał na ulicę. Za budynkami wzbijał się w powietrze komin dymu. Dario otworzył ciężkie drewniane drzwi. Wyszedł. Kilka samochodów zatrzymało się już pośrodku Main Street, kierowcy wysiadali, przyglądali się czarnej chmurze wyrastającej ponad dachy domów na zachodzie.

Miał na sobie lekki lniany garnitur. Był szczupły. Kiedy skręcił z Main Street i widział już budynek szpitala, marynarka wyduła się na nim jak balon. Odpięty kołnierzyk koszuli, na skórze twarzy popiołu cienka warstewka potu.

Ze stojącego na podjeździe radiowozu hrabstwa została tylko poczerniała, dymiąca rama. Opony i resztki oleju jeszcze się do-

pałały. Pierwsza grupa strażaków Ochotniczej Straży Pożarnej próbowała ugasić ogień, wokół wraku już gromadził się tłum.

Dario usłyszał o Gilu poprzedniego dnia, kiedy jak zwykle czekał na klientów, nacierzy, słuchając wiadomości z wiszącego pod sufitem telewizora. To, co nadawała telewizja, łącznie z wiadomościami, przeznaczone było wyłącznie dla niego. Dowiadywał się z telewizji wszystkiego, czego nie chciał wiedzieć.

Po drugiej stronie baru Medina podniósł szklankę do światła. Sprawdził, czy na szkle nie zostały smugi, nie dostrzegł ani jednej, więc odstawił tę szklankę i wziął następną. Pracował przy trzeciej, kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się i Dario powiedział mu, że idzie do kantorka zatelefonować.

Medina odstawił szklankę. W telewizji nad głową Daria skończyły się lokalne wiadomości sportowe, zaczęła krajowa prognoza pogody. Wielka zielona plama przesuwiała się przez Kalifornię, wypiętrzała nad Sierrą. Dario nie miał pojęcia, do kogo zadzwoni, kiedy już znajdzie się w kantorku.

¿A quién vas a llamar?! – krzyknął za nim Medina, jakby wyczuwał jego wątpliwości.

Quién te crees – rzucił przez ramię Dario. Powiedział to pewnie, słyszał tę pewność w swoim głosie, ale opuściła go, gdy tylko zamknął za sobą drzwi i spojrzął na czarny telefon.

Czekał, podczas gdy głos w przyciśniętej do ucha słuchawce powtarzał mu w kółko tę samą wiadomość. Numer dał mu Memo przed dwoma tygodniami. A teraz ten numer odłączono. Mieli układ, tyle że coraz mniej wyglądało to na układ. Zrozumiał, co to oznacza, gdzie może się znaleźć jutro albo pojutrze. Na czoło wystąpił mu pot.

Kiedy rozmawiali po raz ostami? Dwa dni temu? Trzy? Tego Dario nie mógł sobie przypomnieć. Płuca mu się ścisnęły, nie mógł zaczerpnąć powietrza, po chwili bolesny skurcz przesunął się wzdłuż kręgosłupa i chwycił go za gardło. Co mu obiecał Memo? Drogę ucieczki? Nowe życie z dala od kartelu? Dario marzył o zmianie, ale nie czekała go żadna zmiana na lepsze. Przeklinał się teraz za to, że w nią uwierzył.

Mógł tylko czekać. Jeszcze raz wybrał numer Mema, pomyślał, że może poprzednio się pomylił, ale przecież próbował już z dziesięć, dwanaście razy. Recytował numer, wciskając przyciski. Zawsze ta sama odpowiedź. Teraz Dario chciał już tylko z tego wyjść żywy, uciec od gwałtu, o którym wiedział, że nastąpi, i to wkrótce. Minęły dwie minuty, a on ciągle nie uzyskał połączenia. Nie, nie dostanie odpowiedzi.

Rozległo się pukanie do drzwi. Dario wyprostował się, odłożył słuchawkę na widełki. Kiedy do kantorka wszedł Medina z pytaniem, czy udało mu się nawiązać kontakt z szefami z południa, z Juarez, Dario siedział zgarbiony, niemal wisząc nad telefonem.

– ¿Nada?

Pokręcił głową.

Burnham i Gil... żaden z nich nie miał zginąć. Nie w takiej sprawie. Memo powiedział Dariowi, jak to ma się odbyć. Zwykła kradzież na poboczu szosy. Nic więcej. Nic nie działo się tak, jak się miało dziać.

Spróbuj złapać Mema później. Będzie próbował, a jeśli mu się nie uda, zadzwoni do Juarez. Powinien dzwonić tam w tej chwili, nie miał wątpliwości, że Medina właśnie tego się po nim spodziewa.

– Nada – powiedział.

Jakby tego było mało, wieczorem w barze pojawia się miejscowa szeryf, a nafciarze przepijają oszczędności, i do diabła z tym, co będzie jutro. Siedząc w kantorku, przy telefonie, Dario potrafił to docenić, rozumiał ich, więc gdyby nie obecność Kelly, może nawet by do nich dołączył?

Radiowóz dopalał się na szpitalnym podjeździe. Dario wycofał się z rosnącego tłumu gapiów. Zwęglone szczątki samochodu ciągle dymią, a on idzie Main Street. W garści ma drobne. Szuka najbliższego telefonu. I przez cały czas zastanawia się, nie może przestać się zastanawiać, czy to jego ludzie z Juarez przyszli do dzieciaka w szpitalu, czy był to ktoś inny.

Tom patrzył, jak Kelly dokonuje oględzin wraku radiowozu. Telefon zadzwonił rano, a kiedy jechał szosą na południe, nad miastem już wznosiła się chmura dymu. Nie wiedział, co zmieniło się w Kelly pomiędzy piwem w barze i uwagą, że ma się do niczego nie wtrącać, a dzisiejszym rankiem, ale na widok radiowozu wiedział, że Gil Suarez z całą pewnością nie żyje.

Stał zaledwie dwa, trzy metry od wraku. Czuł kwaśny smród spalonych opon. Ogień wydzielał tyle ciepła, że strzelba, stojąca lufą w górę między siedzeniami kierowcy i pasażera, wyglądała jak długi odcinek matowo czarnej rury. Czółenko stopiło się, ściekło na podłogę, formując tam kałużę wokół metalu. Z radiowozu pozostało tyle co nic, lakier wewnątrz łuszczył się, odpadał mnóstwem czarnych płatków. Kelly przyklękła, przesunęła dłonią po popiele. To, co tu zaszło, brudziło właśnie opuszki jej palców.

– Flary drogowe plus coś w rodzaju katalizatora – powiedział Tom, wdychając zapach benzyny i prochu strzelniczego. Stał przy samochodzie od strony kierowcy, patrząc na wylot przez otwór pozostały po przedniej szybie. Kelly klęczała z drugiej strony.

Wstała, wytarła ręce o spodnie na kolanach.

– To ten smród – wyjaśnił Tom. – Rozumiesz? Coś jak proch i chemikalia.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – spytała Kelly.

– Widziałem różne kiepskie sprawy, ale takiej nie. Żadnego podpalenia, nic na taką skalę.

– Może napędzić strachu, co?

– Nie zazdrozczę ci tej sprawy – przyznał Tom. – Wezwałaś mnie tu z jakiegoś powodu. Chętnie pomogę, ale muszę wiedzieć, co zrobisz. Co o tym myślisz.

– Oficjalnie?

– Nieoficjalnie.

– Czasami, jak słyszysz, co tu napływa z Meksyku, masz ochotę uciec na północ, nim do ciebie dopłynie.

– Myślisz, że to właśnie to?

– Nie wiem.

Tom patrzył na nią w milczeniu.

– Czasami po prostu musisz zapytać: „kto”, „kiedy” i „gdzie” i tylko mieć nadzieję, że to nie jest to „to”, o którym myślisz przez cały czas.

Jechali windą na drugie piętro, do sali chorych, w której leżał chłopak.

– Jest bardzo źle?

– Skręcił mu kark. Z taką siłą, że omal nie urwał głowy – wyjaśniła Kelly.

– To może napędzić człowiekowi strachu jak cholera, nie?

– A owszem – przytaknęła szeryf.



Ray zjechał bronco na szeroką równinę u podnóża gór. Jadąc, przyglądał się mijanym po drodze wysokim błękitnym szczytom na północnym wschodzie, iglicom agaw lechuguilla i sotoł, rosnącym na szarych pustynnych wzgórzach daleko jak okiem sięgnąć. Droga była kręta, ale przed sobą widział już dom Sullivánów, poźółkłe deski i brudnokremowe wykończenie.

Memo powiedział mu, że ma siedzieć w domu, nie wychylać się i nie zwracać na siebie uwagi, co mogłoby zdarzyć się na szosie. Jeszcze dzień i przyśle kogoś po narkotyki. Ray policzył wstecz, wyszło mu, że nie spał od niemal trzydziestu sześciu godzin. Oczywiście miał jak zasypiane piaskiem. Nadal niepokoiła go myśl o Tomie. Niepokoiła przez całą noc i teraz też.

Wjechał na podjazd. Pick-up Burnhama stał zaparkowany przed domem. Zatrzymał się, dokładnie przyjrzał drodze, którą przyjechał. Spokój rozległej płaszczyzny pustyni, nic więcej. Spojrzał przed siebie. Pick-up stał tam, gdzie nie powinien stać. Wszędzie, tylko nie tu. Podjechał, zaparkował obok niego. Wszystko wskazywało, że jest to dokładnie ten wóz, w którym przedwczo-raj posłał Sancheza na północ.

Wysiadł z bronco. Poszedł w kierunku domu. Po drodze wyciągnął rugera jedną ręką, a drugą przesunął dłonią po masce pick-upa, wyczuł słabe ciepło silnika. Nie miał pojęcia, co ten wóz

robił akurat tutaj, ale zyskał już niemal całkowitą pewność, że Sanchez nie mógł albo nie chciał zrobić tego, co mu kazał zrobić.

Ray sprawdził wszystkie pokoje, nim trafił na Sancheza siedzącego z jednym piwem w ręku i pięcioma pod nogami.

– Zgubiłeś się? – spytał, wkładając pistolet za pasek.

– Nie. – Chłopak wykonał pół obrotu na krześle. Spojrzał na Raya stojącego na schodach tylnego wejścia. – Ale pomyślałem, że powinienem dopilnować zakończenia tej sprawy. Chcę zyskać zaufanie wuja.

– Jesteś pijany. – Niepokój jak gęsty olej wylał się Rayowi na ściśnięty żołądek. Miał trudności z oddychaniem. – Powinieneś wyjechać na północ.

Sanchez napił się piwa. Patrzył na Raya, jakby wypił o wiele więcej niż piastowany u stóp sześciopak. Siedział bezwładnie, kowbojski kapelusz wisiał mu na plecach.

– Spędziłeś tu całą noc?

– Byłem pewien, że już nie żyjesz.

– A gdyby nawet, to co? Miałeś zamiar uratować sytuację?

– Coś w tym rodzaju.

– Pozwól, że ci coś wyjaśnię – powiedział Ray. – Żebyście obaj z Memem wiedzieli: na tym koniec. Memo chce tego miasta. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie chcą, żeby po tym, co się stało, ktokolwiek mógł powiązać mnie z nim albo z tobą.

– Mój wuj przejmie władzę nad miastem.

Ray uśmiechnął się. Nic na to nie mógł poradzić. Był wściekły, zmordowany, nie marzył o niczym innym tylko o tym, żeby móc położyć się na chwilę, zapomnieć o wszystkim, co Memo powiedział mu wczoraj, a Sanchez mówił dziś, w tej chwili.

– Ile wypijeś? – spytał.

Sanchez spojrział na trzymane w ręku piwo. Alkohol oszołomił go, liczył bardzo powoli.

– Siedem – wyznał. – Kupiłem nam kilka wczoraj wieczorem, a kiedy się nie pojawiłeś, dokupiłem jeszcze kilka.

– Powiedziałem ci wczoraj, że masz wyjechać. – Obwisłe powieki i jaskrawy blask słońca sprawiały, że twarz Ray a wydawała

się stara i bardzo zmęczona.

– Nie. Jak powiedziałem, dziwię się, że jeszcze żyjesz i że cokolwiek zrobiłeś, zadziałało. Myślałem, że może będziesz mnie potrzebował. – Założył kapelusz, zsunął go na tył głowy, coś takiego pewnie kiedyś widział w filmie.

– A może byś tak robił swoje? Robił to, co ci polecono? – Ray usłyszał, że głos mu się łamie. Pomyślał, że to ciekawe, co może jeszcze powiedzieć. Olej zalewający wnętrzności wydał mu się gęstszy niż kiedykolwiek, czarny, drażniący. Przenikał całe ciało. – Wuj polecił mi odesłać cię na północ. Dlaczego nie pojechałeś?

– Coronado.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedział Ray. – Nie powinno cię tu być. Tylko kartel naprawdę chce Coronado. – Nadal stał na schodkach. Zastanawiał się, jak szybko udałoby mu się dopaść chłopaka, gdyby okazało się to konieczne. Nie podobało mu się, że krewny Mema tu jest, że tu wrócił.

– Odpręż się – poradził mu Sanchez. Rzucił mu puszkę, wyciągniętą spod opinającego ją plastiku. – Robota zrobiona. Załatwiłeś tego chłopaka, prawda?

Ray zignorował jego, ale nie piwo. Stał z puszką w ręku, ze wzrokiem wbitym w rozkładane krzeselko, na którym siedział Sanchez.

– Zrobiłeś to? – Sanchez siedział skrzyżowany w jego stronę, wyginając kręgosłup, krzeselko trzasnęło ostrzegawczo.

Ray podszedł do niego, zatrzymał się, patrzył na góry.

– Załatwione – powiedział. – Skończyłem sprawę definitywnie. Za ciebie. Noc spędzimy tutaj, a rano wyjedziesz.

– Rozmawiałeś z moim wujem?

– Tak.

– Wie, że wszystko skończone?

– Wie.

– Pytał o mnie? Kiedy zadzwoniłeś, żeby mu powiedzieć o chłopaku, czy zaniepokoił się, co ze mną?

– Nawet o tobie nie wspomniał.

Sanchez wypił wielki łyk piwa. Postawił puszkę na podłodze, między nogami.

– Wuj powiedział, że pracując z tobą, czegoś się nauczę.

Ray otworzył puszkę. Gaz i piana strzeliły z niej z głośnym sykiem.

– Chyba powinienem najpierw nauczyć cię strzelać z tej strzelby. – Ray napił się piwa, a potem stał, patrząc na puszkę w wyciągniętej ręce, jakby szacował jej wartość. – Z całą pewnością nie nauczyłeś się słuchać. Memo na pewno nie powiedział ci, że masz się pokazywać gdzieś blisko Coronado. Piwo i to krzeselko kupiłeś w sklepie spożywczym?

Sanchez gapił się na góry w milczeniu. Nie patrzył na Raya.

– Wuj mówił, że nie powinienem pozwolić ci na wykonanie całej roboty samemu.

– I myślisz, że jak zrobisz wszystko po swojemu... Poszedłeś do sklepu, pokazałeś się w mieście... Na tym ma polegać twoja praca? Myślisz, że naprawdę pomogłeś któremuś z nas?

Sanchez całkiem go ignorował, wpatrzony w pofałdowaną płaszczyznę gdzieś, daleko, stykającą się z górami.

– Wuj mówił, że czegoś mnie nauczysz.

– Powiedział, że właśnie to mam zrobić? Czegoś cię nauczyć?

– Jasne. Powiedział, że będzie jak za dawnych czasów. – Sanchez dopił piwo. Przechylił puszkę tak, żeby mieć na twarzy odbite promienie słońca. Kapelusz przekrzywił mu się na głowie, niezgrabnie i nienaturalnie.

– To kapelusz trupa – powiedział Ray.

– Wiem. Wydawało mi się, że Burnham nie będzie go już potrzebował.

– Nie pasuje do ciebie. Powinieneś go zdjąć.

Sanchez dopił piwo, pochylił się, wziął sobie nowe.

– Memo powiedział, że będziemy się tu dobrze bawić. – To już po raz drugi, może nawet trzeci, chłopak powtarzał te słowa. Otworzył piwo. Czekał na odpowiedź.

Powiał chłodny wiatr, Ray usłyszał, jak ziarna piasku uderzają w ścianę domu.

– Powinieneś być szczęśliwy, że mogłeś zrobić to, co zrobiłeś – powiedział Sanchez. – Że mogłeś zabić.

– Szczęśliwy?

– Burnham i ten mały. Ludzie kartelu. Myślałem, że to ci pomoże. – Sanchez uśmiechnął się do Raya. Trzymał w ręku piwo. Mówił bełkotliwym, niewyraźnym głosem pijaka. – *Salud*.

– Dlaczego miałyby mi to pomóc?

Chłopak podniósł puszkę. Napił się. Piwo pociekło mu z kąćków ust.

– Memo powiedział mi, co zrobiłeś, kiedy już się stąd wyniosłeś. Po tym, jak ci pomógł, ukrył cię przed kartelem i władzami. Mówił, że chodziłeś od domu do domu, pukalesz do drzwi i zabijalesz wszystkich, którzy twoim zdaniem mieli związki z kartelem.

– Kiedyś... – Ray zignorował gówniarza z jego idiotycznym alkoholowym uśmieszkiem. – Czy kiedyś kogoś zabiłeś?

– Jasne, że zabiłem.

– Naprawdę?

– Widziałeś mnie wczoraj. To ja odwalilem robotę. Dogoniłem gówniarza. Wygarnąłem do niego z dobrych stu metrów. Załatwiłem go.

– Powinieneś go zabić. Jeśli zostawiasz sprawy niedokończone, to potem masz kłopoty.

– Skończyłbym sprawę. To ja powinienem być tam, w szpitalu. To była moja robota.

– Zabiłeś kogoś z bliska? Nie strzelając? Gołymi rękami?

– Jasne.

– Naprawdę?

– Jasne.

– Załatwiłeś tak mnóstwo ludzi?

Sanchez wpatrywał się w pustynię.

– Tyle, ile trzeba – odezwał się po długiej chwili milczenia. – Było ich tylu, ilu trzeba.

Ray dopił piwo jednym haustem.

– Nie zabiłeś nikogo – powiedział. – Nie mam pojęcia, czego spodziewalesz się tu nauczyć i czego, zdaniem Mema, ja powinie-

nem nauczyć ciebie.

– Wybierz kogoś – rzucił nagle Sanchez nagłym głosem. – Wybierz kogoś, to zobaczymy.

– Mam kogoś wybrać?

– Jasne. Wybierz kogoś dla mnie. Pokażę ci, jak się to załatwia. Pokażę ci, że mogę zrobić to, co ty robisz, żaden problem.

Ray poczuł obrzydzenie. Nie czekając, aż go poczęstują, wziął sobie piwo. Przez chwilę stał nieruchomo. Już blisko, na równinę, padał lekki deszcz, powiew szaroniebieskiego światła.

– Jestem zmęczony – oznajmił. – Nie mogę więcej o tym rozmawiać.

Z puszką w ręku wszedł do domu, zostawiając Sancheza samego, siedzącego na kupionym w sklepie składanym krzeselku.



Kelly zajrzała do środka przez otwarte drzwi. Chłopak mógłby równie dobrze spać. Głowa odwrócona do okna, tak go znaleziono, miejsce zbrodni pozostało nienaruszone. Piers przykryta pościelą, ręce wyprostowane. Jeden jedyny znak, że coś tu się stało, ciemny siniec na szyi, wydawał się rosnąć i ciemnieć na jej oczach.

– Nie obudził się? – spytał stojący obok niej i Hastingsa Tom.

– O ile wiemy, nie – odparł Hastings.

– Pierce usłyszał wybuch. Wyszedł z pokoju dosłownie na chwilę. Podszedł do okna w korytarzu. – Kelly palcem wskazała wychodzące na podjazd okno. Wrócił po nie więcej niż trzydziestu sekundach.

– Pracownicy?

– To samo – powiedział Hastings.

Po przeciwnej stronie korytarza otworzyły się drzwi windy. Burmistrz ruszył w ich kierunku. Zaczął mówić w pół drogi.

– Na straży ofiary postawiłaś dziewiętnastoletniego chłopca. To ty powinnaś go pilnować. Albo Pete. Nie Pierce. – Z każdym

słowem zwalniał kroku, patrzył nie na Kelly, lecz na Toma. – A on co tu robi?

– Ja go wezwałam.

– Ty go wezwałaś? – Małe oczka w wielkiej głowie Elego zrobiły się jeszcze mniejsze, pognieciona w pasie żółta koszula, rękawy podwinięte do łokci. – Poproszę cię na chwilę. – Ujął Kelly pod rękę, odprowadził ją na bok. – Co ty wyprawiasz – syknął cicho. – Ten człowiek nie jest już twoim przyjacielem. Mógł zrujnować ci karierę, tak jak zrujnował ją sobie. Powinnaś być mądrzejsza. Sama powinnaś wiedzieć, że nie ma sensu wciągać go w tę sprawę, cokolwiek o tym myślisz w tej chwili.

Kelly skinęła głową. Nawet nie spojrzała na Elego. Tyle między nimi zaszło, ale nic dobrego. Czuła, jak mocno ściska jej łokieć.

– Nie mamy tu żadnego materiału dowodowego, burmistrzu – powiedziała. – Nic nie mamy.

– Macie nazwisko, tak?

– Mamy martwego chłopaka z nazwiskiem, skazanego wcześniej za posiadanie narkotyków – uzupełniła Kelly.

– Wspomnisz komuś coś o narkotykach, to spadnie nam na głowy śledztwo federalne. – Eli mocno trzymał ją za łokieć. Odciągnął ją jeszcze dalej od ludzi. Tom i Hastings zostali pod salą chorych, patrzyli na nich, stojących już niemal przy windzie. – Wczoraj to już było wystarczająco złe. Rozumiesz? Nie tego potrzebujemy. Takich rzeczy nie potrzeba nam tu, w okolicy. Telewizji, dziennikarzy, agentów federalnych. Kazałaś gówniarzowi zrobić to, co powinniście robić ty i Pete. I teraz w sali chorych szpitala mamy trupa. Nie chcę nawet myśleć, co to oznacza dla naszego wizerunku.

Kelly wydusiła z siebie jakieś przeprosiny. Nie starała się nawet specjalnie słuchać burmistrza, ugryzła się w język, wiedziała, że dyskusje z nim nie mają sensu. Współczuła Pierce'owi, zawiodła go, dopuściła do tego, że wykantowała go jakaś nieznana jej siła, może Dario, może ktoś inny, a ona ciągle nie miała nic oprócz trupa w szpitalu.

– Siedemdziesiąt pięć procent – mówił Eli – pozostało tutaj siedemdziesiąt pięć procent mieszkańców, zwolnienia grupowe, puste sklepy, a działka przy granicy miasta tak wielka, że zmieściłby się na niej Wal-Mart, od dwóch lat czeka na dewelopera i nic. Powiesz komuś o tym chłopaku i oskarżeniu o posiadanie narkotyków, o tym, co, twoim zdaniem, twoim i Toma zdaniem, dzieje się w naszym mieście, i to nas dobije. Czy dobrze się rozumiemy, pani szeryf?

– Tak – powiedziała Kelly. – Słyszę cię.

Wiedziała, że teraz to już tylko kwestia czasu. Nie miała nadziei na ukrycie czegokolwiek przed miasteczkiem, przed ludźmi, a zwłaszcza przed mediami. Spalony ze szczętem radiowóz dwa piętra niżej, na szpitalnym podjeździe, czarny dym spalonych opon widoczny na kilometry. Burmistrz żądał czegoś, co było całkowicie poza jej zasięgiem, niczego już nie da się powstrzymać, to balon na wietrze, wznoszący się coraz wyżej i wyżej.

– To dobrze. – Eli wreszcie puścił jej łokieć. Stał wyprostowany, trzydzieści centymetrów wyższy od niej. – Niepotrzebne mi są kolejne spięcia. Nie chcę więcej widzieć Toma, nie przy tym śledztwie, wystarczająco złe są te inne sprawy dziejące się w naszym miasteczku. – Przerwał, zapatrzonej w korytarz niewidzącym wzrokiem. – Słyszałaś, że wczoraj zwolniono kolejnych trzydziestu ludzi?

– Słyszałam. – Kelly skinęła głową.

– Tylko tego nam było potrzeba. Dziś będzie spotkanie. Masz na nim być.

– Związkowe?

– Czy jak tam nazywają sami siebie.

– Co z Gilem Suarezem?

– Kim?

– Z ofiarą.

– Mam wrażenie, że na ten temat już się porozumieliśmy. – Spojrzenie Elega zrobiło się naraz bardzo ostre. – Na wszystkie pytania odpowiadam ja. Nie będzie żadnych zbędnych spekulacji.

W tej chwili nie tego nam potrzeba. Interesy... w tej chwili powinniśmy przejmować się wyłącznie interesami. Interesami i niedopuszczeniem, żeby miasteczko wyludniło się nam przed końcem roku. A na tym dzisiejszym zebraniu możesz zacząć rozglądać się za nowym zastępcą szeryfa. Wielu mężczyzn zacznie od razu szukać pracy.

Nie żegnając się z nikim, burmistrz poszedł do windy.

W pokoju pielęgniarek, tuż za drzwiami, siedział Pierce, patrząc na nią.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Kelly. – Bardzo cię przepraszam za to, co powiedział burmistrz.

Pierce ani drgnął.

– Spieprzyłem sprawę – odparł cicho. – Wiem o tym i nie mam nic więcej do dodania. Gdybym został przy drzwiach, to może Gil by żył. Burmistrz ma świętą rację.

– Nie – zaprotestowała Kelly. – Burmistrz nie ma racji. Gdybyś został przy drzwiach, to już byś nie żył, jak on. Musieli go załatwić, nie patrząc na koszty. Mój błąd, że o tym nie pomyślałam.

Dalej w korytarzu czekali na nią Hastings i Tom. Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić. Słowa burmistrza uraziły ją do żywego, słowa i to, czego od niej chciał, i to, że była bezradna, nie miała jak się bronić.



Dario rzucił nożem. Patrzył, jak ostrze wbija się w drewnianą podłogę, jak stalowa rękojeść drży niczym kamerton. Siedział w kantorku, za biurkiem, przed sobą miał czterdziestkępiątkę. Wyciągnął po nią rękę, chciał mieć ją bliżej. Między palcami rozcapierzonej dłoni pokazała się biała skóra. Wbity w podłogę nóż nadal drgał lekko.

Juarez wysyłało ludzi. Od dawna planowali wysłać kilku, ale teraz, po śmierci chłopaka w szpitalu, przyślą ich więcej.

Przyglądał się czterdziestcepiątce, kiedy do drzwi zapukał Medina, cicho, lekko, czekając, aż zostanie zaproszony do środka.

Dario go zaprosił.

– *¿Muerto?* – spytał Medina, stawiając na biurku filiżankę kawy. Przez drzwi, za jego plecami, widać było plastikowe pudełka wypełnione czereśniami, limonkami, cytrynami, przygotowywanymi do drinków na wieczór.

– *Si, probablemente* – odparł Dario.

– *¿Y los hombres?*

– *En la tarde.* – Dario przyłożył filiżankę do warg. Myślał o ludziach, którzy przybędą po południu, i co to dla nich znaczy.

Medina stał na progu, zacierając ręce, jakby czekał, co jeszcze ma zrobić.

– *¿En la tarde?* – spytał. – *¿Cuántos?* – Opuścił wzrok na tkwiący w podłodze nóż, a potem znów spojrzał na Daria.

– *Bastante.*

Barman odwrócił się do wyjścia, ale Dario go zatrzymał.

– Nóż – powiedział po angielsku, wskazując go palcem. Medina wyrwał nóż, podszedł, podał mu go. Dario obserwował swojego barmana, zastanawiając się, jak długo będą jeszcze razem w tym mieście.

Memo oferował mu sposób na wyplątanie się z sieci, ale to minęło, odeszło w przeszłość. W tym momencie doznał uczucia o sile, której się nie spodziewał: bał się, zdaje się, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Wiedział, że jest w stanie zrobić wszystko, dosłownie wszystko, że Memo zapędził go do narożnika, że najprawdopodobniej od początku zamierzał zrobić właśnie to. I zostawić go samego, niech sobie radzi w tej burzy.

Tylko że Memo nie miał pojęcia, jak daleko on, Dario, jest skłonny się posunąć. Chciał się wyplątać, chciał odmiany, ale to się już nie zdarzy. Patrząc na nóż, myślał, że wypatroszy każdego, kto stanie pomiędzy nim a towarem, który przecież musi odzyskać. Obetnie wargi każdemu, kto coś o nim powie. Sięgnie mu do gęby, obetnie język w gardle i poczeka, aż ten ktoś utopi się we własnej krwi. Takie to było proste.

Dario czuł się zmęczony. Męczyło go życie, jakie prowadził, męczyło go to, czego inni się po nim spodziewali. Myślał o tym,

że jest gotów zrobić to, co powinien robić od samego początku, zrobi wszystko, by przetrwać choć trochę dłużej. Myśl o śmierci towarzyszyła mu nadal, jak zawsze, niczym sęp krążyła mu wysoko nad głową.



Tom siedział na dziecinnej huśtawce przed domem Kelly. Pomachał nogami, zaczął się huścić, pofrunął w górę, łańcuchy zaszkrypiały, zazgrzytały, trąc o siebie. Przez kuchenne okno widział wewnątrz domu, widział Drew, męża Kelly. Mieszkali niespełna pół kilometra od centrum miasteczka. Huśtawka została po rodzinie, która wyprowadziła się, nim oni się wprowadzili.

Rozhuścił się mocniej, czuł, jak pręt, na którym wisi huśtawka, ugina się pod jego ciężarem. Otworzyły się drzwi, pojawiła się w nich Kelly niosąca piwo.

– Mąż nie protestuje, że późnym popołudniem huścisz się z innym facetem? – spytał Tom, wskazując miejsce obok siebie. Wbił stopy w sypką ziemię, łańcuchy szarpnęły go w przód.

Kelly uśmiechnęła się, wręczyła Tomowi piwo, spojrzała na dom. Drew pracowicie zmywał naczynia.

– Nie sądzę, by mu to przeszkadzało, ten jeden raz.

Usiadła. Metalowy pręt nad ich głowami ugiał się pod dodatkowym ciężarem. Tom sam zaproponował, że odwiezie ją do domu. Zaczekał na nią, dopóki nie dopełniła wszystkich formalności w Coronado Memorial, a potem jeszcze pomógł jej załatwić papierkową robotę w biurze. Drew spojrzał w okno, pomachał do nich wesoło. Był wielkim facetem, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, miał krótko przycięte, wijące się kasztanowate włosy.

– Kocha cię – powiedział Tom. – Łatwo to zauważyć.

Wypiła kolejny łyk piwa. Poruszyła nogami, rozruszała huśtawkę, a kiedy huśtawka się cofnęła, Kelly przejechała piętami po ziemi.

– Mój słodki gigant. – Westchnęła. – Czasami wolałabym, żeby nasze życie było nieco bardziej ekscytujące, ale kiedy tak o tym

pomyśleć, to fakt, jesteśmy szczęśliwi.

– Normalne życie.

– Coś w tym rodzaju – przyznała Edna.

Tom łyknął piwo.

– Dziękuję. – On też westchnął.

– Zjesz coś?

– To wszystko... – Tom szerokim gestem wskazał dom, ziemię, cały świat, wszystko naraz. – Dobrze się dziś bawiłem. Przypomniało mi to dawne czasy.

– Warto było cię ściągnąć choćby po to, żeby patrzeć na gębę Elego, kiedy cię zobaczył. A jeśli chcesz jeszcze trochę takiej zabawy, kręcenia się tu i tam, utrzymywania porządku, to pójdziesz ze mną jutro na to związkowe zebranie.

– Zdaje się, że burmistrz zabronił ci pokazywać się ze mną?

– Gdyby tak mu na tym zależało, to sam by się na nie pofatygował.

– Nie – powiedział Tom. – Chyba jednak mam dość. Nie tęsknię za siedzeniem i słuchaniem, jak wszyscy się ze wszystkimi kłóć.

– Stado trzyma się stada, co? – Kelly uśmiechnęła się, żeby mu pokazać, że to tylko żart. – Jutro wracasz do rzeczywistości?

– Kto by to powiedział. – Tom uśmiechnął się. – Ja jako kowboj.

– Ja bym powiedziała. Twoja robota niezbyt różni się od mojej. Tak czy inaczej, oboje zawsze będziemy pastuchami. Najlepsze w twojej robocie jest to, że zawsze dokładnie wiesz, co masz zrobić. Jeśli o mnie chodzi, to nie mam pojęcia. – Zaryła piętami w ziemię. Huśtawka szarpnęła, pociągnęła ją, ale zaraz się zatrzymała. – Jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi?

– Pytasz o Gila?

– Tak – powiedziała Kelly. – Nienawidzę się za to, że nie zdołałam go upilnować. Czymkolwiek się zajmował, zasłużył sobie na lepszy los.

Tom znowu łyknął piwa. Czuł się dokładnie tak jak Kelly, ale wiedział też, że jej poczucie winy jest gorsze, niż mogłoby być

jego. To ona miała opiekować się Gilem, choć i Tomowi nie postało w głowie, że ktoś podniesie poprzeczkę tak wysoko, spali radiowóz, zabije chłopaka we śnie.

– Nie rób tego – odezwał się Tom. – Nie wiń się za coś, na co nie miałaś wpływu. Sama powiedziałaś Pierce'owi, że dopadliby tego chłopaka niezależnie od tego, czy na straży postawiłabyś jednego czy dwóch ludzi.

– Próbuję jakoś to zrozumieć. I nie potrafię.

– A co tu rozumieć? – zdziwił się Tom. – Ci sami podejrzani co zawsze: narkotyki albo pieniądze.

– Ile?

– Akurat tyle, żeby próbować zabić kogoś jednego dnia, a potem wrócić następnego i dokończyć robotę.

– Aż tyle? – spytała Kelly.

– Podejrzewam, że nawet więcej. – Tom odepchnął huśtawkę, ześlizgnął się z niej, oparł plecami o siedzenie, przechylił i stanął na ziemi.

– A ty co o tym sądzisz? – spytała Kelly.

– Nic nie sądzę. Bardzo mi przykro, ale wiem, że ludzie robią różne idiotyczne rzeczy za wiele mniejszą stawkę niż narkotyki czy pieniądze.

– No, jest. – Kelly stłumiła wybuch śmiechu.

– Kto?

– Optymista, którego kochałam w dawnych czasach.

– Chyba raczej pesymista?

– No właśnie.

□□□

Mężczyźni przyjechali z południa wczesnym wieczorem. Było ich sześciu. Dariowi wydawało się, że do baru weszli naraz, w jednej chwili ich tu nie było, w następnej byli, wszyscy. Nie ma i jest, sześć ciemnych postaci blokujących światło wpadające przez frontowe okno, wielkich i groźnych jak nic, co widział w ostat-

nich latach. Sześć postaci czekających, aż oczy przystosują się im do mroku.

Medina przerwał pracę za barem i tylko się na nich gapił.

Dario wstał powoli, zwracając na siebie ich uwagę. Połowę z nich znał z widzenia, braci Ernesta i Felixa oraz wielkiego Meksykanina z Oaxaca, Lalo.

Przedstawił ich Medinie. Tych, których nie znał, spytał o imiona, a kiedy je podawali, zapamiętywał: Hector, César i Carlos. Każdego po kolei spytał, czy czegoś nie chce – piwa, coli, wody – a potem przekazał te niewiele informacji, które miał o Gilu Suarezie, Jake'u Burnhamie, Coronado i dwunastu zaginionych kilogramach heroiny.



Tom zdążył do domu tuż przed deszczem. Pozostało jeszcze trochę światła dnia, poświęcił je wyczesaniu dwóch wielkich gniadoszy z sierścią siwą jak na pysku starego psa. Oba były niepokojne, tęczę otoczone bielą, bo deszcz hałasował na blaszonym dachu.

Lunęło. Mimo hałasu leżąca u jego stóp Jeanie nie pofatygowała się nawet podnieść złożonego na przednich łapach łba. Krople waliły w dach mocno jak kamienie, staczały się z niego grubymi strumieniami, rzeźbiąc w ziemi wąską linię i natychmiast w nią wsiąkając.

Wysunął rękę, poczuł uderzenia kropli wody. Niebo nad jego głową było ciemne i płaskie jak rzeczne kamienie. Powoli zapomniał o tym, co się dziś stało, że przed kilkoma godzinami wyszli, on i Kelly, ze szpitala, a tylko cienki ciemny siniec na karku chłopaka dowodził, że komuś udało się dostać do jego pokoju.

Cofnął mokrą rękę, położył ją na łbie bliższego konia, o oczach mniejszych, już nieukazujących aż tyle białka. Przesunął nią po jego szyi, po gładkiej, jakby wywoskowanej sierści. Silny powiew wiatru, deszcz, prawdziwa ściana deszczu.

Mimo to z miejsca, w którym stał, widział niewielki fragment południowego ogrodzenia wymagający naprawy. Pozostałe mu jeszcze świnię schroniły się pod daszek z płyty wiórowej. Dalej stał dom, ciemnoszary w deszczu, blask bijący z okien, jedyne źródło światła. W środku dom wyglądał dokładnie tak jak przed wszystkimi kłopotami Toma, śmiercią Angeli Lopez, utratą pracy, zmianami sięgającymi najgłębiej.

Z miejsca, w którym stał, mógł widzieć, choć ledwie co, samochody na szosie. Świat wokół w kolorze zimnoniebieskim i światła pojawiające się, rosnące, znikające. Rozbłyskały nad szeroką płaszczyzną równiny jak robaczki świętojańskie unoszące się ponad granatowym tłem.

Spodziewał się, że przyjedzie, i przyjechała, światła zjeżdżające z szosy na podjazd, zbliżające się do domu, twarz Claire z profilu, volkswagen parkujący przy jego pick-upie.

Przyglądał się jej przez chwilę, stojąc nieruchomo, w deszczu, a potem podszedł do bramy stajni i pomachał do niej. Dzielilo ich najwyżej trzydzieści metrów, ale kiedy do niego dotarła, była już przemoczona do suchej nitki.

– Nie sądziłam, że cię zastanę – powiedziała. Zimna, surowa twarz zalana deszczem, krople kapiące z brody. Dołeczki w policzkach pojawiające się, gdy podniosła na niego wzrok. Skóra z małymi pieprzykami i innymi drobnymi niedoskonałościami.

Tom odwrócił się, wszedł pomiędzy boksy.

– Więc czemu przyjechałaś?

Claire tylko na niego patrzyła, stojąc we wrotach stajni. Zdawał sobie sprawę z tego, że powiedział coś, czego nie powinien powiedzieć, ale nie miał ochoty na spotkanie, zwłaszcza spotkanie z nią. Znikły dołeczki w policzkach, kąciki ust opadły, ciemne kasztanowate włosy odrzucone na plecy były czarne od wsiąkającej w nie wody. Dziesięć lat młodsza. Znali się od dłuższego czasu, Tom był właściwie pewien, że nie powie jej już niczego, czego nie słyszałaby wcześniej.

– Nie bądź taki. – Claire podeszła do niego i do koni, przy których stał. Kupił je przed trzema laty, kiedy jeszcze miał pieniądze.

Jednego dla niej, drugiego dla siebie. Romantyczny pomysł wspólnych przejazdów nigdy się jakoś nie zmaterializował. – Podjechałam wczoraj, ale ciebie nie było. Przestraszyłam się, to wszystko.

– Widzisz, że nic mi się nie stało, prawda?

– Nic?

– Tak. – Skończył wyczesywanie konia, wniósł siodła i czapra-ki w głąb do stajni, odbite od ziemi krople padały do środka, znacząc plamkami podłogę.

Claire oparła się o ściankę boksu.

– Udało ci się wkurzyć Elego – powiedziała.

Tom próbował się nie uśmiechnąć, ale nie całkiem mu się to udało.

– Naprawdę?

– Wrócił ze szpitala wściekły. Nie miał pojęcia, o co chodzi Kelly, że cię tam zaprosiła, i w ogóle. Ja też nie mam pojęcia, ale podobało mi się, że jest wściekły, bo dla odmiany nie wściekał się na mnie.

– Kelly pewnie nie powinna wprowadzać mnie w sprawę, ale jestem zadowolony, że to zrobiła. – Tom patrzył na Claire, zastanawiając się, czy i tym razem poprawi się między nimi, czy może już poprawia, a on jeszcze o tym nie wie.

– Eli za tobą nie przepada. – Uśmiechnęła się.

– Nigdy nie przepadał. Nawet kiedy jeszcze byłem szeryfem, a dla niego to była pierwsza kadencja.

– Znów pojawili się dziennikarze. Rozmawiał z nimi o chłopaku. Nie chce, żeby rozmawiali z Kelly.

– Kiedy przejeżdżałem przez miasto, stały tam wozy telewizji. Wygląda na to, że mają zamiar spędzić u nas noc.

Claire stała przy wejściu do stajni. Zadrzała lekko. Tom ode-
rwał od niej wzrok, spojrzął na swojego pick-upa, na jej małego volkswagena. Próbował nie zaprosić jej do domu. Wiedział, czym to się skończy. Między nimi zawsze tak się kończyło.

– Znasz zasadę „do trzech razy sztuka?” – spytał, przenosząc spojrzenie na przyjaciółkę. – Używają starej, sprawdzonej telewi-

zyjnej metody. Czekają na więcej. W końcu coś się musi zdarzyć.

– Jasne – odparła Claire. – Jeśli czeka się wystarczająco długo. W tym miasteczku czekanie może potrwać lata.

Nie miał tu nic do roboty, uprząże usunięte z deszczu, czapra-ki wywieszane na drzwiach boksów, konie nakarmione. Nie zastanawiał się już nad tym, co robi, od czego się wykręca. Denerwował się nawet, jak chłopak mający po raz pierwszy zaprosić dziewczynę na randkę.

– Miałem zamiar przeczekać deszcz w stajni, ale wygląda na to, że tobie przydałby się ręcznik – powiedział.

– Tobie też pewnie się przyda, kiedy już dotrzemy do domu. – Uśmiechała się, patrzyła na niego w sposób, wobec którego, wiedział o tym, był bezradny.

Po wyjściu ze stajni spojrzął jeszcze na przygięte do ziemi ogrodzenie. Było w jego życiu tyle rzeczy wymagających naprawy, a w końcu nic się nie naprawiało. Rano pójdzie sprawdzić, co ze stadem Deacona. Wróci do życia, o którym, choć na bardzo krótki czas, pozwolił sobie zapomnieć.



Noc zrobiła się chłodna, nad doliną wisiało płaskie, niskie niebo. Kelly jechała z domu na zebranie, w wielu oknach świeciło się, a szary deszcz padał z nieba barwy ostrygi. Nie oczekiwała wiele, nie miała żadnego powodu być na tym spotkaniu, tyle że burmistrz jej kazał.

Podjechała pod kościół. W suterenie, jasno oświetlonej, słychać było męskie głosy, niosące się przez lejącą się z nieba strugami wodę. Trzydzieści metrów przed nią otworzyły się drzwi, buchnęło przez nie światło, odbiło się srebrnym blaskiem od kałuż na chodniku.

Weszła do środka. Zebranie jeszcze się nie zaczęło. Z kasetonowego sufitu zwisały serpentyny, pamiątka po ślubie sprzed tygodnia, nastrój ożywiały przyklejone do ścian tęczwobarwne bibułkowe kwiaty. Całą salę zastawiono krzesłami, siedziało na

nich wielu robotników z pól naftowych, ale większość kręciła się przy składanych stołach, zastawionych tacami pełnymi ciast ze sklepu spożywczego i dzbankami z kawą.

– Burmistrz spodziewa się chyba, że zaatakujemy ratusz – usłyszała czyjś głos.

Kelly spojrzała na ostatni rząd krzeseł, bo to stamtąd ktoś się do niej odezwał. Gus Lamar, wuj Toma, siedział odwrócony, z ramionami przerzuconymi przez oparcie sąsiedniego krzesła. Podeszła do niego, stanęła obok.

– Inwestuje w naszą przyszłość – powiedziała. – Zawsze zastanawialiśmy się, kiedy firmy naftowe wykupią tu, w mieście, biura administracji stanowej.

– Burmistrz kazał ci przyjechać?

– Eli szuka nowych możliwości – rzuciła Kelly, siadając obok Gusa. Jej głos ociekał sarkazmem.

Gus uśmiechnął się. Spojrzał przed siebie, na przód sali. Szefowie związku właśnie zajmowali miejsca.

– Chyba zapomniałaś, gdzie jesteśmy. To zebranie związkowe. Nic nas nie obchodzi, co robią firmy naftowe. Mają przyzwicie płacić i przestać co miesiąc zwalniać ludzi.

Przez dziesięć lat szeryfowania Kelly uczestniczyła w czterech takich zebraniach. Zawsze na życzenie burmistrza. Zawsze wtedy, gdy groziła awantura.

– Myślałam, że jesteś na emeryturze, Gus? Co to za gadanie: albo oni, albo my?

– Mam funkcję związkową, od jakiegoś roku. Gdybym mógł, pełniłbym inną funkcję w jakiejś korporacji w Houston, ale nie dostałem się do klubu miliarderów, a moje szyby wyschły na długo przed tym, nim przyszli duzi chłopcy i wszystko wykupili. Po prostu ciekawi mnie, co czeka nasze miasto.

– Budujesz nam przyszłość? Jak burmistrz?

– Buduję przyszłość Billy'ego. Niedługo będzie potrzebował pracy. Nie młodnieję.

– Niedawno widziałam się z Tomem, zakładam więc, że otrzeźwiłeś Luisa wystarczająco, żeby zajął się nim dziś wiecz-

rem.

– Już prędzej Billy zajmie się Luisem. Wczoraj był zbyt pijany, żeby prowadzić. Zostawił samochód w mieście.

Kelly uśmiechnęła się. Przypomniała sobie, co jej powiedział, pijany whisky i piwem. Kłopoty, same kłopoty, a ona siedzi na jakimś zebraniu, na którym wcale nie chce siedzieć.

Jeden ze związkowców wstał, poprosił obecnych o zajęcie miejsc. Wśród uczestników Kelly rozpoznała kilku klientów baru z zeszłego wieczoru. Cztery rzędy przed nią siedział Andy Strobe, o głowę wyższy od pozostałych.

– Wczoraj słyszałam, że chcą spalić przyczepę biurową Tate Bulger.

– Kto to powiedział?

– Strobe. I kilku innych.

Gus pokręcił głową, jakby go to rozbawiło.

– Andy nawet nie pracuje dla Tate Bulger. On tylko chciał rozruszać ludzi.

– Czy nie dlatego zwołano zebranie?

– Nic o tym nie wiem. Co za sens w podpalaniu? Ludzie są wściekli, ale żaden z nich nie sądzi, że jeśli się odpowiednio wścieknie, to przyjmą go z powrotem. To się nie zdarzy, wszyscy przedstawiciele związku o tym wiedzą. Jeśli w ogóle będą o czymś mówić, to, moim zdaniem, o strajku.

Kelly spojrzała przed siebie. Facet ze związku podniósł rękę, prosząc o ciszę. Widziała, jak siedzący cztery rzędy od niej Andy Strobe odwraca głowę, mówi coś do sąsiada.

Facet powiedział kilka słów o zwolnieniach i o tym, czym są dla związku. Gus wyprostował się na krześle. Przekroczył osiemdziesiątkę, ale pozostał wyższy od większości obecnych na spotkaniu mężczyzn. I nadal był w dobrej formie dzięki latom pracy na własnych polach. Było to kiedyś przedsięwzięcie rodzinne, ale Kelly wiedziała, że jego syn przed laty wpadł w złe towarzystwo. Śmierć synowej Gusa, ofiary wypadku samochodowego za miastem, wypadku, którego sprawca zbiegł, nadal traktowano w Co-

ronado jako rodzaj zemsty kartelu na Rayu Lamarze, który w jakiś sposób mu się naraził.

Wstał kolejny mówca. Kilku obecnych, w tym grupa otaczająca Stropę'a, zakrzyzczała go, nie dopuściła do głosu.

Gus pochylił się do Kelly.

– Miał zamiar powiedzieć, że jego zdaniem strajk nic nie da i ludzie powinni być wdzięczni losowi, że ktoś jeszcze w ogóle ma pracę.

– Naprawdę? – szepnęła Kelly. – Nauczyłeś się czytać w myślach?

– Nim przyszedłeś, była tu wielka dyskusja na ten temat. Między nami, tak szczerze powiem ci, że moim zdaniem ma rację. Przy tym, jak się sprawy układają, sądzę, że jeszcze rok, może trochę dłużej, i cała okolica wyschnie.

Kelly usiłowała śledzić przebieg dyskusji, ale prawie nic z niej nie rozumiała. Raz krzyczeli robotnicy, raz krzyczeli przedstawiciele związku, a wszyscy próbowali ustalić, co właściwie powinni robić. Przedstawiciel związku wstał, żeby powiedzieć coś jeszcze, a tłum zaczął skandować coś nieskładnie.

– O co chodzi? – spytała Kelly.

– Chcą ich spalić – odparł Gus.

– Chyba mówiłeś mi, że do tego nie dojdzie?

Gus pokręcił głową.

– Bo nie dojdzie – powiedział. – Kilku tych zwolnionych popijało przez cały dzień w swoich przyczepach. Wyrzucają z siebie żale. Marnują czas. Powinni szukać pracy.

– Niepotrzebne mi coś takiego... szczególnie teraz.

– Słyszałem – przytaknął Gus. – Tom wpadł do mnie wczoraj wieczorem, wracając z Las Cruces. Wspomniał, że widział cię na szosie.

– I pewnie wiesz, że dzisiaj wcale nie było lepiej.

– Owszem, wiem. – Gus słuchał jej, ale też obserwował uważnie coś, co działo się z przodu sali. – Przepraszam – wyszeptał kącikami ust – ale tu marnujesz czas.

Kelly spojrzała przed siebie dokładnie w chwili, gdy Strope wstał i cisnął w związkowca jednym z kupionych w sklepie ciast. Mierzył w głowę, ale trafił w pierś. Ciasto obsunęło się po koszuli, ściągnięte w dół ciężarem tych wszystkich dodatków.

Wstała szybko.

– Jezu, Strope – powiedziała niegłośnie, ale i tak wszyscy usłyszeli ją w zapadłej nagle ciszy. – To przecież niemożliwe, żebyś naprawdę był taki głupi.

Podeszła do niego powoli, pilnując, by cały czas znajdować się między nim a drzwiami, mijała rząd za rzędem, jedną wyciągniętą ręką powstrzymywała tłum przed reakcją, drugą położyła na kajdankach przy pasie.

A przez ten cały czas Strope, wielki facet o kwadratowej szczęce, tylko stał i patrzył na nią tępo mętnymi oczkami. Pamiętała, że takie same mętne oczka miał wczoraj, w barze.

– Nie możesz mnie za to zatrzymać – powtarzał. – Pod jakim zarzutem? Że rzuciłem ciastem w faceta? Za to mnie aresztujesz?

Kelly nie spuszczała z niego wzroku. Wiedziała, że wszyscy na nią patrzą, wielcy faceci, robotnicy z pól naftowych, że czekają, co będzie. Przeciskała się między krzesłami, musiała załatwić tę sprawę jak najszybciej.

– Może „pijaństwo w miejscu publicznym”? – powiedziała. – Nawet tu czuję od ciebie alkohol.

Facet był wielki jak góra, ale poszedł z nią potulnie, pewnie wiedział, że nie uda mu się jej przestraszyć. Wczoraj wieczorem była w barze, słyszała wszystko, co mógł mieć jej do powiedzenia, a teraz zwyczajnie miała dość. Kolejna normalna noc w miasteczku, wkurzeni nafciarze wypuszczają sobie parę.

W kostnicy leżał martwy chłopak, a ona musiała robić coś takiego. Nic to dla niej nie znaczyło, myślała nawet, żeby mu odpuścić, niech sobie rzuca ciastami w związkowych szefów. Sama chętnie czymś by rzuciła, ale nie, wyprowadziła Stropem, nawet go nie skuła, kazała mu usiąść na tylnym siedzeniu radiowozu.

Kiedy wróciła do kościoła, w drzwiach czekał na nią Gus. Spotkanie toczyło się dalej, a on przyglądał się deszczowi.

– Będę teraz siedzieć przez parę godzin w biurze, pilnując pijaka, zanim Hastings zgłosi się na nocną zmianę. – Westchnęła. – Są tam jeszcze jacyś wrogowie publiczni, którymi powinnam się zająć?

– Moim zdaniem ujęłaś wroga publicznego numer jeden, a przynajmniej wiesz, że w tym deszczu nikt niczego nie podpali. Jeśli już, to musieliby podpalić szyby wiertnicze, a nawet Strope nie jest aż taki głupi.

– Dzięki – powiedziała Kelly. – I proszę, nie wspominaj o tym burmistrzowi. Bo każe mi wypatrywać kolejnych latających ciast.

Roześmiała się. Spojrzała na radiowóz, z którego wyglądał więzień, przytulając czoło do bocznej szyby.

– Życzę szczęścia – pożegnał ją Gus, odwzajemniając uśmiech.

Kelly odwróciła się. Podeszła do radiowozu, uniesioną ręką chroniąc twarz przed padającym deszczem.



W ciemności Raya obudziło dudnienie kropel deszczu o dach. Spał na podłodze. Zesztywniał. Obrócił się, wstał z wysiłkiem. Nie pamiętał, czy coś mu się śniło. Wiele lat po ukończeniu służby brał środki nasenne. Lata włóczęgi po dżungli robią to z człowiekiem, niepewność, niepokój, cisza pustyni z krajobrazem dalekiego miasta po wielu latach w obcej dżungli, jeszcze nim ktoś wypowiedział komuś wojnę. Drewniane kolby wypaczone od wilgoci. Przez pierwsze kilka miesięcy każdy jego strzał chybiał o centymetr lub dwa, tyle czasu zajęło mu skalibrowanie broni.

Była to tylko chwila w życiu, punkcik na jego długiej linii, niestrudzenie powracający w snach. Lekarze używali nawet tego terminu, „rekalibracja”, zapisywali mu lekarstwa, rozmawiali o jego powrocie do domu, traktowali go, jakby był karabinem znoszącym w lewo, centymetr, może dwa.

Obudził go deszcz. Na chwilę zagubił się w stuku jego kropel. Jak długo spał? Pozwolił, by ciemność ściągnęła go w swą ot-

chłań. Za łatwo poszło, doskonale o tym wiedział. Nie powinien był zmrużyć oka.

Po śmierci Marianne i po tym, jak oddał syna, Ray wymienił lekarstwa na alkohol. Pił, dopóki nie zasnął. Ale kiedy postanowił wrócić do domu, wrócił także do lekarstw, mieszając je z alkoholem, co wieczór, tylko po to, by móc zasnąć. Lekarstwa pomagały mu w koncentracji, kiedy wziął ich więcej, myśli nie skręcały już w różnych kierunkach. Puste puszki po piwie na podłodze, wziął je od Sancheza, za mało, żeby przetrwać noc. I uczucie wywołane pigułkami z alkoholem, jakby miękka, ale gruba warstwa śniegu na skórze.

Stał w ciemności sypialni na piętrze, trąc oczy dłońmi. Przez okno widział padający deszcz, deszcz na pustyni, spadający z nieba pionowo, gęsty, krople twarde jak okruchy lodu, równie hałaśliwe.

Wziął koc z tylnego siedzenia, poszedł spać tylko w szortach i kiedy teraz podszedł do okna, poczuł podmuch powietrza, chłodnego od deszczu. Księżyc przysłonięty chmurami. Za oknem ciemna szarość, ruch deszczu i wiatru. Burza nad równiną była jak seans starego filmu, wyżartego przez czas, popękane-go z wiekiem, ozdobionego plamkami kurzu.

Czuł się niepewnie tu, na uboczu, z Sanchezem, patrząc na góry, które znał od dzieciństwa. Opowiadać, jak zabija się człowieka, jak ściska mu się krtań obiema rękami, jak kruszy się kręgi niczym kości kurczaka. Nie tak to pamiętał, nie tym miały być dla niego zabójstwa, nie z zimną krwią. Chłopak nie obudził się, ciało walczyło instynktownie, nieświadomie.

Ray czuł się coraz mniej pewnie. Sanchez chwalił się tym, czego nie zrobił. Każde słowo wydawało się krępować ich coraz mocniej zaciskającymi się więzami. Wspomnienie Jacoba Burnhama leżącego na ziemi u jego stóp. Lufa śrutówki przystawiona do piersi, palec bielejący, ściągający spust.

Sanchez był tylko gówniarzem, o połowę młodszym od niego. Gówniarze popełniają głupie błędy. Nie słuchają, co im się mówi. Jadą do miasta, choć nie powinni. Ray poszedł na piętro pogrązo-

ny w myślach. O tym, jak dobrze będzie wreszcie się od tego wszystkiego odczepić, od Mema, od Sancheza, od całego tego cholernego biznesu. Z tym już skończył, teraz doskonale zdawał sobie z tego sprawę, wiedział, że się do tego nie nadaje, wiedział, że jeśli dłużej tak pożyje, to będzie martwy. To akurat mało go obchodziło. Nic mu już nie zostało. Stał przy oknie, myśląc o ostatnich słowach Burnhama i o tym, że gdyby wtedy dotarł do niego ich sens, to pewnie wcale by go tu nie było.

Daleko, na zalewanej deszczem równinie, pojawiły się światła, wspięły do góry, światła i nic więcej. Światła zapadły się pod ziemię. Pojawiły się na szczycie kolejnego wzgórza. Bliżej.

Ray cofnął się od okna. Wyjął rugera spod leżącej na podłodze, porządnie złożonej kurtki. Widział już wyraźnie nadjeżdżający samochód, jego karoserię zalaną deszczem, jadący równiną szlakiem oświetlanym przez reflektory. Ubrał się. Czekał przy oknie. Widział, jak światła zwalniają, jak skręcają na podjazd do domu.

Rozpoznał samochód. Bronco. Z okna na piętrze widział, jak Sanchez otwiera drzwi. Jak staje na deszczu, jak wbiega do domu pięcioma długimi susami, robiąc, co w jego mocy, by nie wdepnąć w kałużę.

Chłopak przerażał Raya. Nie w jakiś bolesny sposób, raczej szaloną bez troską nie do wybaczenia. Ray nie potrafił ocenić, czy dobrze poradził sobie z jego przechwałkami, niezbędnymi mu do podbudowania opinii o sobie w jego oczach. Być może zbyt łatwo zlekceważył Sancheza, zbyt pochopnie mu nie uwierzył.

Ale teraz znów musiał zwrócić uwagę na pustynię, bo zmaterializowały się na niej jeszcze dwa samochody, jakby wypłynęły w deszcz z jakiejś głębokiej dziury w ziemi. Jechały bez świateł. Jechały po wypełnionych wodą koleinach, jak przed nimi chłopak, pokonały niski pagórek, znikły i pojawiły się znowu.

Ray zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu, tak twardej i tak niebezpiecznej jak rzeczywistość tych dwóch mrocznych cieni, rysujących na pustyni linię prowadzącą wprost do niego. Najpierw pomyślał, że to pewnie ludzie Mema, że jadą po narkotyki, ale zaraz uświadomił sobie, że to niemożliwe, że to za wcześnie, że to

nie mogą być ludzie Mema, nie ma mowy. Teraz, patrząc przez okno, Ray wiedział już, że Sanchez nigdy już nie nauczy się słuchać, nigdy więcej już nie wykona poleceń i że on sam popełnił wielki błąd, wierząc, że można chłopakowi zaufać.



Siedzący w pierwszym samochodzie Dario obserwował faceta, który ten wieczór spędził u niego w barze i był zbyt pijany, by zorientować się, że jest śledzony. Za kierownicą siedział Medina. Stali przy skręcie na podjazd, z wyłączonymi światłami, wycieraczki rozsmarowywały deszcz po szybie jednostajnym ruchem. Dario wskazał dom ruchem głowy.

Medina ruszył lekko pod górę. Woda zalała podjazd, spływała na drogę wartką strugą. Facet wszedł do baru przed dwiema godzinami. Już jechało od niego alkoholem. Mówił do Mediny jakby spod wody.

– Wszyscy ci ludzie... – powiedział cicho, ale Dario, siedzący trzy stołki dalej, doskonale go słyszał – ...oni mnie nie znają, nie wiedzą, na co mnie stać. – Podniósł ramiona, zaczął mówić szybciej, ściągał na siebie uwagę. – Siedziałem w więzieniu! Odsiedziałem wyrok, zasłużyłem sobie na miejsce w tym barze, w tym mieście, na pracę u wuja.

Zamówił drinka, siedział, bełkocząc coś do siebie. Po jakimś czasie odwrócił się, przemówił do Lala i reszty facetów siedzących dalej, przy jednym z drewnianych stolików. Wszyscy przyglądali mu się od chwili, gdy wszedł do środka, przyglądali się, jak idzie od drzwi do barowego stołka. Próbował odpowiedzieć im takim samym chłodnym spojrzeniem, ale wzrok uciekał mu w kierunku baru, a potem stojącego przed nim drinka.

Dario patrzył, jak wypija dwie whisky, obie podwójne. Tego wieczoru niewiele się działo, Dario siedział uśmiechnięty nad filiżanką letniej kawy, przyglądając się facetowi o parę lat od siebie młodszemu, powoli opadającemu na ladę. Skinął na Medinę, kazał mu podać gościowi jeszcze jedną whisky. Podwójną. Na koszt

firmy. Tego wieczoru nie było w barze nacierzy, woleli się nie pokazywać po zabawie, którą urządzili sobie wczoraj. Dario przypuszczał nawet, że wielu spośród nich wyjechało już z powrotem na północ, by poszukać nowej pracy. Na autostradę międzystanową, do Teksasu, prawdopodobnie nawet dalej.

To, że gość koniecznie chce z kimś pogadać, było oczywiste. W tym momencie gadałby już z każdym. Kowbojski kapelusz leżał na barze. Dario obrócił się na stołku, Medina przyniósł whisky.

– Powinieneś wyjść – powiedział Dario. – Wstać i wyjść stąd jak najszybciej. Policja szuka kogoś takiego jak ty.

Gość odwrócił się, spojrzał na Daria, na jego lniany garnitur, gładką twarz, ogoloną rano.

– Słuchałem cię – dodał. – Sądzę, że to ciebie wszyscy szukają.

– A kto mnie szuka?

– Szeryf – powiedział Dario. – Szukała cię tu wczoraj wieczorem, szukała wszędzie, pytała nas wszystkich, czy cię nie widzieliśmy. – Dario widział, jak zamykają się oczy gościa, raz, potem drugi, jak poruszają się powieki, jak opadają mu rzęsy. Alkohol. – Przyjacielu... mówiłeś, że jaki masz w mieście interes?

Młody człowiek wstał z wysiłkiem, przytrzymał się baru dla zachowania równowagi. Dario tylko mu się przyglądał, siedział na stołku, a przed nim stała samotna filiżanka kawy.

– Chyba za dużo wypilem.

– Twój kapelusz. – Dario patrzył na leżący na barze wytarty filc. Wyglądał znajomo, nawet był już pewien, że go rozpoznaje.

– To nie mój. – Chłopak nie był w stanie skupić spojrzenia na twarzy Daria. – Nigdy nie był mój.

– Owszem. Chyba nie twój. – Dario podniósł kapelusz do światła wiszącej u sufitu lampy, żeby mu się bliżej przyjrzeć. – Może zostawił go tu mój przyjaciel.

Obaj stali teraz przy barze, Dario trzymał w ręku kapelusz, a gość rozejrzał się nieco przytomniej i na jego twarzy pojawił się strach. Przemówił, a jego słowa były jak katastrofa kolejowa, pogięty metal.

- Najwyższy czas...
- Najwyższy czas, żebyś stąd wyszedł – dokończył za niego Dario.

Za ich plecami głośno trzasnęło drewno. Lalo wstał od stołu, spojrzał na Daria. Oczekiwał poleceń.

- Może chcesz, żebyśmy cię gdzieś podrzucili? – spytał Dario.
- Nie – odpowiedział chłopak. Powstrzymał ich, wyciągając rękę. Mówił teraz do nich obu: – Nic mi nie będzie.

Ruszył chwiejnie do wyjścia, nie oglądając się za siebie. Dario odprowadził go wzrokiem, a kiedy zamknęły się za nim drzwi, już wychodzili na zaplecze, gdzie zaparkowane były ich samochody.



Huknął ogłuszająco bliski strzał, kawałki roztrzaskanych drzwi wpadły do środka. W tym momencie Ray zbiegał już ze schodów. Przez to, co po nich zostało, wpadł do domu wielki Meksykanin ze strzelbą Mossberga gotową do strzału. Obrócił się, omiatając lufą pokój. Drzwi leżały na podłodze, strzał wyrwał zawiasy, w powietrzu unosiła się mgielka rozpylonego tynku, podłogę zaścielały odłamki drewna. Na widok Raya Meksykanin podniósł lufę, a Ray z odległości nieco ponad pięciu metrów postrzelił go w pierś. Drugą kulę wpakował mu w głowę, nadal biegnąc po schodach, nim Meksykanin zdążył paść.

Przez moment w pokoju panowała dziwna, niesamowita cisza. Wielki Meksykanin leżał na podłodze z rękami złożonymi w taki sposób, jakby próbował łapać w ręce kulę, która go ugodziła. Ray mierzył z rugera w wejście do domu i rozciągającą się za nim noc. Spodnie zsuwały mu się z bioder. Zbiegał po dwa stopnie na bosaka, przełożył rugera do drugiej ręki, podniósł śrutówkę Meksykanina. I zaraz musiał rozplaszczyć się na podłodze. Wnętrze domu zasypały kule.

Nawała ognia trwała dobrą minutę, tak bliska, jakby walka toczyła się w samym pokoju. Szkło rozbitych szyb spadało z trza-

skiem na podłogę, tynk odpadał ze ścian, ujawniając ich skomplikowane drewniane ozebrowanie. Żyrandol u sufitu kołysał się dziko na kablu, krusząc tynk, aż wreszcie runął na podłogę z dźwiękiem przypominającym sypanie żwiru do metalowego kuchennego zlewu. Powietrze przesycił spleśniały zapach starego gipsu.

Po drugiej stronie pokoju, przy wejściu do kuchni, Ray zobaczył rozrzucone nogi Sancheza, resztę ciała krył niewielki, ale masywny stół. W kuchni wszystko – szafki, puszki po piwie, kafełki – pękały, rozsypywały się i tańczyły trafiane przez kule, wprawiające je w ruch, wznoszące w powietrze chmury tynku, grzęznące w drewnianym szkielecie.

Wydawało się, że znaleźli się pod ogniem pistoletów maszynowych. Strzały padały szybko, ślady pocisków układały się w charakterystyczny wzór, jakby strzelcy czyścili pokój po pokoju, od ściany do ściany. Wypełnione pyłem pokoje na parterze jakby wisiały we mgle.

Zapadła cisza.

Ray podpełzł w stronę kuchni, rozgarniając szkło ramionami. Rugera miał w tylnej kieszeni spodni, w prawej ręce trzymał odebraną martwemu Meksykaninowi śrutówkę. W ten sposób przemierzał chaos, centymetr po centymetrze. Słyszał tylko padający deszcz.

– Jesteś ranny? – spytał, podpełzając do Sancheza. Obaj znaleźli schronienie za małą kuchenną wyspą, oddzielającą kuchnię od pokoju dziennego. Sancheza czuć było alkoholem, jakby oblał się nim jak wodą kolońską.

– Nie – odpowiedział. Trzymał w dłoniach karabin myśliwski, naboje wysypały mu się na brzuch. – A ty?

– Nie.

Warstewka potu na skórze Sancheza, smród w kuchni, kwaśny smród jakby bimbru. Ray patrzył na niego, próbując ocenić, czy chłopak jest wystarczająco trzeźwy, żeby jakoś sobie z tym wszystkim poradzić. W każdym razie wyraźnie widać było po jego twarzy, że czuje zimny dotyk rzeczywistości. Nie miało to

i nie mogło mieć żadnego znaczenia. Gotowi czy nie, musieli coś zrobić.

Ray przede wszystkim wyrzucił łuski. W łóżu były jeszcze trzy naboje. Załadował. Oparł się o wyspę koło Sancheza. Siedzieli przez chwilę nieruchomo, oddychając gęstym powietrzem. Adrenalina płynęła im w żyłach. Nie paliło się żadne światło. Ray, oparty o wyspę, niewygodnie, jedna z szuflad ugniata mu plecy, patrzy na pustynię za domem przez resztki tego, co zostało z roztrzaskanego kuchennego wejścia.

Rozbłysły długie światła samochodu przed domem. To, co kiedyś było szybami okien i drzwi, zmieniło się w lustro. Odbijali się w nich pokryci tynkiem, biali jak wymalowani aborygeni.

– Musimy się stąd wynosić – zdecydował Ray. Wystawił głowę nad wysepkę. Promienie białego światła wnikały do środka przez każdą dziurę w ścianie. W ciemności wyglądały jak gwiazdy zawieszane w mętnej przestrzeni galaktyki.

– Towar – przypomniał Sanchez.

Ray zaklął, a potem odparł:

– Ukryty. Zakopany, dwadzieścia kroków od tylnych schodów.

– Jeszcze raz spojrzął za siebie, na galaktykę dziur we frontowej ścianie, a potem na tylne wejście i panującą za nim nocną ciemność. Wiedział, że w tej ciemności nie znajdą towaru.

– Możemy go zabrać. – Sanchez powtarzał te słowa kilkakrotnie, bo Ray nie odpowiedział mu od razu.

– Nie – powiedział, dopiero teraz uświadamiając sobie, że nie ma na sobie kurtki, nie ma nawet butów. – Nie możemy.

Sanchez uczynił ruch, jakby chciał wstać.

– Nie – powtórzył Ray, pociągając go na podłogę. Słyszał jego ciężki oddech, poła koszuli, którą trzymał w garści, nadal była napięta. – Przepraszam za to, co powiedziałem wcześniej. Że ci nie ufam. Ale teraz to nie jest właściwa chwila.

Ray rozejrzał się jeszcze raz. Sprawdzał możliwości. Wiedział, że nawet jeśli uciekną, będzie im trudno.

– Kto nas dopadł? – spytał Sancheza. Przez wszechobecne światło pokój wydawał się znacznie mniejszy.

– Kartel – powiedział chłopak. Głos zaczynał mu się łamać.

– Dario?

Przytaknął. Strzelba przytulona do piersi, naboje rozsypane na kolanach.

– Wcześniej nie byłem pewien, ale teraz jestem, i jeśli ma to jeszcze jakieś znaczenie, to przepraszam.

Ray skinął głową. Przyjął do wiadomości strach w głosie Sancheza, strach i niepewność.

– Uciekaj tylnym wejściem – powiedział. – Przebiegnij trzydzieści kroków, potem padnij. Znajdę cię.

Przez cały czas skupiony był na pokoju dziennym, na świetle wpadającym do środka przez małe dziury po kulach, przez okna, przez wywalone drzwi. Wyjął rugera, ramię wsparł na kuchennej wyspie. Czekał na ruch.

– Teraz – powiedział. – Musisz teraz. – Spojrzał na Sancheza, miał nadzieję, że go zrozumiał.

– Pieprzyć to! – zaklął Sanchez. – Damy im radę!

Ale to były tylko puste słowa. Ray wiedział, że chłopak ucieknie, że może i zażył sporą dawkę płynnej odwagi, ale to już przeszłość, nic z niej nie zostało, bał się, i tak powinno być.

Ray słyszał miękki, mokry plusk lejącego deszczu. Sanchez otworzył drzwi. Z jakiegoś powodu dźwięk ten natychmiast stał się głośniejszy – szum wody spadającej z okapów, płynącej po ziemi strumieniami, choć przecież niewiele z nich zostało.

Sanchez zawahał się, obejrzał.

– Idź! – powtórzył Ray. Jeszcze przez chwilę przyglądał mu się, przykucniętemu przy kuchennym wyjściu, z myśliwską strzelbą w rękę. Pożegnał go spojrzeniem, nim chłopak wyślizgnął się z domu. Wchłonęła go wilgotna ciemność.

Teraz Ray skupił całą uwagę na frontowej ścianie domu. Czekał, licząc sekundy. Dziesięć sekund wydawało się trwać dziesięć minut. Przed dziurami przesunął się cień, blokował wpadające do środka światło, rysował sylwetkę schylonego człowieka. Ray poprowadził lufą postać idącą gankiem do drzwi wejściowych. Zatrzymała się tuż przed nimi. Strzelił trzykrotnie w ścianę, wzdłuż

framugi, od dołu do góry. Mężczyzna padł przed pozostałością drzwi. Leżał nieruchomo na ganku.

Rayowi odpowiedziała nawała ognia.

Wiedział, że napastnicy wyślą jednego człowieka do sprawdzenia drzwi frontowych, ale nie zaatakują znowu w ten sam sposób. Zorientowali się już, że ktoś w środku żyje. Ktoś uzbrojony, więc teraz spróbują od tyłu. Albo przez któreś z bocznych okien. Może rozejdą się, może będą się trzymać razem, ale nie spróbują forsować głównego wejścia. Póki nie upewnią się, że ktoś, kto do nich strzelał, już nie żyje.

Uciekając kuchennym wejściem, Ray słyszał tylko świst kul drących powietrze, melodyjny świst rozrywanych cząsteczek ciemności, z których utkana jest noc. Czuł chłód kropel deszczu na skórze. Czuł go we włosach, na twarzy. Nie miał czasu na zrobienie czegoś, co złagodziłoby to uczucie. Na przystosowanie. Nie miał czasu. Biegając, liczył kroki, a kule świszczwały w nocnym powietrzu.



Dario czekał, aż ustanie strzelanina. Lalo, wielki facet z Oaxaca, nie żył. Jeden z nowych też, pewnie Hector. Ale tak naprawdę nie miał pojęcia, gdzie się podzieli dwaj bracia. Siedział w deszczu, oparty plecami o pick-upa Burnhama, ociekając wodą.

Pod marynarką garnituru miał kamizelkę kuloodporną. Zabrał ją z kantorka. W dłoni trzymał walthera MPK, dostał go od pracodawców, takiego samego miało na wyposażeniu wojsko obecne na ulicach Juarez. Repetował go raz za razem, jakby nie spodziewał się, że coś takiego kiedykolwiek zadziała. Od tego rodzaju broni zdążył się odzwyczaić. Raz za razem poprawiał pasek spodni, za który zatknął własną czterdziestkępiątkę. Obserwował dom od strony bocznych ścian. Miał nadzieję, że coś wreszcie się poruszy.

Wiązał wielkie nadzieje z pobytem w Coronado. Spodziewał się, że oddalenie od Juarez i tego wszystkiego, co się tam działo,

zapewni mu coś w rodzaju bezpieczeństwa. Że uda mu się uwolnić od reputacji, na którą tam sobie zarobił. Że reputacja nie dotarła tak daleko na północ.

Pochylił się, skulił, podpełzł w błocie wzdłuż burty pick-upa. Garnitur oblepiła mokra ziemia. Gdyby kogoś zobaczył, nie cofnąłby się, spróbowałby zlikwidować przeciwników jednego po drugim, odstrzeliwać palce od dłoni. Gdyby do tego doszło. Zdejmować każdego, kto jest w środku, kula po kuli. Czekał. Wpatrywał się w dom. Zaledwie wychylony zza przedniego zderzaka patrzył w górę na ociekającą wodą ścianę oświetloną reflektorami samochodu.

Ani śladu ruchu. Zimne błoto pustyni przeciekało mu między palcami. Piasek, żwir, drobne kamyki i ten intensywny, głęboki zapach ziemi, towarzyszący każdej pustynnej burzy.

Cofnął się powoli, wyprostował, chwytając opony pick-upa, głowę osłaniała mu karoseria. Przemókł na wylot. Lniany garnitur oblepiła gruba warstwa błota. Nie dostrzegł niczego niezwykłego. Po prostu pustka. Pustka, noc, szum lejącego z nieba deszczu, rozbijającego się o niego niczym fala, załamująca się pośrodku oceanu nocy. Nie miał pojęcia, gdzie są jego ludzie. Kusił go atak na dom od frontu, z waltherem ustawionym na ogień ciągły.



Ray leżał w błocie obok Sancheza. Obaj wpatrywali się w kuchenne wejście do domu. Spokój i cisza, w ciszy monotony szum padającego deszczu. Żaden z nich nie ośmielał się wypowiedzieć choćby jednego słowa.

W jaskrawych samochodowych reflektorach dom promieniował blaskiem, światło otaczało go ze wszystkich stron jak jakiś niebiański dom modlitwy. Ray trzymał twarz przy ziemi tak blisko, że czuł trupią woń gnieźdzących się w niej robaków. Wiedział, że wszędzie wokół mieszkańcy pustyni szukali ucieczki. Wypłukane z kryjówek tarantule i skorpiony musiały opuścić swe schronienia, dołączyć do niższych stworzeń.

Nie miał planu, ale jedno wiedział: muszą wynieść się stąd jak najszybciej. Nie dadzą rady zabić ich wszystkich, nie, niemożliwe. Wyobraził sobie, jak zabija jednego, jak huk strzału zdradza jego pozycję. A na otwartej przestrzeni szybko dorwano by ich obu.

Chwycił Sancheza za ramię. Poderwał go z ziemi. Przyczaili się w niskim przysiadzie, oblepieni błotem i drobnym piaskiem pustyni. I nadal nie odrywali wzroku od domu.

– Co teraz? – spytał Sanchez.

– Uciekamy.

– Mógłbyś ich załatwić. – Głos Sancheza brzmiał głośniejszy, pewniej niż w domu. Deszcz go otrzeźwił, chłód przenikający przez skórę wy dostał chłopaka na powierzchnię z tego miejsca, w którym znikł, gdziekolwiek i czymkolwiek było.

– Nie wydaje mi się – powiedział Ray.

– A potem co?

– Potrzebujemy samochodu. Jeśli spróbujemy uciekać pieszo, to daleko nie uciekniemy.

– Może do miasta?

– Będziemy gdzieś w połowie drogi, kiedy nad górami zrobi się już jasno. Każdy facet z lornetką wypatrzy nas bez trudu.

Tym razem Sanchez zachował milczenie. Wydawało się, że ocenia sytuację, szuka wyjścia, ale nie było wyjścia, więc tylko stał, woda kapiała mu z nosa i brody, w rękach trzymał strzelbę.

– Weź to. – Ray podał mu śrutówkę. – Rozrzut ma taki, że nawet jeśli chybisz, to w coś jednak trafisz. – Strzelbę zarzucił na plecy, w rękę ciągle trzymał rugera.

Przez okno widział dwa samochody podjeżdżające cicho do domu. Wiedział, kim są siedzący w nich mężczyźni, dostrzegł ich twarze, oświetlone przez moment czerwonym blaskiem stopów wozu Sancheza. Pick-up Burnhama i bronco stały przed domem, dokładnie pod oknem pierwszego piętra, z którego przedtem obserwował zdarzenia. Bronco był bliżej. Jeśli uda się im obejść dom i nikt ich nie zobaczy, mają szansę.

Ray wziął od Sancheza kluczyki, a potem od razu zaczęli okrążyć dom szerokim łukiem, trzymając się możliwie jak najbliżej

ziemi. Cofnęli się jeszcze o pięćdziesiąt metrów, skręcili na zachód. Deszcz padał gęściej, ziemia rozmokła, skórę mieli bladą, pomarszczoną, ociekała wodą, ubrania przemokły im na wylot. Światła reflektorów ciągle oświetlały dom. I ciągle nie słyszeli nic oprócz deszczu.

Okrążyli dom po pustyni, szerokim łukiem, i teraz już widzieli nawet jego front. Facet, którego Ray zabił strzałami przez ścianę, leżał martwy na ganku. Tylko długie światła wskazywały na istnienie samochodów, a ludzi nie widział w ogóle.

Tylko jednego człowieka. Zajął pozycję przy bronco, od strony kierowcy. Broń oparł o dach. Krył dom. Warstewka światła odbitego od pomalowanych na biało desek okrywała kałuże i lśniący metal karoserii niczym całun.

Sanchez i Ray leżeli płasko na ziemi, tuż za kręgiem odbitego światła. Obserwowali dom. Gęsia skórka, lejący deszcz, dreszcze przepływające przez ciało elektrycznymi falami.

– Musimy to zrobić szybko – powiedział Ray. Rugera wysunął przed siebie, celował do faceta na wprost przed nimi, czekał, że lada chwila się obróci.

– Widzę tylko jego, nikogo więcej – powiedział Sanchez.

– To nie ma najmniejszego znaczenia – powiedział Ray. – Kiedy go zdejmę, ty tylko zacznij walić ze śrutówki. Jeśli my nie widzimy ich w tej ulewie, to oni również nie widzą nas.

– Nawet nie wiem, w którą stronę strzelać.

– To też nie ma znaczenia. Tylko spróbuj nie trafić mnie.

– W porządku – powiedział Sanchez.

– Gotowy? – spytał Ray.

– Tak.

Ray poderwał się, pobiegł przez deszcz, najszybciej jak potrafił. Słyszał tylko plusk bosych stóp rozpryskujących kałuże deszczówki. Ukryty za bronco człowiek odwrócił się, przez chwilę Ray widział ciemny zarys jego sylwetki podświetlonej światłem odbitym od fasady domu. Krzyczał coś, usta miał otwarte, wypowiadał właśnie kolejne słowo, kiedy Ray strzelił dwukrotnie, raz za

razem. Kule rzuciły tamtego na samochód. Odbił się od przedniego zderzaka, upadł twarzą na ziemię, znieruchomiał.

– Gdzie oni są?! – krzyknął Sanchez, jego głos przedarł się przez szum deszczu.

– Strzelaj! – odkrzyknął Ray, szarpiąc drzwi bronco.

Wrzucił strzelbę do środka, wskoczył za nią do samochodu. włożył do stacyjki wyjęte z kieszeni kluczyki, przekręcił, silnik warknął głucho, a w tym momencie Sanchez wystrzelił po raz pierwszy.

Na jedną krótką chwilę wewnątrz bronco wypełniły światło i huk. Ray przechylił się, otworzył drzwi pasażera. Sanchez okrążył maskę bronco, waląc do wszystkiego i do niczego jednocześnie. Zanurkował do środka, nie zdołał jeszcze wciągnąć nóg, gdy Ray wcisnął gaz i w poślizgach wystartowali. Pojechali w stronę drogi.

Na otaczającej dom pustyni rozbłysły okruchy światła, płomień wylotowe. Słysząc było, jak kule rykoszetują po karoserii ze świstem, jak przebijają ją, łomocząc głucho, słysząc było brzęk sypiących się szyb, przez które wślizgiwała się noc. Gaz wciśnięty do dechy, ford przeciska się obok wozu blokującego podjazd, wpada w poślizg, ale na drodze koła łapią przyczepność. Szybkość rośnie.



Dario leży w błocie, chłód ziemi przenika przez ubranie. W rękę ściska walthera, przedni zderzak porysował śrut. Nie ma pojęcia, jakim cudem przeżył, jak udało mu się uniknąć postrzału. Facet ze śrutówką i on spojrzeli sobie w oczy – to był ten chłopak z baru, to za nim dojechali do domu... – i ten strzał. Obróciło go, choć nie puścił broni. Udało mu się przeżyć.

Leżał w błocie, oddychał ciężko, a przy każdym oddechu bolały go płuca.

Przesunął dłonią po piersi, wyczuwał dotykiem, gdzie śruciny trafiły w metalową płytę. Dwa wyraźnie wyczuwalne wgłębienia,

jedno pod sercem, jedno na wysokości pępka.

Któryś z jego ludzi leżał obok martwy. Dario słyszał zduszony, rozpaczliwy krzyk, to jeden z braci, Felix, zawołał o pomoc, nim rozległy się te dwa szybkie pistoletowe strzały.

Dario podparł się dłońmi, rozejrzał. Bronco znikł, został tylko leżący nieprzerwanie deszcz. Pięć metrów dalej otwarte martwe oczy Felixa. Na czole dwa głębokie jary krwi.

Trzech ludzi Daria nie żyło, a jego życie, takie, jakie sobie zbudował w miasteczku, zmieniło się nieodwracalnie. Kartel zajmował w nim już inne miejsce niż zaledwie kilka dni wcześniej.

Ktoś biegł, powłóczył nogami, ślizgał się na mokrej ziemi. Z mroku wyłonił się Medina.

– *¿Estás herido?*

– Nie. – Dario sprawdził, czy na koszuli nie ma śladów krwi. – Nie.

Ścisnął pistolet maszynowy, walthera, tak mocno, że aż rozboleły go palce. Wgnieciona powłoka kamizelki i ta zmiana, rozpływająca się po ciele wraz z pompowaną przez serce krwią. Coś się w nim zmieniło, przesunęło, jak z jednej strony na drugą. Wcale nie chciał, żeby wróciło na poprzednie miejsce.

Zobaczył, jak oczy stojącego po drugiej stronie podwórka Mediny odwracają się ku leżącemu w błocie ciału. Poza zasięgiem reflektorów roztaczało się ziarniste, stłumione, szare i niewyraźne jak gazetowy druk światło.

– *Está muerto* – powiedział Medina.

– *¿Quién es?* – spytał Dario, chociaż znał już odpowiedź na to pytanie.

– *Uno de los hermanos.*

– *¿Quién?*

– Felix.

Dario zdołał wreszcie wstać. Oparł się o pick-upa Burnhama. Powinien nie żyć, podobnie jak Felix. Wgniecenie na piersi kamizelki. Człowiek ze śrutówką odwraca się, pada strzał, płomień wyłotowy wystarczająco jasny, by oświetlić mu twarz.

Gdzieś, w ciemności, rozległy się kolejne strzały i ryk silnika bronco powoli cichnący w mroku.



Ray nie ośmielił się włączyć świateł. Opony miały kamienie, odskakujące i odbijające się od podwozia z głośnym stukiem. Na ciemnym tle białe strzałki prędkościomierza wskazywały szybkość przeszło stu kilometrów na godzinę. Droga wyskakiwała z deszczu pięciometrowymi odcinkami.

Z silnikiem coś było nie tak. Wyczuwał to, a strzałka temperatury już docierała do czerwonego pola, przez otwory wentylacyjne sączył się smród przepalonego oleju. Ray nie wiedział, czy zdołają dotrzeć do miasta.

Spojrzał w lusterko wsteczne. Światła oddaliły się od domu, pełzły drogą. Miał nad nimi mniej więcej półtorakilometrową przewagę. W deszczu, w ciemności, tylko to widział: dwa jasne punkty z tyłu.

Szarpnął ręczny, by nie zdradziły ich światła stopu, i skreślił kierownicę ostro w prawo. Zjechali z drogi. Prędkość spadła do trzydziestu kilometrów na godzinę, widział już skały i krzaki, zanim na nie wjechał. Przecinał równinę na północ, kierując się w stronę Las Cruces, choć wiedział, że tam nie uda się im dotrzeć.



Toma obudził stuk kropel deszczu o szybę okienną. Wiał silny zachodni wiatr, ramy uderzały o futryny jak dwie drewniane łodzie podczas sztormu. Przewrócił się na bok, spuścił nogi na podłogę, przetarł dłońmi zaspane oczy. Usłyszał, jak Claire obraca się przez sen; gdyby jeszcze leżał, ściągnęłaby z niego kołdrę. Była odwrócona twarzą do ściany, z na pół obnażonymi plecami, owinięta pościelą w talii.

Tom po cichu włożył podkoszulek i workowate bawełniane spodnie. Wstał. Znajome uczucie, nogawki ślizgają się po skórze, opadają na stopy. Podeszedł do okna. Podciągnął rolety. Obudził go grzmot, ale teraz za oknem była już tylko noc. Tylko noc i padający w ciemności deszcz. I jaskrawy płomyk błyskawicy daleko, nad górami, ale bez grzmotu.

Claire zachowała się nie w porządku, tak rzucając go jednego dnia i pojawiając się następnego, jakby go wcale nie rzuciła, jakby nic się w ogóle nie stało. Albo może to on popełnił błąd, bo jej na to pozwolił. Przestał się przejmować i na tym polegał problem. Nigdy nie sądził, że stanie się tego rodzaju człowiekiem, ale teraz, patrząc na Claire, musiał przyznać, że po tym, co dzisiaj widział, nie ma nic przeciw temu, by spędzić parę chwil tylko z nią.

Wypełniały go wspomnienia, jakby dzień wymieszał je wszystkie, a on nie miał jeszcze szansy, żeby je z powrotem porządnie poukładać. Przeszedł przez dom, słuchając szumu deszczu. Na stole kuchennym stało policyjne radio, pamiątka z czasów, gdy był szeryfem. Kontrolki wytarte do gołego metalu, znajome wytrawienia, z których czas starł farbę. Nastawił czajnik z wodą, czekał, aż zacznie bulgotać, uderzając w jego ścianki.

Nie podobało mu się to, co zrobił sam z sobą. Co zrobił kiedyś, dawno, podjęte wówczas decyzje. To wszystko dodawało się do siebie, powoli, lecz nieuchronnie, a całość była większa od sumy części. Ostatniego dnia przesłuchań sędziego zabrał go na bok. Spytał, czy Tom ma coś do dodania. Cokolwiek, co poprawiłoby jego sytuację.

- Nie mogę opowiedzieć tego w żaden inny sposób.
- Będziesz musiał - oznajmił sędzia.

Tom nie miał nic do powiedzenia. Przeszłość to przeszłość i już nie da się jej zmienić. Nie był już sobą, nie był tym samym człowiekiem. Upartym aż do granic bezduszości. Uczciwym. Te słowa już go nie opisywały. Przestał działać instynkt, dzięki któremu przeżywał każdy kolejny dzień. Miał się z czego wygrzebywać. Próbował, nawet jeśli oznaczało to, że jutro znów czeka go praca przy stadzie Deacona.

To, co zrobił Angeli Lopez, było złe. Tego się nie zmieni, ani teraz, ani nigdy. Popenił błąd definiujący całe jego życie. Wiedział, że wtedy Lopez była dla niego symbolem tego wszystkiego, co działo się źle w Coronado. Zwolnienia z pracy, puste sklepy, śmierć żony Raya.

Przez lata nauczył się katalogować te rzeczy w swojej głowie. Nadal się wkurzał, ale wiedział już, że nic na to nie poradzi. Tę moc utracił. Miał szansę poprawić świat. Nie wykorzystał jej. Teraz istniała już tylko terażniejszość, deszcz płuczący deski ścian jego domu, szyby okienne drżące w ramach. Miał tylko nadzieję, że jutro będzie inaczej. Rozmowa z Kelly sprawiła, że poczuł w sobie coś, czego nie czuł od bardzo dawna. Poczuł, że jego życie może mieć jeszcze jakiś sens. Że jest nadzieja na przyszłość.

W pokoju dziennym zastukały w drewnianą podłogę łapy Jeanie. Pojawiła się w kuchni, podsunęła mu łeb pod dłoń. Domagała się pieśczot. W kuchennym oknie odbijała się jego niewyraźna sylwetka. Zagwizdał czajnik. Tom nie chciał więcej o tym myśleć. Siedział przy stole z kubkiem herbaty, a pies trzącał nosem jego dłoń. Stukot kropel deszczu tam, w ciemności, stukot wyznaczający rytm jego myśli.



Dario Campo stał na drewnianym ganku, niedbale trzymając walthera. Pełny magazynek, to daje możliwości. Obejrzał się na zwirowy podjazd, na leżącego na podjeździe martwego brata, ciemniejszą kałużę krwi mieszającej się z deszczówką. Samochody znikły, ten Mediny i reszta. Ścigały teraz bronco przez pustynię.

Trzech ludzi przysłanych z Meksyku nie żyje. Trzech płatnych morderców. Lalo, największy z nich, leży na wznak wewnątrz domu z rękami przyciśniętymi do twarzy, a na podłodze pod jego głową rozlewa się kałuża krwi w kształcie wachlarza. Na ganku, blisko miejsca, gdzie stał, patrząc, jak reflektory wozu Mediny tną długie wstęgi światła w padającym deszczu, leży Hector, także

martwy, postrzelony najpierw wysoko w udo, a potem jednym strzałem w skroń.

Dario przyklęknął, podniósł leżący przy ciele pistolet maszynowy HK, przerzucił go sobie przez ramię. Nie spuszczał wzroku z mrocznej pustyni, z jasnego ruchomego promienia samochodowych reflektorów w deszczu, widział kiedyś w kinie ten obraz, ocean, latarnia morska ponad falami.

Wszedł do domu, z HK przewieszonym przez ramię i walthere-rem w rękę. Jednym wielkim krokiem przeszedł nad leżącym przy wejściu trupem. Nie chciał wdepnąć w krew. Nie chciał nawet dotknąć ciała. Stał w środku, czerpiąc dziwną przyjemność z ciemności i nadal silnego zapachu drobno rozpylonego gipsu.

Wszedł na piętro, do małego pokoiku. W słabym padającym przez okno świetle zobaczył impregnowaną kurtkę zwiniętą w kłęb, z ciągle widocznym wgłębieniem tam, gdzie położono na niej głowę. Pochylił się, podniósł ją z podłogi, potrząsnął i rozwinął. Wielka kurtka, ocieplona flanelową podszewką. Przyłożył ją do nosa, odetchnął zapachem pustyni. W jednej kieszeni znalazł kwit kasowy z baru Lucky Strike, tuż za miastem, z datą z przedwczoraj, w drugiej butelkę lekarstwa na receptę. Przyjrzał się etykiecie, próbując odczytać nazwisko.

Pod kurtką stały buty ze skarpetkami. Wsadził buty pod pachę, skarpety zwinął, schował do kieszeni kurtki i dołączył ją do butów. W dłoni trzymał wyłącznie buteleczkę, w której grzechotały pigułki.

Wszystkie pokoje były puste. W żadnym nie znalazł śladu heroiny.

Wyszedł na ganek. Czekał. Nie wiedział, co teraz, więc tylko przyglądał się światłom reflektorów, wyraźnie widocznym na równinie, coraz bliższym. Długie światła wystarczyły do odczytania nazwiska na lekarstwie. Pustynię nadal zalewał deszcz. Usta Daria wykrzywiły się w uśmiechu. Trzech martwych tej nocy, a co najmniej jeden jeszcze do nich dołączy.

Bronco stanął pół godziny po tym, jak zjechali z drogi. Wszystkie trzy tylne szyby wybite. Lał deszcz, ściekał z dachu, wpadał do środka przez puste okna, tworzył kałuże na siedzeniach. Przez ładnych kilka minut Ray nie widział światła – ani domu, ani innego samochodu.

– Wygląda na to, że czeka nas spacer – powiedział.

– Wolałbym tu zostać, jeśli nie robi ci to różnicy. – Sanchez przyciskał dłoń do boku, a kiedy skończył mówić, oderwał ją i spróbował wyprostować się na siedzeniu. Dłoń miał buraczkowoczerwoną, nawet w ciemności Ray widział, że to krew.

– Jezu – westchnął. – Powinieneś mi o tym powiedzieć. – Zapalił światło nad lusterkiem. Patrzył na Sancheza. Dłoń znów przycisnęta do rany. Warstewka potu na twarzy.

– Przecież to i tak niczego by nie zmieniło.

– Mogliśmy spróbować dojechać do miasta – powiedział Ray.

– A gdybyśmy nie dojechali?

– Mogliśmy przynajmniej spróbować. – Oszołomiony, Ray nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

Sanchez oderwał dłoń od boku, podniósł i tylko na nią patrzył, jakby miał na niej wypisane coś, co musi koniecznie zapamiętać.

– Nigdy dotąd mnie nie postrzelili. Nie wiem, jak to ze mną jest. Nawet nie wiem, jak to wygląda. – Mówił głosem dziwnie pozbawionym intonacji, a młodą twarz, oświetloną jasnym blaskiem sufitowej lampki, miał ciężką, jak wyrzeźbioną z gliny.

Ray wysiadł. Okrążył maskę, przeszedł w deszczu do drzwi pasażera, otworzył je szarpnięciem, przyklęknął; woda lała mu się na plecy, głowę miał na wysokości ramion chłopaka. Odchylił zakrwawiony materiał, przyjrzał się ranie. Jedna dziura, cieknie z niej bladoczerwony strumyk. Krew na spodniach. Wsiąka w siedzenia. Położył Sanchezowi dłonie na ramionach, przyciągnął do siebie, musiał zobaczyć jego plecy.

Brak rany wylotowej. Kula została gdzieś tam, w ciele.

– Jak to wygląda? – spytał Sanchez. Nie poruszył się, ani drgnął, tyle że zdjął rękę z rany. Mięśnie miał napięte, żeby uniknąć bólu.

– Najgorsze chyba za nami.

– To dobrze.

– Jasne – powiedział Ray.

Nie mieli wielkiego wyboru. Ray ujął dłoń Sancheza, przyłożył ją z powrotem do rany. Zębami oderwał rękaw koszuli, Zsunął go z ręki, zgniótł w dłoni, wyżał z wody najlepiej jak potrafił, i opatrzył nim raną jak bandażem. Kazał chłopakowi przytrzymać opatrunek.

– Nic nie czuję – poskarżył się Sanchez. – Trzymam go wystarczająco mocno?

Ray znów spojrzał na jego ręką.

– Doskonale sobie radzisz.

Sanchez poruszył opartą o zagłówek głową. Patrzył na Raya szklistymi oczami, jakby poznawał go i nie poznawał jednocześnie.

– Posłuchaj – powiedział Ray – musimy coś z tym zrobić. Muszą spróbować dostać się do miasta. Tutaj niczego nie zwojujemy.

Chłopak skinął głową. Powiedział, że rozumie.

Ray znów obszedł terenówkę. Nic tylko noc i deszcz, niesiony wiatrem z zachodu srebrnobłakitnymi falami.

– Jezu – westchnął cicho, żeby Sanchez go nie usłyszał. Zatrzaśnął drzwi. Jeszcze raz obszedł bronco. Klęknął w błocie.

– Muszę iść – powiedział.

– Nie... nie zostawiaj mnie tu.

– Tu nie mogę ci pomóc.

– Wrócisz?

– Tak – obiecał mu Ray. – Wyciągnę cię stąd. Uciekniemy na północ, do Las Cruces.

– Obiecujesz, że wrócisz?

– To nie powinno długo potrwać.

– Wiem – powiedział Sanchez.

Ray wyciągnął ręką do lampki.

– Nie może się świecić? – spytał chłopak. Spojrzał na lampkę, a potem znów na Raya.

– Jeśli cię zobaczą...

– Nic mi nie będzie.

Ray nie wiedział, co powiedzieć. Sanchez po prostu siedział nieruchomo w przemoczonym ubraniu, odkryta pozostawała tylko jego blada, spocona twarz. Ray sięgnął po śrutówkę. Pusta. Spojrzał na leżącą na tylnym siedzeniu strzelbę, ale po nią nie sięgnął. Przez chwilę siedział jeszcze w kucki, a potem wyciągnął rugera zza paska i położył go chłopakowi na kolanach.

– Użyj tego, jeśli będziesz musiał – powiedział. – Nic ci nie będzie – dodał. – Wrócę możliwie jak najszybciej.

Sanchez skinął głową i patrzył na niego, gdy podnosił się z ziemi.

Ray zamknął drzwi.

Odszedł w mrok. Deszcz był już tylko uczuciem na skórze, niewidocznym, stałym jak wiatr czy powietrze. Odciski opon prowadzące do drogi, odległej o sześć, może osiem kilometrów, były wypełnione wodą, miejscami przypominały małe, przelewające się kanały.

Za sobą zostawił słabe światło lampki w kabinie. Przemarzył do kości. Woda kapała mu z nosa, brody, rąk, kapała ze wszystkiego. Wydawało mu się, że pomiędzy podmuchami wiatru dociera do niego muzyka. Nie pamiętał, żeby włączył radio. Odwrócił się i spojrzał na bronco z jakimś głupim zdziwieniem. A potem poszedł wzdłuż małych kanałów drogą ku cywilizacji. Pobiegnął. Biegł, aż zapłonęły mu płuca, a serce zaczęło boleć. Biegł, aż nie czuł już nóg. Aż gołe stopy zaczęły mu pulsować w rytm bicia serca. Srebrzysta woda spadała z nieba, rysując na ziemi zarys śladów opon bronco.

A kiedy nie mógł już biec, pochylił się i dyszał z rękami opartymi o uda. Dyszał, walczył o każdy oddech. Wyprostował się, poczuł, jak krew odpływa mu z głowy, wlewa się w ciało napinając skórę. Ani punkcika światła na pustyni. Ani drogi, ani domu. Nic.

Wiosną Billy będzie miał trzynaście lat. Dziwnie było pomyśleć o tym tutaj, wyszarpując każdy kurczowy oddech powietrza przepełnionemu deszczem. Naczynka włosowate płuc nie wytrzymały, gęsty śluz w gardle, metaliczny smak krwi. Mimo

wszystkich kłopotów, jakie miał przez niego w ciągu tych ostatnich kilku dni, Sanchez na to nie zasługiwał. Nie zasłużył na to, żeby odejść w ten sposób. Ray spojrzął za siebie. Nie wiedział, gdzie się właściwie znajduje.

Musiał jakoś odzyskać orientację. Podparł się pod boki, wpatrywał się w pustynię, przebijając wzrokiem potoki deszczu. Obejrzał się, popatrzył na północ, jakby mimo mroku nocy mógł zobaczyć niebieskoszare pasmo Hermanos, tak dobrze mu znane z czasów, kiedy jeszcze był dzieckiem. Ale w ciemności nie widać było niczego oprócz samej ciemności.

Obrócił się na pięcie. Po raz ostatni czuł taką rozpacz, kiedy zastępczyni Toma zapukała do jego drzwi przed ponad dziesięciu laty. Ta chwila tkwiła mu w pamięci, jakby to się działo teraz, zawsze teraz. A to, co przyszło potem, to zwykły przyptyw emocji, fala, na której płynął ku odpowiedzialnym za to, co się stało.

Równy, bez wielkiego pośpiechu, biegł z powrotem do bronco. Po dziesięciu minutach zobaczył światelko w kabinie. Jeszcze pięć minut i usłyszał radio. Jakaś meksykańska stacja, akustyczna gitara, kobieta śpiewająca po hiszpańsku.

Choć przez cały ten czas modlił się w myślach, by chłopak żył – biegnąc śladem, który zostawiły opony, z powrotem do drogi, czując, jak powietrze wpada do płuc, a potem z nich wypływa – wcale nie był zdziwiony, widząc utkwione w siebie zimne, nieruchome spojrzenie bez wyrazu. Dłoń odpadła od rany, palec wskazujący i kciuki nie ścisnęły już urwanego kawałka płótna.

Ray sięgnął przez otwarte drzwi. Zamknął mu oczy, mężczyźnie o połowę od niego młodszemu, właściwie jeszcze chłopcu. Chwałacemu się, czego to on nie dokonał. Udajacemu, że przeżył więcej, niż mógł przeżyć. Wszystko skończone. Sanchez nie będzie już nikim więcej, niż był w chwili śmierci, a Ray stoi obok samochodu i patrzy na niego jak na coś, co dawno już zginęło w otchłani czasu.

Zdjął mu rugera z kolan. Schował go za pasek. Padał deszcz. Grało radio. Chłopak od dawna nie żył.

Dzień trzeci

Dario czekał wystarczająco długo. W pięciu, w dwóch samochodach, obserwowali dom na ranczu Gusa Lamara. Dzieliło ich od niego sto metrów pustyni. Światło w dwóch oknach, domki pracowników odsunięte od głównego budynku, ciemne, bez śladu życia. Czekali już pięć godzin, nie spuszczała oka z domu, żeby nie przegapić gościa. Przez cały ten czas nie zdarzyło się nic, tylko padał deszcz. Nic nie wskazywało na to, że Ray Lamar wróci na ranczo, nic nie wskazywało nawet na to, że to ciągle jest jego dom. Było tylko nazwisko na etykiecie lekarstwa i twarz, którą widział Dario. To ich tu przywiodło.

Na wschodzie, nad górami, pojawiło się pierwsze słabe światło dnia, szare, przefiltrowane przez chmury. Gdy oni czekali, zasłona chmur rzędła, deszcz słabł, aż już tylko mżawka opadała na szyby samochodowe.

Spojrzał na Medinę. Kazał mu podjechać. Już wiedział, że kiedy zatrzymają się naprawdę blisko domu, każe Ernestowi sprawdzić kwatery pracowników, a z resztą odwiedzi mieszkającego w domu starego człowieka.



Ray obudził się w terenówce obok martwego Sancheza. Błękitne światło wczesnego świtu na wschodzie, tam gdzie chmury przerzedziły się w nocy. Pozostała tylko rzadka mżawka. Nieubłagana pustynia ciągnęła się jak okiem sięgnąć, szara i płaska jak blacha do pieczenia. Sięgała gór, wznoszących się falami pinii i jałowców, aż po przykryte śniegiem szczyty.

Obiecał Sanchezowi, że pojedą na północ. Że się stąd wydostaną. Ale to się nie miało zdarzyć, więc Ray siedział w samochodzie i próbował zaakceptować to życie, które sobie wybrał. Życie, które doprowadziło go tutaj, związało z Memem, ukradło wszystkie jego nadzieje.

Nie wiedział, co przyniesie dzień. Odrobina nadziei, bo przecież jeszcze żył, i światła wystarczającego, by mógł wyruszyć przed siebie. Szansa na nowy początek gdzieś daleko stąd, choćby nawet była całkiem mała.

Ciążył mu wiek. Światło rozpływało się nad górami, powietrze wydawało się zmieniać, uprzedzając nadejście dnia. Wiedział, że za godzinę nad tymi górami wzejdzie słońce, zaatakuje to, co pozostało z szyb, i metalową karoserię samochodu.

Przez długi czas Ray siedział za kierownicą bronco, patrząc, jak góry nabierają kształtu w wilgotnym, ziarnistym powietrzu. Radio już dawno przestało grać. Uniósł ciężką rękę, otworzył drzwi, pustynia ogarnęła go chłodnym podmuchem rozdzielającym włókna koszuli, jej szorstki dotyk na skórze nasycił go nowym życiem.

Bose stopy na ziemi. Słońce, które jeszcze nie wzeszło. Ray czuł przejmujący chłód i samotność. Szorstkie fale wiatru przebiegały rozciągającą się przed nim krainę, kłutą ostrymi kolcami mżawki. Równina cała pokryta plamami krzewów kreozotowych i chuparosy, szachownica brunatnych i brudnozielonych pól. Podwójny ślad opon zbiegający się w oddali, kilka godzin temu wyraźny, teraz niemal całkiem splukany przez deszcz.

Całą noc z nieba lała się woda, dostając się do samochodu przez roztrzaskane szyby, wsiąkając w siedzenia. Bronco stał na otwartej przestrzeni. Ray wiedział, że ktokolwiek będzie szukał jego czy Sancheza, znajdzie ich, i to szybko.

Sięgnął za siebie. Wziął strzelbę myśliwską z celownikiem optycznym o zasięgu tysiąc metrów i pociski długości niemal pięciu centymetrów. Wsiadł z terenówki, położył strzelbę na dachu, obszedł bronco, przeszukał kieszenie Sancheza. Zabrał kluczyki, portfel, wszystko, co w nich znalazł. Pochylił się, zdjął San-

chezowi buty, najpierw jeden, potem drugi; ściągał je z pięty, zsuwał ze stóp. Trzymając je w ręku, oparł się o bronco. Oba buty przymierzył do własnych stóp. Oceniał różnicę. Zdecydowanie za małe. Z tylnej kieszeni wyjął nóż, ten sam, którym pociął siedzenie chevy'ego Burnhama. Otworzył go. W obu butach po kolei rozciął skórę na piętach. Mógł już wsunąć je na stopy. Nadal nie pasowały, ale lepsze to niż nic.

Był przemarznięty, głodny i spragniony. Nie miał rękawa przy koszuli, prawy bark i biceps okrywał mu wyłącznie podkoszulek. Wykonując więcej ruchów niż potrzeba, starając się w ten sposób wygenerować choć odrobinę ciepła, zabrał z bronco wszystko, co dało się zabrać, po czym ruszył przed siebie. Kierunek dyktowały mu góry i pozycja słońca. Strzelbę niósł w ręku, pistolet włożył za pasek na brzuchu. Myślał o tym, jak – jeśli zdoła – powróci tu po Sancheza, ale rozejrzawszy się po pustyni i oceniwszy dystans do przejścia, uznał, że to niemożliwe.

Mżawka słabła. Słońce, wschodząc, odparowywało chmury. Za plecami zostawił Sancheza. Siedzi nieruchomo, z wywróconymi kieszeniami, ramionami splecionymi na piersiach, a on idzie na północ, pozostawiając za sobą bronco wraz z zawartą w nim historią.



Telefon odezwał się wczesnym rankiem. Tom zostawił Claire w łóżku, śpiącą, i pojechał do domu Sullivanów. Pił poranną kawę przy włączonym radiu. Nic, tylko znajomy szum i trzask zakłóceń.

Zaparkował furgonetkę na poboczu, za radiowozami hrabstwa. Uchylił szybę, dla Jannie, a potem na piechotę podszedł zwirowym podjazdem do domu.

Najpierw zobaczył ciało leżące tuż przy resztkach drzwi. Przystanął jakiś metr, dwa przed gankiem. Spojrzał na starego pickupa. Stał na czterech kapciach, opony przecięto. Znał ten wóz

z czasów, kiedy był szeryfem. Własność Jake'a Burnhama, choć nie wiedział, czy jeszcze do niego należy.

Stał i przyglądał się pick-upowi przez bardzo długą chwilę. Myślał. Burnham był jakoś związany z Angelą Lopez, a teraz proszę, jego pick-up, ze znajomym wgnieceniem lewej strony maski, z porysowanym lakierem. I jeszcze na krawędzi błotnika pojawiła się srebrna dziurka po grubej śrucinie. Metal przebił metal, odzierając go z lakieru.

Z czymkolwiek miał do czynienia, czymkolwiek było to, na co trafił dwa dni temu na drodze i teraz, przed starym domem Sullivanów, zaczęło wyglądać aż zbyt znajomo. Gdzie w tym wszystkim mieścił się Burnham? Spojrzał na martwe ciało na ganku. Czy to właśnie on? Nie widział twarzy, więc nie mógł nic powiedzieć na pewno.

Wczoraj wieczorem zjadł z Kelly kolację u niej. Nie było między nimi nic, co można kontynuować. Siedzieli na huśtawce, próbowali wszystko sobie przemyśleć. Już przedyskutowali śmierć chłopaka ze szpitala jak zdarzenie z przeszłości, którego nie da się wyjaśnić. A teraz ten pick-up Burnhama na porozrywanych oponach.

Tom przekroczył odcisk opon w ziemi. Gdzie tylko spojrzał, widać było zamazane ślady stóp i odciski opon w piasku, żaden wystarczająco wyraźny, by móc zrobić odlew. Dziesięć metrów od domu młody zastępca szeryfa, Pierce, klęczał nad kolejnym ciałem. Zrobił zdjęcie, przewinął film, wyprostował się i zauważył Toma.

– Szeryf Kelly dzwoniła do mnie rano – wyjaśnił Tom.

– Widziałem cię wczoraj w szpitalu. – Pierce podszedł, podał mu rękę na powitanie. – Edna uprzedziła, że możesz się gdzieś tu kręcić.

Tom przyklęknął przy zwłokach. Meksykanin. Dwie dziury od kul w głowie.

– Ktoś bardzo dobrze strzela – powiedział głośno.

– W środku jest jeszcze jeden. Dostał wprost między oczy. – Pierce mówił zdyszonym, zdumionym głosem małego chłopca,

który właśnie przybiegł powiedzieć rodzicom, że zobaczył coś na prawdę niezwykłego.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – powiedział Tom.

– Ja też – przyznał Pierce.

– Więc macie dwa ciała?

– Trzy. Jeszcze jedno jest przy samym wejściu, jakby facet już, już był w środku, ale w końcu mu się nie udało.

– Któryś z nich to stary biały mężczyzna ze Stetsonem?

– Co?

– Nie, nic, sprawdzałem tylko pewną teorię.

Tom znów spojrział na przecięte opony pick-upa. Pożegnał się z Pierce'em, bo zobaczył, że z domu wychodzi Kelly.

Spotkali się przy schodkach na ganek.

– I co sądzisz? – spytał.

– Trudno sądzić cokolwiek. – Kelly westchnęła. – Jestem tym wszystkim śmiertelnie zmęczona. Mam dość. Noc spędziłam w biurze, gapiąc się przez kraty na chrapiącego Andy'ego Stroppe'a. Nie przygotowało mnie to intelektualnie na taki poranek.

– Te poranne telefony wejdą nam w zwyczaj, prawda?

– Mam nadzieję, że nie wejdą – zaprotestowała Kelly. – Wiedziałeś kiedyś coś takiego? Bo ja z całą pewnością nie.

Oboje patrzyli na nieboszczyka na ganku. Nieco dalej leżał jeszcze jeden, głową do wejścia. Po drzwiach nie pozostało nawet wspomnienie.

– Trzy trupy – powiedziała Kelly. – Przeszło sto dziur w ścianach domu i ani jednej sztuki broni.

Weszli na ganek. Tom przyklęknął. Obejrzał zwłoki. Meksykanin, jak oni wszyscy.

– Co wam wyszło z badania balistycznego Gila Suareza? – spytał.

– Broń myśliwska. Duża rzecz, kaliber trzysta osiem.

– A tu znalazłaś jakąś trzystaósemkę?

– Nie, ani jednej – przyznała Kelly. – O ile się nie mylę, ci tu zginęli od pocisków kaliber dziewięć milimetrów.

– Trzystaósemka narobiłaby znacznie więcej zniszczeń – zgodził się z nią Tom. Podniósł wzrok, obejrzał ścianę wokół drzwi. Boazeria wyglądała, jakby zamieszkały w niej miliony korników.

– A tego załatwiono przez ścianę!

– Już wiem – powiedziała Kelly.

– Widziałaś pick-upa Burnhama tam, przed domem?

– To też mi się nie spodobało.

– Więc gdzie jest Burnham? Wiesz, że pracuje dla Daria, a wątpię, by to on załatwił tych wszystkich ludzi. – Tom wyjął z kieszeni długopis i rozchylił nim połę kurtki na zwłokach, żeby lepiej zobaczyć, gdzie trafiły kule. – Eli chce, żebyś w tej sprawie siedziała cicho, ale moim zdaniem teraz to już niemożliwe.

– Nie zamierzam... – Kelly zamilkła. Przyglądała się wozowi Burnhama i tylko kręciła głową.

– Ci ludzie to nie miejscowi – oznajmił Tom. – Od razu mogę ci to powiedzieć. – Musisz się przede wszystkim dowiedzieć, co ich tu sprowadziło, i, moim zdaniem, doskonale wiesz, kogo o to zapytać. – Cofnął długopis spod połę kurtki. Opadła na koszulę mokrą od krwi. Czubek długopisu był czerwony.

Kelly spojrzała na Toma. Trzasnęła migawka aparatu Pierce'a, zaszumiał przewijany film.

– Chodzi ci o Daria?

– Nie wiem, kto inny mógłby to być. Burnham jakoś to wszystko łączy, a chyba nietrudno pójść jego tropem.

– Nie mamy niczego konkretnego przeciw Dariowi – zauważyła Kelly. – Przepraszam cię, Tom, wiem, że powiem coś strasznego, ale po tym, co zdarzyło się Angeli Lopez, jest to drażliwa kwestia.

– W tej sprawie drażliwością wykazuje się wyłącznie Eli.

– On się boi, Tom. I kiedy patrzę na tych wszystkich postrzelanych ludzi, to nie mam do niego o to pretensji.

– Cokolwiek tu się stało, nie będziesz mogła udawać, że to nic wielkiego.

– Wiem o tym. Wiem o tym lepiej niż większość tutejszych. Ale nie mogę zadawać ludziom tego rodzaju pytań bez ważnego

powodu.

Tom uśmiechnął się lekko.

– Widzę tu całą masę powodów, Edno. Aż za wiele powodów. Prawdę mówiąc, powinnaś rozważyć możliwość wezwania pomocy. DE A, straż graniczna, nawet policja stanowa. – Spojrzał na zwłoki, a potem znów na Kelly. – Dziwne, kiedy człowiek wprowadza się do małego miasteczka, próbuje zajmować się swoimi sprawami, a te jego sprawy stopniowo zaczynają obchodzić wszystkich. Wiesz, czym Dario zajmował się przez te ostatnie kilka lat, całe miasteczko wie, ale spałałem sprawę i teraz każdy pilnuje tylko, żeby patrzeć w drugą stronę.

Wstał. Zrobił kilka kroków, żeby mieć lepszy widok na zwłoki leżące przy wejściu do domu. Jeden strzał, prosto między oczy. Wiedział, że Burnham nie zdołałby tak trafić, nawet gdyby stał półtora metra od celu.

Odwrócił się, spojrzał na Kelly.

– Chcesz przejść przez to ze mną?

□□□

Dario stał w pokoju dziennym domu Gusa Lamara. Przyglądał się zdjęciom, które stary trzymał na półeczce nad kominkiem. Medina stał za nim, w drzwiach do pokoju, z pistoletem maszynowym przewieszonym przez ramię, a César i Carlos, zajmujący miejsca po obu stronach obszernego fotela, unieruchomili siedzącego w nim Gusa, trzymając dłonie na jego ramionach.

– Czego chcecie? – spytał Gus. Zadawał to pytanie od niemal pół godziny. Ubrany w piżamę, siwe włosy miał rozczochrane, a na policzkach i szyi niechlujny zarost. Dario nie powiedział jeszcze ani słowa. Po prostu przyglądał się jednemu ze zdjęć, przedstawiającemu mężczyznę o twarzy kanciastej jak twarz starego, tylko ciemniejszej.

– Jesteś ojcem? – spytał. – Ojcem Raya? – W ostatniej chwili przypomniał sobie imię wypisane na buteleczce lekarstwa.

Gus patrzył, jak Dario wyciąga rękę po zdjęcie z półeczki. Ujął ramkę ostrożnie, przez rękaw, nie chciał zostawić śladów palców.

– Jestem przyjacielem twojego syna – powiedział Dario.

– Wiem, kim jesteś. Nie jesteś przyjacielem Raya.

– Nie? Może rzeczywiście, ale o tobie też coś tam wiem i przypuszczam, że gdybyś musiał, to mógłbyś powiedzieć mi o Rayu to i owo.

Gus poderwał się w fotelu. César i Carlos natychmiast go unieruchomili.

– Może powiecie mi, dlaczego uznaliście, że wolno wam tak po prostu wejść do mojego domu? – Gus rozejrzał się, spojrzął na Daria, a potem na Medinę. – Nie rozmawiałem z synem od dziesięciu lat. Jeśli cokolwiek wiecie o nim teraz, to wiecie o wiele więcej niż ja.

Dario odstawił zdjęcie, ostrożnie, dokładnie na to miejsce, z którego je wziął. Cofnął rękę zaciśniętą na kolbie czterdziestki-piątki; położył ją na półeczce, żeby wziąć fotografię. Oczy starego znieruchomiały, wpatrzony w broń. Dario uśmiechnął się lekko, stary napiął wszystkie mięśnie, zaczął wreszcie pojmować, co się dzieje.

– Jeśli powiem tym ludziom, żeby cię puścili, obiecasz, że nie zrobisz żadnego głupstwa? – spytał Dario.

– Niczego ci nie obiecuję.

Dario tylko uśmiechnął się szerzej. Skinął głową na swoich ludzi trzymających Gusa. Puścili go, cofnęli się o krok.

– Zacznijmy od początku – zaproponował. Usiadł na krześle, naprzeciw starego. Założył nogę na nogę. Broń trzymał na udzie, z palcem na kabłąku spustowym. – Znasz mnie, a ja znam ciebie. Jest pewna sprawa i dlatego przyszliśmy w gości. Chcemy dostać odpowiedź na jedno proste pytanie.

– W niczym nie mogę wam pomóc – powiedział Gus.

Dario znów spojrzął na zdjęcia. Odsunął rękaw, sprawdził godzinę.

– Wiesz, twój syn jest bardzo dobry w tym, co robi. Ma prawdziwy talent. Problem tylko w tym, że jest bardzo uparty.

– Uparty?

– Nie rozumie, że jest skończony w tym mieście.

Otworzyły się drzwi frontowe. Do pokoju wszedł Ernesto. Zatrzymał się na chwilę, spojrzął na Gusa. Dario przywołał go ruchem ręki. Cztery domki pracowników były puste, ale w piątym chyba ktoś mieszkał.

Dario spojrzął na jeńca.

– Kogoś brakuje w towarzystwie?

Milczenie.

Dario podniósł czterdziestkępiątkę. Wymierzył.

– Sprawdźmy, kto przybiegnie? – spytał.

Ściągnął spust. Broń skoczyła mu w rękę. Rozległ się huk donośny jak grzmot, w powietrze uniosła się chmurka dymu ze spalonego prochu. Nad głową Gusa, w ścianie, pojawiła się dziura, w którą można byłoby włożyć kciuk.

– Jezu! – krzyknął Gus. – Mówię wam, że nie widziałem Raya od dziesięciu lat! Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz. Jeśli jest tu, w mieście, to ja o tym nic nie wiem. Nie wpadł się ze mną przywitać.

Dario powoli tracił cierpliwość. Był zmęczony, dał temu człowiekowi szansę, ten z niej nie skorzystał, a drugiej być nie mogło. Pora brać się do roboty.

– Kto mieszka w tym domku? – spytał jeszcze raz.

– Mój szwagier.

– Kto? – warknął.

– Luis. Częsty gość w twoim barze. Prawdopodobnie przesypia gdzieś ostatnią wizytę. Nie wiem, nie jestem jego opiekunem.

Dario spojrzął na Medinę.

– *Yo lo conozco* – powiedział Medina i poinformował szefa, że jego zdaniem ten człowiek pracuje niedaleko, może trzy kilometry stąd, przy drodze, u Deacona, przy jego bydle.

– Próbuję ci pomóc. Ja tylko próbuję ci pomóc, ale wygląda na to, że wcale nie chcesz mojej pomocy.

Dario skinął na Ernesta, a kiedy ten podszedł bliżej, Dario kazał mu wyjść i pilnować frontu domu. Odczekał, aż Ernesto wyj-

dzie, a potem zwrócił się do Gusa:

– On dziś w nocy stracił brata. Kazałem mu wyjść, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać. Jego brat nie żyje przez Raya. Kiedy wróci, to bardzo prawdopodobne, że cię zabije. Bardzo prawdopodobne, że mu na to pozwolę, jeśli nie dowiem się czegoś od ciebie i jeśli nie powiesz mi tego szybko. Bo mogą się tu dziać przykre rzeczy, zabiorą sporo czasu, a nie ma w tym pokoju nikogo skłonnego ci pomóc.

Dario przyjrzał się Gusowi. Sprawdzał, jak stary to przyjął. Widział jego chudą, ściągniętą twarz, kości policzkowe ciasno napięte na skórę pod oczami, wyraz nienawiści, który pojawił się nagle na tej twarzy i znikł, gdy do pokoju wszedł wezwany Ernesto.

Dario skinął głową. Carlos i César znów unieruchomili Gusa. Trzymali go za ramiona. Trzymali go mocno, Ernesto podszedł do Daria, a ten powiedział mu, że może zaczynać.



Ray szedł przez pustynię na północ. Miał z sobą kolekcję broni. Jego ubranie, jeszcze z wczorajszego wieczoru, oblepiała warstwa błota, zdjęte Sanchezowi buty bielił kredowy pył.

Szedł, aż stopy mu zeszywniały, stały się twarde jak kamień. Słońce weszło wysoko na niebie. Wypiętrzone chmury godzinami wisiały nieruchome w tym samym miejscu, nad rosnącymi na pustyni krzaczkami pojawiły się pierwsze macki upału. Po drodze napotykał duże zapadliska, bryły ziemi podcięte przez deszcz, pnie drzew i krzaki z oddalonych wiele kilometrów gór, przyniesione przez wodę i osiadłe na brzegach wyrzeźbionych przez nią koryt. Doskonale wiedział, że obaj z Sanchezem nigdy nie przejechaliby tędy bronco, że podłoże jest zbyt zdradliwe, zbyt niepewne, by trasę tę pokonywać inaczej niż piechotą lub konno.

Po wielu kilometrach zobaczył przed sobą szosę, ale widok szarego pasa betonu przecinającego dno doliny nie sprawił mu

radości. Obserwował srebrzyste odpryski słonecznych promieni na aluminium karoserii mknących w obie strony samochodów.

Skręcił i ruszył wzdłuż pasma gór na wschód. Nie był jeszcze gotów dołączyć do świata, nie był gotów odpowiadać na pytania, które, o czym dobrze wiedział, muszą zostać zadane.

Był prawie pewny, że wyprowadzi go stąd droga, na którą trafił. Przeprowadzi go między górami, tymi na północy i tymi na wschodzie. Szedł przed siebie, czując, jak koszula klei mu się do pleców. Wielokrotnie myślał o pozbyciu się strzelby, ale nie poddawał się. Była dla niego niczym talizman z przeszłości.

Nie mógł zrobić nic więcej, niż podążać na północ. W pewnym momencie będzie musiał skontaktować się z Memem, powiedzieć mu o Sanchezie i o tym, co się stało w domu Sullivanów. Nie było dobrego sposobu na przekazanie takiej wiadomości, więc myślał o swojej sytuacji i zastanawiał się, jak, pozbawiony schronienia, wody i żywności, ma dotrzeć do Las Cruces.

Kilkakrotnie trafiał na drucziane ogrodzenia pastwisk. Szedł przez prywatne posiadłości, tereny państwowe i znów przez ziemię prywatną. Znajdował zagłębienia w ziemi wypełnione deszczówką. Większość brązowej cieczy odparowała, pozostał gęsty roztwór gnojówki, nad którym roiło się od much. Był odwodniony, spragniony do szaleństwa, ale tego nawet nie próbował pić.

Gdy przechodził przez pastwiska, krowy gapiły się na niego, bezmyślnie poruszając pyskami, a potem patrzyły gdzie indziej. Z półtora kilometra dostrzegł kojota, podniósł strzelbę, złapał go w celownik, ale nie ściągnął spustu. Kojot odbiegł długim, podrygującym truchtem, trzymał się blisko podnóża gór, wreszcie zniknął za grzbietem niewielkiego wzgórza. W upale Ray zaskoczył stado odpoczywających antylop. Uciekały, skacząc przez ogrodzenia, i też znikły.

W dali widział rdzewiejące rusztowania wież wiertniczych, odbijające się od tła pasma Hermanos. Brudnożółte i czarne szkielety, których nazwy wciąż pamiętał. Dean Garner. Jack Freal, Oleg Stanovich. Wyrastały ponad horyzont. Właściciele pól naftowych

dawno odeszli, zostały po nich groby... i szyby wiertnicze... i tylko one przechowywały pamięć o nich.

Jego historia złączyła się teraz z historią tych ludzi. Szyby ojca wyschły, ze wszystkim, co znaczyły dla niego i Marianne. Miało to swoje skutki. Ray bezrobotny, kredyt hipoteczny niespłacany od wielu miesięcy. Wszyscy wokół walczący o pracę, a niewiele jej zostało. Marianne nosi Billy'ego na biodrze, codziennie powtarza, że przetrwają, że w końcu coś się przecież znajdzie. Ale on już wiedział, że nie, i wiedział, że skończył z ropą na zawsze, tak jak ropa skończyła z nim.

Całym sercem żałował, że nie może cofnąć się w czasie. Zacząć od nowa. Zrobić wszystko inaczej, poczynając od dnia, kiedy wyszedł z gabinetu sędziego pokoju i stał na stopniach gmachu sądu, świeżo ożeniony. Miesiąc miodowy nad Zatoką Kalifornijską, rybne tacos i spacerzy ulicami małych miasteczek ciągle byłyby przed nim.

Skrajnie wyczerpany, zdruzgotany minionymi laty, pół godziny później przeszedł przez drogę, oblepiony błotem tego, co widział i co zrobił zeszłej nocy. Ani śladu samochodu, ni z jednej, ni z drugiej strony. Kolumny światła biją z nieba w ziemię, od słońca, które znalazło schronienie za cienkim skrawkiem chmur.

Dotarł do rancza szybciej, niż się tego spodziewał. Uklęknął na ziemi przy jego granicy. Czekał, walczył o odzyskanie oddechu.

Przez pół godziny leżał, patrząc i czekając, walcząc z pragnieniem i głodem. Powiał wiatr, poniósł przy ziemi rzadką chmurkę pyłu, popłynęła ku domowi, zabrzączał pojedynczy żelazny dzwoneczek.

Ray wstał. Ostrożnie ruszył przed siebie. Od bardzo dawna go tu nie było. Ponoślił ryzyko – życie, które kiedyś tu wiódł, całkowicie różniło się od tego teraz.

Wiedział, że potrzebuje schronienia. Ubranie miał podarte, poplamione krwią. Musi się gdzieś ukryć, na dzień, może trochę dłużej. Co więcej mógłby zrobić? Szedł przed siebie, deptając kamienie i krzaki. Zmęczone ręce wypuściły strzelbę.

Wszedł na schody powoli, przytrzymując się poręczy.

Zapukał dwukrotnie w drewnianą ramę siatkowych drzwi, odczekał chwilę i znów zapukał dwa razy. Podszedł do okna, zajrzał do środka przez złożone dłonie. Już miał obejść dom, podejść do tylnego wejścia, kiedy usłyszał stuk zasuw. Wewnętrzne drzwi otworzyły się w momencie, gdy odciągnął drzwi siatkowe. Wysunął stopę, przytrzymał drzwi, nim zdążyły się zatrzasnąć. Kobieta tylko westchnęła z zaskoczenia.

– Cześć, Claire. – Ray spojrzał nad jej ramieniem, w głąb pokoju dziennego. – Tom w domu?

□□□

– Są tam łuski po bardzo różnych pociskach – powiedziała Kelly do Elega. Siedzieli w jego biurze w siedzibie hrabstwa, piętro nad biurem szeryfa. – I odciski opon przynajmniej trzech samochodów.

Eli przyglądał się jej przez chwilę, potem spojrzał nad jej ramieniem gdzieś w dal, a później opuścił wzrok na biurko.

– Co dziwne – mówiła dalej Kelly – w domu nie znaleźliśmy dosłownie nic. To znaczy żadnej łuski. Słyszysz pan, co mówię, panie burmistrzu?

Eli skinął głową bardzo poważnie, a potem znów odwrócił wzrok. Wyglądał przez okno. Nie odzywał się przez ładnych kilka minut, jakby Kelly w ogóle tu nie było, jakby nie mówiła nic o tym, co dzieje się tuż za granicą jego miasta.

Wiedziała, że burmistrz nie chce mieć z tym nic wspólnego. Gdyby to od niego zależało, pewnie zostawiłby zwłoki na pustyni, aż gazy nadęłyby je do rozmiaru piłek plażowych. Zbliżały się wybory. Ludzie nie mieli pracy, nie mieli szans na pracę, w każdym tygodniu miasteczko opuszczało kilka osób. A teraz jeszcze to. Stawka była naprawdę wysoka. Kelly wiedziała, o czym myśli, wystarczyło na niego popatrzeć. Unikał jej spojrzenia, słuchał słów, ale tak, jakby wpuszczał je jednym uchem, a wypuszczał drugim, jakby nie musiał nic robić, dokonywać żadnych wyborów.

– Kogokolwiek próbowali dopaść, był doskonałym strzelcem. Prawdziwym zawodowcem. Nie popełnił żadnego błędu. – Kelly zawahała się. – Moim zdaniem najwyższy czas wezwać posiłki, burmistrzu.

Eli poprawił się w fotelu. Teraz już na nią patrzył, dosłownie mierzył ją wzrokiem.

– To wszystko, co masz?

– Tam toczyła się wojna. Nic nie będziemy wiedzieli, póki z Las Cruces nie wróci raport balistyczny.

– O ilu strzelcach mówisz? – Burmistrz nadal wpatrywał się w nią nieruchomym spojrzeniem. Czekał na odpowiedź.

– Nie wiem na pewno. Naszym zdaniem próbowali kogoś zaskoczyć. Zakładamy, że zabójcę ze szpitala.

– Wiemy już, co to byli za ludzie?

– Żaden z nich nie figuruje w systemie – wyjaśniła Kelly. – W tej chwili sprawdzamy to z policją w Meksyku.

– A ten samochód, który znaleźliście?

– Miał rozcięte siedzenie. Pośrodku. Wyciągnięto wyściółkę.

– Niczego nie znaleźliście?

– Nie.

– Na kogo był zarejestrowany?

– Na Jake'a Burnhama.

– Znacie go?

– Starszy mężczyzna, jeden z miejscowych. Sprawdziliśmy, nie ma go w domu. Został tylko ten wóz.

– Odciski palców?

– Nadal czekamy.

– Nie da się załatwić sprawy po cichu?

– W mojej opinii to już niemożliwe, burmistrzu.

Eli znów udawał, że jej nie ma. Odwracał wzrok. Przeciągające się milczenie, a potem wstał i podszedł do okna. Wiedziała, że przez to okno zobaczy zaparkowane przy krawężnikach wozy telewizyjnej. Dziennikarze będą chcieli z nim rozmawiać.

– Proszę cię teraz o osobistą przysługę, Edno. Nie rób mi tego.

Czyste, błękitne niebo. Chmury rozeszły się, odpłynęły nad Teksas.

Kelly patrzyła i czekała, ale burmistrz nie odwrócił się, tylko gapił przez okno. Przerwała milczenie.

– Tom twierdzi, że za mało wiemy. Jeśli zaczniemy szukać, to znajdziemy jakieś ostrzelane samochody.

Na dźwięk imienia poprzedniego szeryfa Eli zaledwie się poruszył. Nie sposób powiedzieć, jak to przyjął.

– Powiedziałem ci, że nie chcę, żebyś go w to wciągała.

– Nie miałam wyboru.

– Dlatego tu przyszłaś? Dlatego mi to mówisz? – Odwrócił się wreszcie od okna. Usiadł ciężko za biurkiem. Nie spuszczał z niej wzroku.

– Przyszłam tu, bo informowanie pana jest moim obowiązkiem.

– Tom Herrera już nie reprezentuje prawa, czy to rozumiesz? Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Kelly zastanowiła się nad tymi słowami. Od jakiegoś czasu myślała o Tomie. Wiedziała, że gdyby Elemu udało się dopiąć swego, w tej chwili Tom siedziałby za kratkami. Ale nie siedział, a ona miała z tym wiele wspólnego. Może nawet za wiele, lecz ten ciężar wzięła na swoje barki dawno temu. Co najważniejsze, wiedziała już, że burmistrz jej nie pomoże. A bardzo potrzebowała pomocy.

– Znaleźliście narkotyki? – spytał Eli.

– Nie.

– Pieniądze?

– Nie.

– Więc nie ma powodu, żeby włączać kogoś z zewnątrz, prawda?

Kelly czekała z nadzieją, że powie coś więcej, ale się nie doczekała.

– To może być początek prawdziwego problemu – zauważyła.

– Więc nie sądzisz, że to już koniec?

– Moim zdaniem pora wezwać pomoc z góry. Nie uda się nam utrzymać tego na poziomie lokalnym. Cztery trupy w dwa dni to raczej spory rachunek do zapłacenia.

– Poradzimy sobie.

– Nie – rzuciła Kelly. – Nie poradzimy.

Wyglądało na to, że Eli ma coś do powiedzenia, ale w końcu się nie odezwał.

– Potrzebujemy samolotu albo helikoptera – poinformowała go Kelly. – I potrzebujemy go szybko. Gdzieś tam są jeszcze trzy samochody, a pustynia jest spora.

– Do kogo zamierzasz zadzwonić?

– DEA albo straż graniczna, zależy kto będzie pierwszy w powietrzu.

– Oni się na to rzucają. – Jego głos zdradzał wszystko.

– Nic nie poradzimy – zauważyła Kelly. – Żadne z nas nic nie poradzi. Już nie.



Dario zszedł po schodkach ganku. Zatrzymał się na słońcu, czując na skórze jego promienie, ciężkie i ciepłe. Zabrał z kuchni ściereczkę i teraz, stojąc i rozglądając się po okolicy, wycierał ręce, a krew wsiąkała w materiał.

Dalej w dolinie widział stare dęby, pozbawione liści, wyciągające do nieba nagie gałęzie jak szkielety ramion. W końcu nic nie mógł zrobić dla Gusa. Inaprawdę nie sądził, żeby stary bał się śmierci, póki nad nim nie stanęła, te kilka ostatnich, bolesnych haustów powietrza, a potem klatka piersiowa nieruchomieje, a spomiędzy warg dobiega ostatnie westchnienie, cichy szum wiatru.

A teraz Dario będzie czekał. Nie ustąpi. Wróci do baru i będzie czekał na to, co oczywiście, bez wątpienia, nastąpi. Potrzeba działania, bo o działanie chodziło, odczuwana mocniej z każdą godziną. Kiedy Ray znajdzie Gusa? Jak się objawi jego gniew, kiedy go już znajdzie?

Z domu wychodzili jego ludzie, tak jak on wyszedł stamtąd przed chwilą. Ciężkie promienie słońca padały im na twarze, zwięźzone, niemal gadzie oczy. Schodzili z ganku, patrząc w jedną i w drugą stronę, badając dolinę wzrokiem.

Kiedy już go minęli w drodze do samochodów, Dario wyjął z kieszeni małą buteleczkę z lekarstwem. Postawił ją na najwyższym stopniu schodów na ganek. Nazwiskiem Raymond Lamar do przodu, tak żeby rzuciło się w oczy temu, kto pojawi się tu pierwszy.

Czekał go pracowity dzień. Podszedł do czekającego na niego przy samochodzie Mediny. Dario wiedział, że już wkrótce będzie się przenosił, ale na razie miał czekać. Zrobi, co musi zrobić, spróbuje wykorzystać czas do maksimum, a potem przeniesie się do kolejnego miasteczka i będzie tam żył jak zawsze.



Pięć minut po wyjściu z gabinetu Elego Kelly dzwoniła już do straży granicznej. Przez otwarte drzwi widziała Pierce'a słuchającego, jak opisuje sytuację. Skończyła, rozłączyła się, poczekała, aż w słuchawce usłyszy sygnał wolnej linii.

Mogła tylko czekać. Zadzwoiła do Toma, ale nikt nie podniósł słuchawki. Rano, przeszukując dom, próbowali odtworzyć wymianę ognia. Tom spytał, czy znaleźli może łuski od trzystaósemki. Nie miała mu nic do powiedzenia.

Zapięła pas, założyła kapelusz.

– Pieprzyć to! – zaklęła, okrążyła biurko i podeszła do drzwi.

– Co? – zainteresował się Pierce.

– To.

Minęła zastępcę siedzącego za biurkiem. Nie całkiem wiedziała, co ma zamiar zrobić, ale miała dość zależności od Elego, zależności od Toma, od nich wszystkich, którzy być może coś wiedzieli, ale nic nie mówili.

– Jeśli coś się zdarzy, łap mnie przez radio – poleciała Pierce'owi.

Całą noc lało, lało godzinami, a teraz niebo wisiało jej nad głową, czyste, błękitne. Według prognozy była to zaledwie pierwsza z szeregu przewidywanych dla regionu ulew. Nadchodziły z Zachodniego Wybrzeża. Kalifornia nasiąkała nimi jak gąbka. W odpływach burzowych przelewała się woda, spływając z powrotem do Pacyfiku.

Kelly podeszła do radiowozu. Promienie słońca odbijały się od metalu przykurzonej karoserii. Nic nie wydawało się jej czyste, takie jak kiedyś. Tak jakby miasto odtrącało ją teraz, kiedy słońce wznosiło się coraz wyżej. Nocny deszcz był jak powódź niosąca zniszczenie, zniszczenie uderzające w nią jak w tamę, i ta uparta myśl, że byłoby miło, gdyby tylko z tym musiała sobie poradzić.



Tom dojadł jajecznicę, zapłacił i poszedł do samochodu zaparkowanego przed barem Lucky Strike. Z domu Sullivanów wyjechał jednocześnie spięty i niepewny, co powinien teraz zrobić. Wiedział, że ojciec i Deacon już na niego czekają, że powinien przyjechać i zabrać się za robotę, ale na to nie był jeszcze gotowy. Pod powiekami miał zatrzymane obrazy nieruchomych ciał przed domem Sullivanów. Deszcz zmył krew z ciała leżącego dziesięć metrów dalej, wyglądało tak, jakby spadło tam z nieba.

Spojrzał na zegarek. Piętnaście po jedenastej. Spóźnił się do pracy już trzy godziny. Zdjął palec z przycisku w budce telefonicznej, usłyszał sygnał, wybrał numer. Pani Deacon poinformowała go, że mąż jest gdzieś poza domem, przy bydle. Tom powiedział jej, że zasnął i że przyjedzie najszybciej, jak będzie mógł.

Wrócił do domu. Volkswagen Claire stał na podjeździe, zwykły mały garbus, nieruchomy od wczoraj. Zabierze swoje rzeczy i weźmie się do roboty. Na to nie mam czasu – pomyślał, otwierając drzwi swojego wozu, czekając, aż Jeanie pozbiera się i wyskoczy. Na niebie ani śladu chmur, warstwa błota na blachach volkswagena, za kołami. Kwiczą świny w chlewiku, słyhać je przez

ogrodzenie z drutu, zapach świńskiego nawozu wisi w spokojnym powietrzu południa.

Zamknął samochód, wszedł po schodkach na ganek. Nim dotknął drzwi frontowych, już wiedział, że coś jest nie tak, a Jeanie warczała, cicho i groźnie. Pozwolił drzwiom otworzyć się pod własnym ciężarem.

Claire siedziała w rogu kanapy. Kuzyn Ray rozparł się w starym fotelu. Przed Rayem leżała przykryta magazynem, ale wyglądająca spod niego, długa lufa strzelby myśliwskiej. Obok pistolet, na oko ruger. Claire rzuciła Tomowi rozpaczliwe spojrzenie, lecz nie odezwała się ani słowem. Nie zwrócił na nią szczególnej uwagi, bardziej obchodziło go, co Ray ma zamiar zrobić i w ogóle dlaczego go odwiedził po tych wszystkich latach. Chociaż jeśli o to chodzi, można było się łatwo domyślić.

– To strzelba na naboje trzystaósemki?

Ray pochylił się, przesunął magazyn, na światło dzienne wyjrzała drewniana kolba.

– Zdaje się, że tak – powiedział. – No dobra, Tom, a teraz zamknij drzwi. Psa zostaw na dworze, jeśli wolno prosić.

Tom wypchnął Jeanie z domu. Zamknął drzwi, ale nawet wtedy słyszał, jak warczy, a potem kilka razy szczeka.

Spojrzał na Raya.

– Nie wyglądasz najlepiej – zauważył. – Jakbyś miał ciężką noc i może nie najlepszy ranek.

Pustynia zabarwiła ubranie Raya na czerwonawy brąz, przy koszuli brakowało rękawa, na nogach miał rozcięte, za małe buty.

– Wszystko w porządku, Claire? – spytał Tom. Popatrzył na swoją przyjaciółkę wtuloną w kąt kanapy, obserwującą go uważnie. Nie miał pojęcia, jak długo tak siedzą, ale był prawie pewien, że długo i że burmistrz i jego pracownicy już zastanawiają się, co się z nią dzieje, tak jak Deacon zastanawiał się, co się dzieje z nim.

– Nic mi nie jest – odparła Claire. – Telefon dzwonił i dzwonił. Deacon nagrał się parę razy.

– Siadaj, Tom. – Ray rozsiadł się w fotelu, wskazał miejsce na kanapie, obok Claire. – Widzę, że trochę się tu zmieniło. Nigdy nie przypuszczałem, że będziesz pracował dla Deacona.

Tom usiadł, nie spuszczając z niego wzroku. Broń na stoliku, jednakowo blisko nich obu. Cała różnica w tym, że skierowana lufą w jego stronę.

– Wiesz, że zawsze byłeś tu mile widziany, Ray, ale nie wtedy, kiedy zjawiasz się w taki sposób jak teraz.

Ray spojrzał na stół. Wyciągnął rękę, odłożył broń na podłogę. Już jej nie widzieli. Kanapa zakołysała się, to Claire drgnęła nerwowo, widząc ten jego gest.

– Mam kłopoty – powiedział Ray.

– Wiem – odparł Tom, obserwując kuzyna uważnie i starając się przewidzieć, co zrobi. – Ludzie cię szukają, różni ludzie, nie tylko ci z biura szeryfa. Jeszcze dziś DEA dostanie telefon... jeśli już go nie dostała. Nie da się ukryć, że nabałaganieś.

– Nawet nie powinno mnie tu być – powiedział Ray. – Wróciłem, bo chciałem zacząć od nowa. Przynajmniej spróbować. Ale nie udało się, wszystko poszło nie tak, powinienem wynieść się stąd dwa dni temu. Wszystko się spieprzyło, rozumiesz? – Ray mocno, nerwowo drapał się po policzku.

– Nie rozumiem – przyznał Tom. – Powiedziałem ci, że jesteś tu mile widziany, mówiłem szczerze, ale musisz mi w tym pomóc, jeśli chcesz, żebym ja pomógł tobie. – Przeniósł spojrzenie na Claire. – Pozwolisz, że ona zadzwoni do biura, powie im, że zachorowała albo coś? Biorąc pod uwagę, co się tu dzieje, lada chwila zaczną jej szukać. Jeśli już nie szukają.

Ray odsłonił twarz, rozejrzał się, zobaczył telefon na stoliku przy drzwiach. Skinął głową. Claire zawahała się. Wstała, nie spuszczając z niego wzroku.

Kiedy zaczęła mówić do słuchawki, Tom powiedział:

– Burnham nie żyje, tak?

Ray skinął głową. Obserwował Claire rozmawiającą przez telefon.

– I to przez narkotyki?

– Przez mnóstwo narkotyków. – Ray przeniósł spojrzenie na kuzyna. – Chociaż zaczynam myśleć, że chodzi jednak o coś więcej.

– Kartel?

– Nie wiem – rzucił Ray. – Myślałem, że może tak, ale ja tu jestem tylko od roboty. Nie rządzę. Tyle to już powinienes o mnie wiedzieć.

– Długo cię nie było, Ray.

– Cokolwiek się stało... Cokolwiek zrobiłem... Ja tego nie chciałem, wiesz? Ja tylko odwaląłem swoją robotę. Powinienes to wiedzieć. Wiesz?

Tom siedział wpatrzony w słoneczne promienie wpadające przez okna do pokoju i rysujące na podłodze płaski żółty prostokąt.

– Nie jestem już szeryfem, Ray. Nie mam tego rodzaju poczucia obowiązku. Dla mnie nie ma już czegoś, co można nazwać „właściwym”. – Claire stała przy przeciwległej ścianie, obserwowała ich, dłoń oparła na telefonie. Odłożyła już słuchawkę. – Nie muszę robić tego, czego się po mnie spodziewają – dokończył.

Ray zaciskał zęby, widać było mięśnie naprężające się na policzkach. Nie podnosił wzroku wbitego w podłogę.

– Bardzo żałuję – powiedział. – Bardzo żałuję, że straciłeś pracę i że teraz to się stało.

Tom znów spojrzał na Claire. Nie wiedział czemu, ale spodziewał się jej aprobaty, musiał wiedzieć, czy to, co powie za chwilę, będzie miało dla niej jakieś znaczenie.

– Powtarzam: mogę pomóc, jeśli ci na tym naprawdę zależy. Są ludzie, którzy chętnie zrobią to samo.

Ray nadal nie podnosił wzroku. Claire przestąpiła z nogi na nogę, nie była chyba pewna, czy może wrócić na kanapę. Nie ma dobrego sposobu – powtórzył w myślach Tom. Nie ma wytyczonej ścieżki. Już nie. Droga, którą sam szedł, doprowadziła go tutaj, bardzo długo sądził, że to jest ta właściwa droga, ale teraz myślał, że może już nie i że na świecie ścierają się różne wielkie sprawy,

większe niż po prostu robienie tego, czego się po tobie spodziewają.

– Mogę ci pomóc – powiedział jeszcze raz. – Chcę ci pomóc, Ray.



Przed kwadransem nad głową Kelly przeleciał samolot straży granicznej; warkot jego silnika odbijał się od równiny długo po tym, jak kadłub i skrzydła znikły jej z oczu. Nie wiedziała, co znajdzie i czy w ogóle znajdzie cokolwiek. Siedziała, opierając stopy o zderzak. Przyglądała się pustyni, płaskiej równinie ciągnącej się aż do Meksyku, zaledwie piętnaście kilometrów na południe.

Nie pokładała nadziei w niczym: ani w prawie, ani w tym miasteczku, ani w burmistrzu, nawet w samej sobie. Zawiodło ją wszystko, czego się do tej pory nauczyła. Czuła się samotna i miała pewność, że ktokolwiek strzelał w nocy w domu Sullivanów, ktokolwiek zabił tych ludzi, zdążył już zniknąć. Piloci straży, wracający na północ, marnowali tylko czas. Swoją czas i jej.

Nie potrafiła obronić się przed myślą, że gdyby tylko odrobinę wcześniej zwróciła się ze wszystkimi problemami do Elego, gdyby potrafiła uprzeć się przy swoim, to pewnie nie siedziałyby teraz z nogami opartymi na zderzaku, słuchając monotonnego warkotu silnika samolotu. Być może nie powinna przyjmować tej pracy, być może dla niej wszystko skończyło się w tej samej chwili, w której wszystko skończyło się dla Toma. Wydarzenia ostatnich kilku dni sprawiły, że czuła się straszliwie bezradna, samotna, niezdolna powstrzymać tego, co działo się w mieście, cokolwiek to było.

Zatrzeszczało radio. Kelly aż podskoczyła, nerwy miała w strzępach. Wskoczyła do samochodu, nim Pierce zaczął przekazywać informację o bronco znalezionym przez pilota na pustyni, tuż na północ od miasta.

– Co widzieli? – spytała. Prawie przytknęła mikrofon do ust. Patrzyła w niebo na północy, próbowała zlokalizować samolot.

– Podobno zobaczyli coś na siedzeniu pasażera. – Trzaski radia z głośnika, w tle głos pilota z interkomu w biurze.

Trzasnęły drzwi. Kelly przekręciła kluczyk w stacyjce. Przejechała przez miasteczko, już była na drodze prowadzącej na pustynię. Gdzieś tam, na północy, samolot zataczał kręgi, a ona była gotowa na wszystko. Cokolwiek zobaczy.



Ci, którzy mu pozostali – Ernesto, Carlos, César i Medina – stali przy barze, pili i rozmawiali. Dario zamknął za sobą drzwi kantorka. W dłoni ścisnął słuchawkę telefonu.

– *Felix está muerto* – powiedział do słuchawki. – *Lalo está muerto* – dodał. – *Hector está muerto*.

Wymawiał imiona, czując w ustach gorycz. Znał tych ludzi, ludzi wykonujących właśnie taką pracę, przechodzących z nią przez życie, jakby śmierć nigdy nie miała ich odnaleźć. Ale odnajdzie, i Dario wiedział, że i na niego przyjdzie czas, przyjdzie ta chwila, kiedy będzie musiał zmierzyć się z nieuniknionym. Zrobić wszystko, by wytoczyć krew. To już niedługo, słuchał mężczyzn rozmawiających przy barze, mężczyzn wiedzących, że to tylko kwestia czasu. Gus Lamar siedział, martwy, w swym własnym domu. Czekał na tego, kto znajdzie go pierwszy.

W słuchawce Dario usłyszał głos, szorstki, niewyraźny, daleki, jakby dobiegał z pustyni.

– Nie – powiedział, myśląc o tej nocy, o sprawności strzelców i o tym, co mogłoby się stać, gdyby wbiegli teraz do środka, dopadli go i siedzących tu razem z nim ludzi. Potrzebował więcej czasu. Potrzebował więcej wszystkiego. Odkąd przyjechał do miasteczka, naprawdę dobrze bawił się tylko zeszłej nocy w deszczu i dziś rano w domu Gusa Lamara. Musiał się sprawdzić, potrzebował tego jak narkoman potrzebuje zastrzyku. – Nie – powtórzył. – *No tengo las drogas*.

Możliwa była tylko jedna, jedyna reakcja Juarez: przybycie nowych ludzi.



Razem wysłuchali nagrań z sekretarki. Deacon dzwonił kilkakrotnie, za każdym razem coraz bardziej zdenerwowany. Zapach ubrań płonących na grillu za domem, napływający przez siatkowe drzwi, gryzący jak zapach palonych opon. Na ubraniach leżały buty i portfel Sancheza. Ray nie miał pojęcia, że poprosi o pomoc, póki nie poprosił. A teraz miał na sobie dzinsy Toma i jego ciemną wełnianą koszulę zapinaną pod szyję. Nadal nie wiedział, co dalej, ale postanowili, że pojedą do jego ojca, gdzie, zdaniem Toma, nadal będzie mile widziany.

Pager na biodrze wibrował kilkakrotnie, Ray sprawdzał numery, ale nie reagował. Jeszcze nie pora na kontakt z Memem. Nie miał pojęcia, co mu powie, jak zawiadomi go o śmierci siostrzeńca. Nie wątpił zresztą, że niczego to nie zmieni. Memo i tak będzie chciał dostać narkotyki. To, co spotkało Sancheza, nie było winą Raya, ale i tak obawiał się, że Memo jakoś mu to przypnie.

Na samym początku, kiedy Claire otworzyła mu drzwi, Ray nie miał pojęcia, jak to się wszystko ułoży. Siłą wpełznął się do środka, bo bał się, że ktoś go zobaczy. Strach ogarniał go w sposób, którego nie doświadczał od lat. I uczucie, że to już koniec, że to jego koniec, a może nawet i Toma... i nie wiedział, co zrobi, jeśli kuzyn będzie w domu, nie wpuści go, wyśle z powrotem na pustynię.

Bał się, idąc przez pustynię, przez cały czas bał się, bał się, nawet kiedy stanął na ganku, mając za plecami hałas szosy, wielkich ciężarówek i cystern w drodze skądś dokądś. Strach go opadł, gdy ponownie znalazł się między ludźmi, którzy go znali, razem z nim dorastali, znali go, nim jego życie potoczyło się tak, jak się potoczyło. I ta nieopuszczająca go, nieprzyjemna pewność, towarzysząca mu od czasu, gdy trzy dni temu jechał drogą do Coronado, pewność, że go znajdą i że wszystko, co zrobił od czasu wyjazdu, uciekając przed przeszłością, teraz zostanie użyte przeciw niemu.

Rozległo się kliknięcie, to taśma doszła do końca i zaczęła się przewijać. Ray ciągle słyszy głos Deacona, Claire czeka, siedzi na kanapie, Tom patrzy na Raya, pyta, skąd ta wiadomość na sekretarce, dlaczego Deacon pyta, gdzie jest ojciec Toma, Luis. Dlaczego nie ma go w pracy, chociaż od bardzo dawna nie opuścił ani dnia, nawet się nie spóźnił, nigdy. Tom patrzył na kuzyna pytająco, samym spojrzeniem prosił o odpowiedź, ale Ray nie mógł mu odpowiedzieć, tylko pokręcił głową, patrzył nie na niego, ale na automatyczną sekretarkę na stoliku, przy telefonie. Uciekał spojrzeniem, na tym mu zależało, żeby nie widzieć, jak Tom na niego patrzy, bo Ray wiedział już, dlaczego Luis nie pojawił się w pracy, wiedział o tym od chwili, kiedy się przebierał i kiedy nie znalazł swojego lekarstwa. Lekarstwa na receptę.



Bronco stał na równinie jakieś pięć, sześć kilometrów od podnóża wysokich gór na wschodzie. Można było do niego dojechać wyłącznie boczną drogą odchodzącą od szosy, niemal natychmiast znikającą, niszczącą, nieużywaną, kruszącą się po bokach, tu i tam po prostu zmytą.

Kelly wysiadła z radiowozu. Ogarnęła wzrokiem brudnobrązowe krzaki, uboczkę i dumosę pokrywające całą równinę. W rześkim, świeżym powietrzu wisiał zapach deszczu, słońce szybko przesuszało ziemię. Nad jej głową warczał zataczający kręgi samolot straży granicznej, przechylony w skrajnie, wskazujący ich skrzydłem jak palcem. Z miejsca, w którym stała, widziała wyraźnie, że tylna szyba bronco została wybita, a blacha karoserii jest krostowata od ognia z wielostrzałowej broni palnej, takiej jak ta, której działanie widzieli rano w domu Sullivanów.

Przez otwarte okno radiowozu słyszała głosy pilotów w radiu. Gdy tylko Pierce go zwolnił, samolot odleciał do El Paso.

- Czujesz? – Kelly poczuła zapach z wnętrza samochodu.
- Gorszy niż rano.

– O wiele gorszy – zgodziła się. Podeszła do bronco, uważając, gdzie stawia nogi. Deszcz wymazał ślady odcisnięte w pyle pustyni porośniętej jak trawą turzycą, przerastającą pęknięcia ziemi pokrytej cienkim werniksem krzaków.

Podeszła do samochodu od strony pasażera. Otworzyła drzwi. Siedzący w środku mężczyzna dostał postrzał w brzuch, nieco z boku. Kelly przyglądała mu się przez bardzo długą chwilę.

Gdyby nie krew, można by powiedzieć, że ten człowiek zasnął i już się nie obudził. Bose stopy, podbródek oparty o pierś, wyglądało na to, że nawet mu wygodnie.

– Co o tym myślisz? – spytał Pierce.

– Myślę, że to dziwne, że tak sobie siedzi po stronie pasażera.

– I to wszystko... – Pierce wykonał szeroki gest, obejmując nim postrzelaną karoserię, wybite szyby. – ...właśnie to wszystko masz na myśli.

– Gdzie jego buty? Dlaczego tak sobie siedzi na miejscu pasażera? – powtórzyła Kelly. Nad tym musiała się zastanowić.

Pierce przyłożył dłoń do nosa. Pochylił się, przyjrzał ciału z bliska.

– Kogoś tu brakuje, nie? – spytał.

– Brakuje wszystkiego – powiedziała Kelly.

□□□

Tom widział, jak Ray zmienia się po kolejnych wiadomościach zostawionych przez Deacona na automatycznej sekretarce. Opuszczone kąciki ust, nieustanny ruch oczu w stronę frontowych okien i rozciągającej się za nimi pustyni. Jakby chciał być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

– Powinienem się martwić? – spytał.

– Czy Luis często spóźnia się do pracy?

– Nie – przyznał Tom. – Zazwyczaj nie, ale czasami sobie popija i odpuszcza dzień. Kiedy widziałem go po raz ostatni, wieczorem parę dni temu, wyglądał na kogoś, komu przydałoby się po spać trochę dłużej.

Ray znów wyglądał przez okno. Tom wiedział, że czas najwyższy ruszyć się z miejsca. Każda spędzona tu minuta zwiększała szansę na czyjaś wizytę, chociażby i Kelly.

– Pomyślałeś o tym, co powiesz Billy'emu? – spytał.

– Myślę o tym od dziesięciu lat. I nadal nie wiem.

– O niego bądź spokojny. To dobry dzieciak. Ma dwanaście lat, ale pewnie jest doroślejszy nawet od mojego ojca.

Ray uśmiechnął się lekko. Nadal wyglądał przez okno, na drogę.

– Dużo myślałem o tym, żeby wrócić – powiedział. – Od dawna chciałem wrócić i nim to się stało, myślałem, że może mi się udać, ale teraz nie wiem, czy to jeszcze możliwe.

– Potrzebujesz czasu. – Tom nie miał pojęcia, co poza tym powiedzieć, a przecież widział, że kuzyn żyje z poczuciem winy, bo zrobił to, co zrobił, zostawił Billy'ego tak, jak go zostawił, zostawił ich wszystkich. – Gotów?

– Tak.

Wyszli z domu, wsiedli do volkswagena. W myślach Toma ciągle drzemie nadzieja, że wszystko będzie w porządku, że bez żadnych kłopotów dojadą do Gusa, a potem, jakoś, odwiozą Raya na północ. Ale tak naprawdę nie wie, co zobaczą na miejscu. Pamięta wiadomość od Deacona na sekretarce, pamięta, jak odwoził Luisa do domu wieczorem, przed dwoma dniami, doskonale to pamięta. I jeszcze ta nadzieja, że ojciec będzie na miejscu, nieprzytomny, cuchnący alkoholem.

Tom prowadził. Miał obok Claire, która przytrzymała upchniętą między jej kolanami Jeanie, żeby nie warczała na Raya siedzącego z tyłu. Tom miał wrażenie, że teraz, gdy zjechali z szosy, garbus ślizga się jak łódź po wodzie i że pozostawiają za sobą kilwater kurzu. Dalekie pasmo Hermanos wyglądało jak zęby otaczające dolinę, pochylone na północ, tam gdzie przechodziła przez nie droga. Szczyty pokrywała warstwa lśniącego śniegu, nocna burza przeszła przez nie, polerując je do czysta.

Wyjechali na równinę, która dwadzieścia lat temu była polami naftowymi Lamarów. Dom Gusa stał jak zapamiętany z dzie-

ciństwa, stajnie po lewej, domki pracowników w głębi. Tom zatrzymał garbusa na podwórku. Spojrzał w stronę domku ojca. Nie było przy nim samochodu.

Ray wychylił się z tylnego siedzenia.

– Kiedy ostatni raz tu byłeś? – spytał. – Dawno?

– Parę dni temu. – Tom przyglądał się gankowi, zamkniętym drzwiom siatkowym. – Teraz może się to wydać dziwne, ale rozmawialiśmy o tobie.

– Widzisz coś... – Ray przerwał, zastanowił się. – Może coś wygląda nie tak?

Tom znów pochylił się niżej nad kierownicą, rozejrzał uważnie. Daleko w dolinie wiatr poderwał kłęb kurzu, popchnął przed sobą wyschnięty krzak, ucichł.

Tom otworzył łokciem drzwi i wysiadł.

– Masz jakiś powód, żeby pytać?

– Nie mam żadnego szczególnego powodu. – Ray przesunął fotel kierowcy. Tylko tak mógł się wydostać z małego samochodziku. Stał obok Toma. – Jestem ostrożny, i tyle. Przez te ostatnie kilka dni nie wszystko poszło tak, jak oczekiwałem.

Tom spojrział na niego spod oka, ale powstrzymał się od komentarzy. Gus już powinien się pojawić, powinien stanąć w drzwiach, zaprosić ich do środka, zwymyślać Raya albo go przytulić, ale powinien już tu być i coś powiedzieć. Ich wzajemne stosunki nie należały do najlepszych, ale Tom pamiętał słowa wypowiedziane przez Gusa zaledwie przed paroma dniami, że nadal zależy mu na Rayu, choć dokonał on w życiu tylu złych wyborów.

Czuł, jak słońce przypieka mu skórę. Nad głową jaskrawa żółta kula przeszła już połowę drogi. Skośny cień daszka nad gankiem kładł się na ziemi pod kątem, kawałek od miejsca, w którym stali. Tom obejrzał się na Claire, polecił jej zostać na miejscu.

– Wypuść Jeanie – poprosił. – Pilnuj, żeby nie odbiegła za daleko. My dwaj pogadamy z Gusem, ale to nie potrwa długo.

Podeszli do ganku. Ray zatrzymał się, zobaczył pomarańczową buteleczkę lekarstwa na pierwszym stopniu. Pochylił się, pod-

niósł ją, obejrzał, dawkowanie było wypisane czytelnie na etykiecie, ale nazwisko zasłonił palcami.

Tom usłyszał, jak kuzyn klnie, zobaczył, jak chowa lekarstwo do kieszeni.

– Jest coś, o czym mi nie mówisz? – spytał cicho.

Prawą ręką Ray wyjął rugera zza paska. Nie spuszczał wzroku z domu.

– Znasz to uczucie, kiedy kurtyna zapada po przedstawieniu, a ty już wiesz, że za drzwiami czeka na ciebie życie? Prawdziwe życie? – spytał. – Bo ja czuję teraz coś takiego i nie potrafię nad tym zapanować.

Tomowi bardzo się to wszystko nie podobało. Wszedł po schodkach na ganek, a Ray szedł obok niego, ze strzelbą wiszącą na przerzuconym przez ramię pasku i z rugerem przy udzie. Ta buteleczka z ganku coś dla Raya znaczyła, ale Tom nie potrafił powiedzieć co. W każdym razie Ray poruszał się w tej chwili jak ktoś, kto spodziewa się kłopotów.

– Czekaaj tu – powiedział, wymierzył rugera w drzwi, ruchem głowy polecił je otworzyć.

Tom pociągnął drzwi, za plecami miał wielką pustynię i Jeanie stojącą przy schodkach na sztywnych łapach, przyglądającą mu się uważnie.

Minął jakiś czas, którego Tom nie był w stanie określić. Jeanie i Claire czekały na niego, Ray znikł w głębi domu. Tom nie miał nic do roboty, tylko stać i czekać, aż kuzyn się do niego odezwie. Nic tu nie było takie, jak powinno być, także przeciągły rozpaczliwy krzyk, rozdzierający.

Tom znalazł Raya stojącego w pokoju dziennym, nieregularna plama krwi na ścianie i Gus skulony w jednym z foteli. Twarz z krwi i nagiej kości, skóra na twarzy spękana jak pajęcza sieć tam, gdzie był zmiądzony teraz nos. Tom wiedział, że patrzy na Gusa wyłącznie dlatego, że widział na palcu obrączkę, którą nosił do śmierci.

Zastępca szeryfa Hastings stał metr od bronco. Patrzył na siedzącego w nim trupa.

– Nie ma odchodzących śladów stóp? – spytał.

– A słyszałeś ten deszcz w nocy? – odpowiedziała pytaniem Kelly. – Przyjechałam tu z Pierce'em. Nie widzieliśmy śladów opon, póki nie zjechaliśmy z drogi na dobre trzydzieści metrów.

– A on? – Hastings spojrział na trupa chłopaka zmarłego od postrzału w brzuch.

– Nie ma dowodu tożsamości, portfela, nic. Dowiemy się, kim jest, dopiero gdy zdejmemy mu odciski palców w kostnicy – odparła Kelly.

– Nie ma to wielkiego sensu, co?

– Pośrodku pustyni siedzi w samochodzie trup z postrzałem w brzuch, ale bez butów. Nie, nie ma to wielkiego sensu.

– I nic z tego cię nie przeraża? – spytał Hastings.

– Wszystko mnie przeraża do nieprzytomności. – Kelly odwróciła się w stronę radiowozu. Pierce siedział w środku, pilotował przez radio karetkę, która miała zabrać ciało do kostnicy. – Nie mamy odpowiednich środków.

– Przecież rozmawiałaś z burmistrzem, prawda? Nie powiedział ci, żebyś robiła wszystko, co w twojej mocy, i że dostaniesz to, czego będziesz potrzebować?

– Niedokładnie tymi słowami.

– Czasami żałuję, że mam tę robotę – przyznał się Hastings.

– Gdybym miała zgadywać, to powiedziałabym, że właśnie teraz żałujesz. – Kelly usłyszała szum opon na piasku, jęknęło zawieszenie. Odwróciła się. Karetka była już niedaleko. – Nadal masz numer tego Tollville'a z DEA?

– Tollville'a? Nie rozmawialiśmy z sobą od dawna. A dokładnie to od tego dnia, kiedy burmistrz ściągnął go, żeby zobaczył, co się stało z Angelą Lopez.

– Był przyjacielem Toma. Wątpię, czy jeszcze się przyjaźnią, ale kiedyś się lubili. Może zechce nam pomóc?

Karetka zatrzymała się, wysiedli z niej sanitariusze, Kelly i Hastings przyglądali się, jak zbierają wyposażenie.

- A co z narkotykami?
- Kelly uśmiechnęła się.
- Chodzi ci o to, że nie ma tu żadnych narkotyków? - spytała.
- Mniej więcej.
- Jeśli tego będzie trzeba, żeby ściągnąć DEA, osobiście napełnię torebki sodą oczyszczoną. - Uśmiechnęła się szeroko. Czekala, aż sanitariusze załatwią swoją robotę.



Atak przyszedł nagle, opłynął Toma jedną wielką falą, nogi same wyniosły go na ganek, kaszlał i dławił się, gardło wypełniła mu kwaśna żółć. Gus nie żył, Billy znikł.

Otarł dłonią ślinę z brody. Klęczał na deskach ganku. Ray nadal był w środku, z Gusem. Ani śladu Billy'ego, tylko to pragnienie, by znaleźć obu, ojca i chłopca. W tym momencie świat usunął się Tomowi spod nóg, zachwiał się nad przepaścią i runął w jej głębię. Nie pozostał po nim żaden, nawet najmniejszy ślad.

Udało mu się wstać. Zszedł chwiejnie po schodkach, Jeanie podbiegła do niego, Claire wysiadła z samochodu. Nie mówiąc nic, okrążył dom. Szukał ojca. Wykrzyknął jego imię, trzykrotnie, za każdym razem czekając odpowiedzi, ale nie nadeszła.

Kiedy dotarł do małego mieszkanka, w którym dorastał, a ojciec mieszkał nadal, zobaczył, że okno najbliższej drzwi zostało wybite. Drzwi były uchylone, w środku panował mrok.

Tom nie wiedział, co począć z tym mrokiem.

Wykrzyknął imię ojca jeszcze dwukrotnie. Poszedł tropem swego głosu, rozchodzącego się po domku, otwierał szafy, zaglądał za drzwi. Szukał, zapominając o obecności Claire, choć słyszał jej głos dobiegający z zewnątrz, ze słonecznego świata, widział sylwetkę w drzwiach. Odwrócił się, podszedł do niej na uginających się nogach.

Napięcie, z jakim na niego spojrziała, przebiło mu pierś, otarło się o nagie mięśnie. Jeszcze nie znał słów, którymi mógłby odpowiedzieć jej na pytania, co się stało, co się takiego stało, co widział

w domu Gusa, gdzie jest Luis. Oparł dłonie na kolanach, dławił się suchymi mdłościami, słońce przepalało mu koszulę, parzyło plecy, z trudem wciągał powietrze w płuca.

Minęła długa chwila, nim był w stanie wypowiedzieć pierwsze słowa. Widział, jak twarz Claire blednie.

– Co z Billym? – spytała gorączkowo.

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Przyglądał włosy palcami, mocno naciągając skórę na skroniach, a potem ręce opadły mu bezwładnie. W pokoju dziennym domu Gusa było mnóstwo krwi. Tom nie wiedział, że aż tyle krwi mieści się w jednym człowieku.



Ray zaledwie słyszał, jak kuzyn dławi się wdychanym powietrzem. Czuł gwałtowny puls, fale krwi nabrzmiewające w żyłach, rozlewające się po piersi jak mokra plama, dopływające do gardła. Wiele czasu minęło od chwili, gdy pozwalał sobie na to uczucie, był świadom opanowującego go gniewu, wzbierającego, gotowego wyrwać się na wolność.

Ojciec siedzi w fotelu, pod fotelem kałuża krwi. Krew jest dosłownie wszędzie.

Ray cofnął się o krok. Do tej chwili nie pozwolił sobie na żaden, nawet najmniejszy ruch, ale teraz już tak, teraz odzyskał kontrolę nad mięśniami nóg. Czuł ból w piersiach, w całym ciele, aż do stóp. Nie odrywał wzroku od ojca. Nie czuł się tak od dnia, kiedy odebrano mu żonę, jakby wbito topór w twardy pień jego życia, obnażając białą wrażliwą miazgę.

Odwrócił się, obiegnął wzrokiem pokój. Pozostał taki, jak go zapamiętał. Nic się nie zmieniło od czasów, gdy sam był dzieckiem i gdy jego własny syn raczkował po podłodze. On i Gus siedzieli z boku, patrzyli na malca, zygzakującego po wykładzinie. Tak wiele stracił, tak wielki jest ból serca.

Kiedy mógł już odetchnąć, odetchnął głęboko, łapczywie, jak ktoś wynurzający się na powierzchnię z wielkiej głębiny. Płuca spragnione świata nad powierzchnią, rozszerzone czarne źrenice,

jakby wydobył się z ciemności na jaskrawe światło. Omal nie przewrócił się na wznak, wyciągnął rękę, przytrzymał się komin-ka za plecami. Błyski wspomnień przed oczami, jak klatki na ta-śmie filmowej, scena za sceną zobaczył życie, które utracił na za-wsze. Żona stojąca na schodach siedziby hrabstwa, narodziny dziecka, pierwsza noc w nowym domu pod Coronado, wycie sy-ren i pukanie do drzwi, wrak samochodu żony, czarne ślady opon na betonie, ślady, które nigdy nie miały dla niego sensu.

Gdzie jest Billy? Odczuwał ogarniającą go rozpacz, musiał się natychmiast dowiedzieć, gdzie jest jego syn.

Osunął się na podłogę. Całe zło, które zdarzyło się w tym mie-ście, zło, jakie spotkało tych, których kochał, ojca, żonę, syna, na-wet Toma, to wszystko było jego winą.



Kelly wpatrywała się we własny kapelusz rzucony na biurko. Po drugiej stronie biurka siedział Hastings, czekał na to, co prze-łożona ma do powiedzenia, Pierce był z sanitariuszami w kostni-cy. W rękę Hastings trzymał raport nadesłany przez władze z po-łudnia. Każdy, dosłownie każdy mężczyzna z tych, których zwło-ki znaleźli przy domu Sullivanów, figurował w policyjnych karto-tekach. Brutalne przestępstwa. Dwaj niedawno zwolnieni z wię-zienia w meksykańskim stanie Sinaloa. Na górze raportu Ha-stings zapisał numer biura DEA w Albuquerque.

Gdy tylko weszła do biura, rzuciła kapelusz na biurko, a teraz nie mogła przestać na niego patrzeć. Kapelusz o prostym szero-kim rondzie. W materiał wsiąkł jej pot. Niczym nie różnił się od kapelusza Hastingsa. Tylko ozdobny sznur wokół główki odróż-niał go od kapeluszy zastępców. Kelly była zmęczona, sfrustrowa-na tym, co się zdarzyło, czemu nie mogła zapobiec.

– Co musisz zrobić jutro, zrób dziś – powiedział Hastings, pa-trząc na telefon.

– Zdaje się, że masz rację. – Kelly podniosła słuchawkę. Czeka-ła na informacje od Pierce'a z kostnicy, na informację, kim jest fa-

cet znaleziony w bronco, a skoro tylko czekała, to mogła przecież coś zrobić.

Przedstawiła się sekretarce DEA, która odebrała telefon.

– Nie jestem pewna, co agent Tollville wie o tym, co zdarzyło się u nas, w Coronado – powiedziała. – Dzwonię, bo chciałabym uzyskać jego pomoc, jeśli chodzi o to, co już znaleźliśmy.

Sekretarka kazała jej czekać, więc Kelly czekała. Przykryła ręką słuchawkę, poprosiła Hastingsa, żeby na chwilę zostawił ją samą. A kiedy wyszedł, zapatrzyła się na kapelusz. Potem strąciła go palcem i patrzyła, jak spada na podłogę i znika jej z oczu.

Usłyszała głos Tollville'a. Zaczęła mu wyjaśniać sytuację.



To Jeanie znalazła Luisa i Billy'ego dwadzieścia minut później. Ubrania pokryte mieli błotem dokładnie tak samo, jak dziś rano pokryte było błotem ubranie Raya. Wsiąkł w nie i zasechł brud pustyni. Luis otacza ramieniem chłopca, przytula go do piersi, chłopiec drży lekko, chociaż słońce pada wprost na niego. Luis patrzył na Toma oczami spuchniętymi od pyłu, biegał nerwowym spojrzeniem to tu, to tam, od Toma i Claire do domu i znów na nich, i znów.

– Widziałem ich – powiedział. – Kiedy przyjechali, byliśmy w domu, Billy w swoim pokoju, ja spałem na kanapie. Gus nas obudził, kazał uciekać przez kuchnię, najszybciej jak się da. Od tej pory się stąd nie ruszyliśmy. – Siedział bezwładnie, oparły o głaz, chroniąc twarz w pozostałej odrobinie cienia, z nogami rozrzuconymi w plamie palącego słońca.

– Chodź, tato. – Tom wyciągnął rękę, żeby pomóc ojcu wstać. – Chodź z nami, wszystko będzie dobrze, to tylko my.

Luis odepchnął ręką syna, podkulił nogi, mocniej przywarł do kamienia. Osiemdziesiąt jeden lat, drobny, kruchy, nerwowym wzrokiem wciąż przepatrywał pustynię.

– Kogo widziałeś? – spytała Claire. Nim zadała to pytanie, przykucnęła, ich twarze znalazły się na jednym poziomie.

– Myślałem, że wy to oni. Kiedy zobaczyłem, jak jedziecie drogą, pomyślałem, że to oni wracają, po nas.

Billy zamigał do nich o świetle w domu i o tym, jak Luis ukrył się z nim, jak przesiedzieli tu całą noc i rano.

– Chodź, tato – powtórzył Tom. Zamigał do Billa: „Możesz mi pomóc?”, a potem znów zwrócił się do ojca: – Jesteście bezpieczni. Już nie musicie się bać.

Luis spojrzał na niego przytomniej, zupełnie jakby go po raz pierwszy naprawdę zobaczył.

– Usłyszałem strzał. Ale nie wróciłem. Widziałeś, co zrobili Gusowi?

Tom nie chciał o tym mówić przy Billu. Odwrócił głowę, żeby chłopiec nie mógł czytać z ruchu jego warg.

– Nie żyje, tato – powiedział.

– Nie mogę tam wrócić – oznajmił Luis. Zaczął powtarzać to zdanie jak mantrę. Nie mówił do nich, lecz poza nich, do wielkiego świata.

Tom spojrzał na Claire.

– Weź Billy'ego – poprosił. – Ja zajmę się ojcem.

Odczekał, aż Claire odprowadzi chłopca, a potem podał ojcu rękę, pomógł mu wstać. Zdumiał się na widok jego cienkich ramion, napiętych mięśni pod skórą, samej skóry wyczuwalnej przez rękaw, luźno wiszącej na kościach.

Podtrzymał Luisa. Prowadził go w stronę domków pracowników, przed nimi szła Claire z Billym. Ray czekał na nich za domem. Rugera włożył już za pasek, strzelbę przewiesił przez ramię. Zobaczył, że chłopiec kuli się na jego widok, nie wiadomo, czy rozpoznał ojca. Minęło wiele czasu, zdjęcia na kominku były jedynym dowodem, że coś ich kiedyś łączyło.

Claire wprowadziła Billy'ego do domku Luisa. Luis zachowywał się tak, jakby w ogóle nie dostrzegł Raya. Tom zaprowadził go do domku, położył na łóżku. Czekał, przyglądając się ojcu, aż ten odwrócił się do ściany i znieruchomiał na tak długo, że Tom zorientował się, że ojciec chce, aby go zostawili w spokoju.

– Widział ich? – Ray stał na progu, wpatrując się w Toma, siedzącego na łóżku ojca. Claire stała jakiś metr z tyłu, zarzuciła koc na ramiona chłopca i masowała mu plecy dla rozgrzewki.

– Widział ich – powiedział Tom. – Ale nie będzie o tym mówił, a przynajmniej nie teraz. – Przeniósł spojrzenie na Billy'ego, żeby sprawdzić, czy go zrozumiał.

– A chłopiec? – spytał Ray.

– Przecież wiesz, że nie mógł niczego usłyszeć. Luis chronił go przez całą noc. Nic nie słyszał i nie wie nic więcej niż my, kiedy już zobaczyliśmy, co było do zobaczenia.

Tom patrzył na kuzyna, starając się ocenić, jak przyjął te słowa. W domu znalazł zwłoki swego ojca, tego nie był w stanie zmienić. Teraz chodziło już tylko o ocenę sytuacji... i podjęcie decyzji. Przyglądał się Rayowi jeszcze przez chwilę, wystarczająco długą, by widzieć, jak opiera się o futrynę, garbi, zadziera głowę i patrzy w sufit.

– Luis jest w szoku, Ray – odezwała się Claire. – I pewnie ma zapalenie płuc. Całą noc siedział na deszczu. – Przerwała, tarła dłonie, z jej palców na podłogę sypało się wyschnięte błoto. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało twojego ojca – powiedziała to niemal machinalnie ale Tom znał ją i wiedział, że jest szczerą. – Nie znałam go dobrze, ale z tego, co mówił Tom, wynika, że Gus był dobry dla was obu.

Ray skinął głową. Patrzył na Billy'ego, ale kiedy poczuł na sobie wzrok kuzyna, spojrzał na Luisa.

– Co z nim?

– Wyjdzie z tego – odparł Tom. – Poradzą sobie. Obaj. Potrzebują czasu i odpoczynku, ale w końcu będzie dobrze.

– Nie sądziłem, że może dojść aż do tego – powiedział Ray.

– Wiem. – Tom nigdy nie przypuszczał, że życie może być właśnie takie. Ale było. Stali z dala od siebie długą chwilę, milcząc, aż Ray poruszył się, obrócił i powiedział:

– Pomożesz mi go pochować, prawda?

– Znasz któregoś z tych chłopaków? – spytała Kelly. Siedziała na miejscu pasażera w radiowozie Hastingsa. Widziała, jak buick z meksykańskimi numerami rejestracyjnymi mija ich i parkuje za rogiem, na tyłach baru Daria. Widziała, jak młodzi mężczyźni wychodzą z zaułka na Main Street.

– Nowi pracownicy do któregoś z szybów? – zaryzykował Hastings.

– Nie – powiedziała Kelly. – Naprawdę nie sędzę, by miasto rozwijało się w tym kierunku. – Spojrzała na siedzibę hrabstwa i na biura w suterenie tego budynku. – Ile czasu minęło, odkąd zadzwoniliśmy do Tollville'a?

– Nie więcej niż pół godziny.

Siedzieli w radiowozie, Hastings za kierownicą, Kelly na siedzeniu pasażera. Patrzyli, jak mężczyźni wchodzą do baru przez frontowe drzwi. Ostatni z nich zatrzymał się, zapalił papierosa. Na chwilę osłonił twarz złożonymi dłońmi.

– Mnie tam nie wyglądają na miejscowych – oznajmił Hastings. – Chyba jeszcze nigdy ich nie widziałem.

– Posiłki – stwierdziła Kelly.

– Ucieszę się, kiedy wreszcie zjawi się tu Tollville.

– Dlaczego?

– Bo może będzie w stanie powiedzieć nam coś, czego nie wiemy.

Stali jakieś trzydzieści metrów od wejścia do baru. I kiedy mężczyzna opuścił ręce, dobrze widzieli, że patrzy wprost na nich. Kelly uniosła rękę, pomachała mu, żeby wiedział, że i on jest obserwowany. Mężczyzna zaciągnął się, jakieś dwadzieścia sekund gapił się na nich nieruchomym spojrzeniem, a potem odrzucił papierosa i wszedł do środka.

– Zdaje się, że mamy do czynienia z zaśmiecaniem – zauważył Hastings.

– Chcesz wypisać mu mandat?

– Tym razem udam, że nie widziałem... jeśli i ty spojrzysz w drugą stronę.

– Nie – powiedziała Kelly. – Nie mam zamiaru patrzeć w drugą stronę. Nie teraz.

Wysiadła z samochodu. Zatrzęsnęła drzwiami, nim zastępca zdążył przemówić jej do rozsądku. Nie sposób ocenić, jak długo jeszcze przyjdzie im czekać, aż Tollville zawita do Coronado, a Kelly najwyraźniej w świecie zabrakło cierpliwości. Nie zamierzała czekać ani chwili dłużej.

Miała za dużo do załatwienia, żeby teraz odwracać wzrok. Nie wiedziała, gdzie przepadł Burnham, ale doskonale zdawała sobie sprawę, co się stało z chłopakiem w szpitalu, z tymi trzema pod domem Sullivanów i trupem z postrzałem brzucha siedzącym w bronco na skraju pustyni. Prawdziwa masakra.

Patrzyła na drzwi baru, jakby za nimi miała znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania.



Gdy tylko weszła do środka, Dario odsunął się od grupy swoich ludzi. Siedział tyłem do baru, rozmawiając z nowymi, właśnie przybyłymi z Juarez, mówił im, co powinni wiedzieć i czego mają się spodziewać. Słuchali go w całkowitym milczeniu. Medina, stojący za barem, pierwszy podniósł wzrok, kiedy otworzyły się drzwi, i niemal w tej samej chwili lekko skinął głową, ruchem podbródka pokazując szefowi, że coś się dzieje przy wejściu.

Dario wiedział, że tak to będzie wyglądało. Spodziewał się tego od początku, czekał na to, jak zawsze za barem. Nie spodziewał się, że kobieta wejdzie do środka sama, tak po prostu. Gus Lamar na fotelu w swym domu, martwy, stojąca na stopniach ganku buteleczka lekarstwa na receptę i teraz ta kobieta w jego własnym barze, sama, jakby to on właśnie zaprosił ją na drinka. Poczuł podziw dla niej, gdy tak czekała, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemnego wnętrza.

Dario wstaje, świadom zapadłej w barze ciszy. Kelly robi krok w ich stronę, za jego plecami rośnie napięcie, niczym ładunku elektrycznego przed uderzeniem pioruna z jasnego nieba. Na

twarz Daria wypływa uśmiech. Skrzypi stołek, jeden z mężczyzn wstaje, nie wie jeszcze, co jest grane, jak blisko można dopuścić Kelly, nim trzeba będzie jakoś zareagować.

Trzymając dłoń na barze, Dario uniósł wskazujący palec drobnym gestem błagania. Kelly podchodzi do nich, siada za barem nieco dalej. Dalej od grupy mężczyzn. Rzuca kapelusz na bar, bębni palcami w drewno kontuaru.

– Pani szeryf. – Dario podszedł, usiadł obok niej. Nie przestawał się uśmiechać. Czuł lekkie podniecenie, czuł je całym ciałem. Zaświtała mu w głowie myśl, że od dzisiaj żaden dzień nie będzie podobny do tych, które już przeżył.

– ¿Cerveza? – spytał Medina. Nawet nie starał się odkleić od ściany za barem. Stał tam bez ruchu, odkąd do środka weszli mężczyźni.

Kelly rozejrzała się po barze, ogarnęła go wzrokiem, jakby obchodziła ją tylko ona sama i nowi goście.

– Może drinka, pani szeryf? – zaproponował Dario, Obrócił się na stołku w jej stronę, ręce trzymał na kolanach.

– Woda mineralna z limonką.

Medina czekał, patrząc na szefa. Dario powiedział: *Un café*. Przyglądał się Medinie, jak zdejmował długą szklankę z półki przy ścianie i napełniał ją lodem. W lustrze za barem widział ramiona Kelly, górną część munduru. Mężczyźni jeden po drugim siadali przy stoliku w głębi baru, nieco z boku. Medina coś im powiedział. Odpowiedzieli cicho.

Kelly dostała szklankę wody, wyjęła z kieszeni kilka dolarów, zwinęła banknoty, położyła je na barze. Dario widział, jak Medina zgarnia je i tym samym zgrabnym ruchem stawia przed nim filiżankę kawy. Nadal nikt nie wypowiedział słowa głośniejszego niż szeptem.

Dario wypił łyk kawy. Cekał na to, co musiało nastąpić. Łatwy do przewidzenia był powód, dla którego tu przyszła, a także konieczność udzielania odpowiedzi, na co nie był jeszcze przygotowany, choć wiedział, że kiedyś będzie przecież musiał odpowiedzieć. Dobiegał końca jego pobyt w tym miasteczku, czuł się tak,

jakby świat przyspieszył kroku, obracał się coraz szybciej i szybciej.

– Dario – zaczęła Kelly, obracając się ku niemu z wyciągniętą ręką – chyba najwyższy czas, byśmy spotkali się urzędowo.



W stajni Ray przeglądał łopaty i oskardy o metalowych częściach zardzewiałych już, a drewnianych trzonkach niemal skamieniałych ze starości. Ciało ojca czekało w dębowym zagajniku w dolinie, gdzie dwadzieścia lat temu pochowano jego matkę i gdzie spoczywała Marianne. Podniósł jedną z łopat, przesunął palcem po stylisku, sprawdzając, czy nie wejdzie mu drzazga, poderwał dłoń, przyjrzał się ciemnemu cynobrowi zaschniętej krwi między zwojami linii papilarnych.

Stał długo, wpatrzony we własną rękę, do chwili, gdy pojawił się Tom i otwartą dłonią przesunął po chrapach jednego ze stojących w boksach koni.

– Powinieneś z nim porozmawiać – powiedział Tom. – Zrozumie cię. Czyta z ruchu warg, jak ty albo ja czytamy gazetę.

– Nie wyobrażam sobie, żeby chciał mieć ze mną coś wspólnego.

– Wiele czasu minęło, Ray.

– Jakbym nie wiedział. – Ray tracił panowanie nad sobą, mówił coraz głośniej. – Za wiele czasu! Patrzę teraz na niego i mogę ci od razu powiedzieć, że ani ja go nie znam, ani on nie zna mnie. Nie możemy tak tego zostawić?

– Będzie, jak zechcesz, Ray. Ale powinieneś wiedzieć, że obaj z Billym straciliście dziś ojca, a ty jesteś coś winien temu chłopcu, i tego nie da się już zignorować.

Ray spuścił wzrok. Wszystko się zmieniło, a nic tak, jak mógłby przypuszczać. Przyglądał się oskardom i łopatom opartym o ścianę stajni.

– Przyszedełś, żeby mi to oznajmić? – spytał.

– Muszę wykonać parę telefonów. Muszę powiedzieć Deaconowi, gdzie jestem.

Ray opuścił dłoń. Wisiała bezwładnie.

– To chyba nie najlepszy pomysł – zaproponował i popatrzył na kuzyna, czekając na jego słowa.

– Nadal mogę ci pomóc – zapewnił go Tom. – Ale musisz zrozumieć, że pewne rzeczy się zmieniły. Nie chodzi już o jakiegoś faceta z kartelu, którego zastrześliłeś na pustyni. Teraz mówimy o Gusie, a ja nie chcę, żeby to się posunęło dalej. Martwię się o swojego ojca. Martwię się o Billy'ego. I Claire.

– I o siebie – dodał Ray.

– Tego nie powiedziałem. – Tom cofnął się do koni wychylających łby nad wejściami do boksów. – Słuchaj, mogę powiedzieć Deaconowi, że mój ojciec zachorował. Że się upił i teraz choruje. Zyskamy trochę czasu, żeby się stąd wynieść, ale potem idę do szeryf Kelly... i nie mam zamiaru jej kłamać.

– Kupisz mi czas? – spytał Ray. Mówił powoli, wyraźnie, jego słowa brzmiały nieco sztucznie w panującej w stajni ciszy.

Tom pokręcił głową, spojrzał w bok, na końskie boksy.

– Zrób tu to, co uważasz za konieczne. Pogrzeb Gusa. Nie mogę brnąć dalej w tę historię, być w to zamieszany bardziej, niż teraz jestem. Zabiorę Claire, pojedziemy do miasta, nie powiemy nikomu o tym, czego byliśmy świadkami, damy ci tyle czasu, żebyś mógł się gdzieś ukryć. Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

Ray znów spojrzał na swoją rękę. Wytarł ją o spodnie i mocno do nich przycisnął.

– Jak tam Luis?

– Jest z nim Claire. Jakoś go ożywiła, napił się wody, zaczął mówić. Mam kluczyki do jego wozu i kiedy to wszystko się skończy, przyprowadzę go z miasta, a potem już z nim zostanę.

– Powiedział, kto to zrobił?

– Człowiek, dla którego Burnham pracował. O kogo chodzi, to pewnie sam wiesz. Nie chcę mówić nic więcej. Nie chcę się w to wplątać.

– To znaczy, że rączki masz czyste? – Ray uśmiechał się szyderczo, chociaż serce go bolało i głos mu się załamał. Ale szybko odzyskał panowanie nad sobą. – Nie osądzam cię, skądże, po prostu mówię, jak jest. Byłem o tobie lepszego zdania. Nie wiem, czy mogę cię puścić.

– Nie rozumiem, co mówisz.

– Umówiliśmy się, nie?

– Nic już nie jest takie, jak było chociażby przed godziną. – Tom zrobił krok w kierunku Raya. – Luis powiedział, że chce ci pomóc pogrzebać Gusa. Powiedział, że jeśli chcesz uciec, możesz wziąć jego wóz. Tu nie możesz zostać dłużej. Myślałem, że będę mógł ci pomóc, ale okazuje się, że nie.

– Co z Luisem?

– Jeśli nie wrócę na czas jego samochodem, zawsze może pojechać z Billym konno do Deacona, jak wczoraj do pracy. Podejrzewam, że to właśnie robi, gdy Gus spocznie już w ziemi.

Ray odwrócił się, spojrział na łopaty, czuł, że coś w nim narzmięwa.

– Ile mam czasu? – spytał kuzyna, nawet na niego nie patrząc.

– Najwyżej dwie godziny. Nie sądzę, żebym zdołał wytłumaczyć dłuższe spóźnienie.

– W porządku – powiedział Ray. Myślał intensywnie, przeliczał czas, odległości. – No to w porządku.

□□□

Kelly piła już drugą szklankę wody. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nikt z obecnych nie powiedział ani słowa przez minutę, a może nawet dłużej. Obracała szklanką, rysując wilgotne kręgi na kontuarze. Od jakiegoś czasu nic się nie działo i nie prowadziło to do niczego.

– Więc twierdzisz, że nie masz pojęcia, co się stało w domu Sullivanów za miastem? – spytała.

– Nie mam pojęcia – przytaknął Dario.

– Najmniejszego pojęcia?

- Nikt normalny nie wyszedłby z domu w taką pogodę.
- A tu się najprawdopodobniej nie mylisz – powiedziała Kelly.
- Nikt normalny. – Przyglądała się Dariowi popijającemu kawę.
- Coś się tam stało? – spytał Dario.
- Owszem, coś się stało.
- Dario zaśmiał się cicho.
- Zaraz, jeśli się zaczęło, to powinno się skończyć. Przysięgam, że przyjmę to jak mężczyzna. – Mówił z lekkim, ledwie słyszalnym akcentem. Całkiem przystojny facet. Trzydzieści parę lat. Żadnych blizn. Żadnych tatuaży. Mógłby być zwykłym gościem popijającym kawę w barze.
- Kelly podniosła szklankę. Zimna woda mile zwilżyła jej gardło. Myślała, że przecież to żadna różnica, czy mu powie prawdę, czy nie, a to, jak on zareaguje, może nawet okazać się interesujące.
- Znaleźliśmy trzy trupy – oznajmiła.
- Straszne. – Neutralny ton, głos nie zdradza żadnych uczuć.
- Tak.
- I teraz zadaje pani pytania, pani szeryf?
- Tak to się zwykle robi.
- Ilu przede mną?
- Ilu co?
- Ilu ludziom zadawała pani to pytanie przede mną.
- Jesteś pierwszy – powiedziała Kelly.

□□□

Tom i Claire wyruszyli drogą na południe, objechali siedzibę hrabstwa, zaparkowali volkswagena przy krawężniku z tyłu budynku.

– Idź pierwsza – powiedział Tom do przyjaciółki. – Nie musimy oboje narobić sobie problemów tą sprawą.

Spojrzała na Toma siedzącego za kierownicą i Jeanie na tylnym siedzeniu.

– Co mam według ciebie powiedzieć? – spytała.

– Nie musisz nic mówić. Przepraszam cię za to, co się stało. Przepraszam, że zabrałem cię ze sobą. Powinienem wiedzieć, że będą kłopoty.

– Nie mogłeś wiedzieć – zaprotestowała Claire. Przełożyła rękę przez oparcie siedzenia, pogłaskała Jeanie. – Znam Raya prawie tak długo jak ciebie, wiedziałam, co może to znaczyć, że się pojawił, i wiedziałam, jak zareagujesz.

Tom uśmiechnął się. Obie dłonie trzymał na kierownicy, czekał, aż Claire wysiądzie, żeby móc podjechać od frontu i złożyć zeznania.

– Wiele o mnie wiesz – powiedział.

Roześmiała się, pochyliła w jego stronę, położyła mu dłoń na ramieniu, ściągnęła je z kierownicy.

– Może właśnie dlatego nigdy nam tak naprawdę nie wyszło.

– Może? – Tom uśmiechnął się słabo. Spojrzał przed siebie, na ulicę.

– Nie musisz nic mówić Kelly. Nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś zawrócił teraz i zabrał nas z powrotem do domu.

– Bardzo interesujący pomysł. Nie powiem, kiedy tu jechaliśmy, myślałem właśnie o tym, ale Gus nie żyje i nie mogę tego tak zwyczajnie zapomnieć.

– I myślisz, że jak komuś o tym opowiesz, to od razu będzie lepiej?

– Luis widział, kto to zrobił – oznajmił Tom.

– Dario? – domyśliła się Claire. – Jak myślisz, jak długo przeżyje... i jak długo ty przeżyjesz... kiedy Dario dowie się, że ktoś mu się postawił?

– Tacie nic nie będzie. Powiedziałem mu, co zamierzam zrobić. Nie próbował mnie powstrzymać. Chcę postąpić tak jak trzeba.

Claire nadal obejmowała jego ramię. Widział, że jej oczy zwilgotniały.

– Czasami to, co uważa się za słuszne, nie jest słuszne dla wszystkich – powiedziała. – Nie jesteś szeryfem, już nie, ale chyba nigdy tego nie przyjąłeś do wiadomości. Może być i tak, że to,

co zamierzasz zrobić, skrzywdzi więcej ludzi, niż sobie wyobrażasz.

– Kogo? – spytał Tom. – Mówiłem ci przecież, że rozmawiałem z ojcem. Wie, co to może znaczyć dla niego, i ja też wiem.

– Nie o was chodzi.

– Więc o kogo?

– O mnie – powiedziała to tak szybko, że nie zdążył przygotować się na jej słowa. – Bardzo dobrze wychodzi ci myślenie wyłącznie o sobie.

– Nie zamierzam podać twojego nazwiska.

– Nic nie rozumiesz. – Claire puściła go, odsunęła się. – Co ze mną będzie, kiedy to wszystko już się skończy? Co będzie z nami? Nie chcę patrzeć, jak znowu cię krzywdzą. Tym razem mogą ci zabrać więcej niż tylko odznakę.

Z ulicy skręcił samochód. Jechał w ich kierunku. Tom czekał w milczeniu, aż ich minie. Siedząca za kierownicą kobieta nawet nie spojrzała w ich stronę.

– Nie mam ochoty dłużej o tym rozmawiać – powiedział Tom.

– Wiesz już, jak ja to czuję. Nie zamierzam dalej tu siedzieć, bo jeśli ktoś zobaczy nas razem, będzie można zakwestionować wszystko, co zeznam.

– Po prostu jedźmy do ciebie. Tylko o to cię proszę.

– Przecież wiesz, że tego nie mogę zrobić. – Tom patrzył na tylne wejście do siedziby hrabstwa. Ktoś mógł się w nim pojawić lada chwila. – Wysiadaj.

Claire spojrzała na niego zimno, ale w jej oczach błyszczały łzy. Tom wyjaśnił, gdzie zaparkuje volkswagena i gdzie schowa kluczyki, a potem uwolnił rękę i otworzył drzwi. A kiedy Claire wysiadła, przejechał kawałek i znów zaparkował. Kluczyki zostawił pod prawym tylnym kołem. Przeszedł Main Street, ciągnięty przez Jeanie, do frontowego wejścia siedziby hrabstwa. Zwolnił dopiero na parkingu. Zajrzał do jednego ze stojących tam samochodów. Nie miał pojęcia, czy to samochód Kelly, czy może któregoś z jej zastępców. Biuro szeryfa dysponowało już tylko dwoma, trzeci spłonął pod szpitalem. Tom spojrzał na zegarek. Miał jesz-

cze sporo czasu, nim powie, co ma do powiedzenia, a potem odwiezie samochód ojca na północ. Tyle przynajmniej był winien Rayowi.

– Claire powiedziała mi, że zająłeś się hodowlą świń.

Tom odwrócił się. Na schodach pojawił się Eli, schodził szybko, zatrzymał się dopiero tuż przed nim. Przez dziesięć lat mówili sobie wyłącznie „dzień dobry”.

– Słyszałem także, że asystujesz Ednie przy sprawie zabójstwa tego chłopaka.

– Staralem się pomóc – powiedział Tom.

– Świnie – powtórzył Eli. – Chyba powinienem się od razu zorientować, do czego masz powołanie.

– Nie zajmuję się już świniami. – Tom poczuł gniew, musiał tak stać, a Eli krzywił wargi w tym swoim uśmieszku, którego on zawsze nienawidził. – Już dawno zająłem się bydłem. Myślałem, że może dowiedziałaś się tego od Claire, ale zdaje się, że nie.

– Nie wiedziałem, że ciągle jesteście razem.

– Nie jesteśmy. – Przytulona do jego nogi Jeanie przycisnęła się mocniej, ziewnęła i sapnęła, ukazując kły.

– Widzę, że ciągle masz tego kundla?

Tom nie odpowiedział. Wiedział, do czego zmierzał burmistrz. Nie miał zamiaru pomagać mu w dotarciu do celu.

– Kiepski surogat kobiety – Eli nie rezygnował – ale chyba nie ma wiele takich, które chciałyby się z tobą związać.

Tom zmusił mięśnie twarzy do uśmiechu. Oni dwaj na chodniku; wiedział, że jeśli tak dalej pójdzie, to w końcu przywali temu gnojowi.

– Widziałeś Ednę? – spytał.

– Nie wiem, gdzie jest. Kazałem jej zwolnić tego młodego zastępcę dwa dni temu, a on ciągle się tu pęta. Siedzi w biurze razem z tym agentem z DEA, który dziś przyjechał z Albuquerque.

– Jakim agentem?

– Znasz go – powiedział burmistrz. – Tollhouse czy jakoś tak... To ten, który przyjechał kiedyś na twoje przesłuchanie.

Tom przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Ręce miał swobodnie opuszczone wzdłuż ciała, ale zaciskał pięści i czuł, jak pocą mu się dłonie.

– Chyba lepiej już pójdę. – Skinął głową na pożegnanie, zrobił kilka kroków w stronę wejścia do biura szeryfa przy bocznej ścianie budynku.

– Przecież wiesz, że Edna nie będzie cię już potrzebowała. – Eli stał na chodniku. Przyglądał się Tomowi intensywnie, aż ten mocniej pociągnął za smycz Jeanie, zmuszając ją do pośpiechu. – Na tę sprawę nie masz już żadnego wpływu. Im szybciej oboje to zrozumiecie, tym lepiej dla tego miasta. Przecież zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Teraz jestem farmerem, i tyle. – Tom odszedł szybko, nie oglądając się za siebie. Szedł do biura szeryfa mieszczącego się w suterenie. Nie miał pojęcia, na co tam wpadnie.



Ray oparł się na łopacie całym ciężarem ciała. Zajrzał do wykopanej w ziemi dziury. Miała niecałe dwa metry długości i niecały metr głębokości. Pot spływał mu z czoła po policzkach, wielkimi kroplami kapał z brody na ziemię. Po przeciwnej stronie grobu siedział Luis, oparty o pień wielkiego dębu, i popijał wodę z manierki. Ciało ojca Raya, owinięte w obrus, leżało obok niego. Jakieś piętnaście metrów od nich Billy też siedział oparty o inny dąb. Przyglądał się Rayowi.

– Mogłeś pojechać z nimi – powiedział Ray, patrząc na Luisa. – I pewnie powinienes.

– Masz. – Luis rzucił mu manierkę. – Odpocznij trochę, a ja pracuję. – Wstał, wziął oparty o pień oskard.

Ray odkręcił korek manierki. Stał zapatrzony w swoją wewnętrzną ciemność. Woda między cienkimi metalowymi ściankami przekazuje im swój chłód. Przez chwilę czuł się tak, jakby życie mu umykało. Żaden dzień nie miał być już taki jak kiedyś. I rosnące poczucie winy z powodu tego, co stało się Marianne, co

robił przez wiele lat, nim się to stało, pracował dla Mema, i to przez niego żona zginęła. Jedyna obrona: lekarstwa. Suche oczy żony, gdy spojrział w nie po raz ostatni, zawsze będzie pamiętał ją z otwartymi oczami. Jakby jakaś jego część nigdy nie zasypiała, ale też nigdy nie wstawała z łóżka. Było w niej wiele rzeczy, które się dla niego liczyły, ale teraz liczy się już – i Ray dobrze o tym wiedział – tylko jedno: ciało w grobie oddalonym o zaledwie piętnaście metrów.

Luis stał w dole. Uderzał oskardem, krusząc nim twardą, gliniastą ziemię.

– Nie musiałeś zostawać – powiedział Ray.

– Zostałem, bo tu jest moje miejsce. – Luis przerwał pracę. – Widziałem, kto to zrobił. Nie zareagowałem. Strasznie się bałem, chciałem go ratować, ale nie byłem w stanie.

– Nie zrobiłeś nic złego.

– Wszystko, co zrobiłem, było złe. – Luis patrzył na Raya, czoło pokrywała mu już świeża warstewka potu.

– Ci, którzy tu byli... – odezwał się Ray – ...znasz ich? Zeznasz przeciw nim w sądzie, jeśli do tego dojdzie?

– Zrobiłem, co mogłem, żeby skrzywdzić to miasto. Piłem ich whisky, dałem im zarobić i dzięki temu mogli zrobić to, co zrobili.

– Dario? Bar w mieście?

– Znasz go przecież, zawsze tam był. Tylko przez lata wszystko się zmieniło, a ja byłem za głupi, żeby to widzieć. – Luis uniósł oskard, uderzył w ziemię. Podniósł i uderzył. Oddychał głośno, był już zmęczony. – Za długo byłem pijany – przyznał. – Powiniennem wiedzieć, co robię. Szedłem przez życie z klapkami na oczach. Twój ojciec miał oczy otwarte. Ten ostatni rok... razem ze związkami próbował odbudować miasto, a ja tylko inwestowałem w jego upadek. Teraz robotnicy wyjeżdżają, szyby naftowe wyschły, a Dario kopie coraz głębiej i głębiej. Dwa dni temu siedziałem w tym barze – mówił dalej Luis. – Wyglądało na to, że miasto chce zniszczyć samo siebie. Całe miasto, jakby otwierała się jakaś czarna dziura, jakby miała pochłonąć domy, ulice. Lu-

dzie wciąż mówili, jak podpałą wieże wiertnicze Tate Bulger. To wszystko wydaje się teraz strasznie głupie. Twój ojciec nie żyje, a to, co zrobił w obronie miasta, nie ma już żadnego znaczenia.

Ray przyglądał się Luisowi kopiącemu grób pod dębem, obok leżało ciało ojca owinięte w kwiecisty obrus, obrus w niezapomnianej błękitny obrus, oprócz czerwonych plam pojawiających się tam, gdzie przesiąkała krew.

– A co z Billym? – spytał.

– Teraz ja za niego odpowiadam. O to nie musisz się martwić. Przede wszystkim ja się nim zaopiekuję, a czasami będzie jeździł do Toma. Będzie tak, jak było.

– Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego – powiedział Ray. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby dodać. Wiedział, że nie może zostać. W pewnym momencie, zaledwie kilka dni temu, sądził, że to możliwe, ale teraz już zdawał sobie sprawę z tego, że musi dać sobie spokój, że to już nie jest jego miejsce. Już nie. – Gus był jego prawdziwym ojcem.

Próbował przypomnieć sobie ojca takiego, jaki kiedyś był, nim on związał się z Memem. Nim szyby wyschły, nim musiał porzucić tę ziemię, na której pracował dzień w dzień z Luisem i z ojcem.

– Nie zrobiłeś nic złego, Luis – powiedział. – Nie jesteś jak ja. Za nic nie musisz się winić.

Słońce chyliło się powoli ku wzgórzom na zachodzie. Ray ocenił jego wysokość, określił godziną. Ciało ojca na ziemi, przy grobie. Wiecznie za mało czasu. Tracił wszystko, a świat, który tak długo od siebie odsuwał, wali się teraz wokół niego i na niego. Próbował przypomnieć sobie, jak się czuł przed wieloma laty, kiedy życie wydawało mu się takie przemyślane, takie solidne. O czym wtedy myślał? Kim był? Obraz samego siebie sprzed lat, nic więcej niż papierowy człowieczek uginający się na wietrze.

– Luis – zaczął i poczekał, aż wuj podniesie wzrok. – Nie mogę tu zostać. Już nie. Wiem, że powinienem, ale po prostu brakuje mi czasu.

– Wiem – powiedział Luis. Patrzył na niego. Odłożył oskard, wyszedł z grobu. – Uważaj na siebie gdzieś tam, gdziekolwiek będziesz. Gus powiedziałby ci to samo. – Wyciągnął rękę. Czekał. – Wszystko będzie dobrze – dodał. – Wiesz o tym, prawda?

Ray uścisnął jego dłoń.

– Tak czy inaczej. Wiem. Żałuję, że nie mogę zostać do końca. – Puścił dłoń wuja, skinął głową na pożegnanie. Spojrzał na ciało ojca. Odwrócił się i poszedł w stronę domu. Chłopiec nie spuszczał z niego wzroku.

– Tom powiedział mi, że czytasz z ruchu warg? – Ray zatrzymał się na chwilę. Czekał, aż Billy skinie głową. – Bardzo mi przykro z powodu Gusa. Nic z tego nie powinno się zdarzyć, ale nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumiesz, o co mi chodzi. Nie spodziewam się i chyba w pewien sposób nawet bym nie chciał. – Podszedł bliżej, gładząc się dłonią po szorstkich policzkach. – Nigdy nie byłem dobrym człowiekiem. Nie jestem stworzony do tego świata, już nie. Pewnego dnia zrozumiesz, co chciałem ci powiedzieć. Ja też nie od razu to zrozumiałem.

Przerwał. Czekał. Nie bardzo wiedział, co mógłby dodać. Porzucił syna przed dziesięciu laty. Nie wysłał mu nawet pocztówki.

Zrobił kolejny krok w przód, znalazł się blisko chłopca, blisko syna, przykląkł, wyciągnął rękę, dotknął palcami jego policzka. Starał się, jak mógł, nawiązać z nim jakiś kontakt.

– Przepraszam. Nie umiem powiedzieć nic więcej niż to.

Billy odwrócił się, uciekł spojrzeniem w bok. Ray nadal czuł pod palcami ciepło jego policzka. Był świadom tego, że Luis przestał pracować, że wsłuchuje się w każde jego słowo. A chłopiec, jego syn, siedział nieruchomo, odwracał od niego głowę.

– Zasłużyłem sobie na to – powiedział Ray. – Zasłużyłem sobie na coś znacznie gorszego i mogę tylko mieć nadzieję, że kiedyś się między nami poprawi.

Nie miał pojęcia, czy chłopiec go rozumiał. Siedział z odwróconą głową, nie patrzył na ojca. Ray wyprostował się, wahał przez chwilę, a potem odszedł. Poszedł do domu, gdzie, jak wiedział, w środku jest wszystko tak, jak zawsze było.



– Te ciała... – rzucił Dario. – Myśli pani szeryf, że coś o nich wiem?

Kelly spojrzała na drugi koniec baru na siedzących tam mężczyzn.

– Wyglądają na tego rodzaju klientów, którzy mogli tam być – powiedziała.

Dario uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bo co? Bo są Meksykanami?

– Bo nie są z miasta.

Dario skrzywił się pogardliwie. Spojrzał na mężczyzn. Medina stał w końcu baru, cały czas wycierając te same szklanki.

– Zawsze masz tylu klientów w południe?

– Jasne. W porze lunchu przychodzi do nas sporo ludzi.

– Nie widzę, żeby jedli.

– Niewielu naszych klientów szuka tu jedzenia.

– Jasne. – Kelly szybko rozejrzała się po barze. – Jak opisałbyś swoich stałych klientów?

– Typ ciężko pracujących Amerykanów.

– Właśnie widzę. Jak z obsługą? Wystarczą ty i Medina?

– Zazwyczaj nikogo więcej nam nie trzeba.

– A jeśli potrzebny jest ktoś jeszcze?

– Jakoś sobie radzimy.

– Ci ludzie pracują przy ropie? To właśnie ciężko pracujący Amerykanie?

– Po zwolnieniach grupowych przychodzi ich coraz mniej. Oszczędzają pieniądze albo wyjeżdżają na północ.

– Nie martwi cię to? – litowała się nad nim Kelly. – Że tracisz klientów?

– Jak się człowiek postara, zawsze może zarobić.

– Dania firmowe?

– Jak się człowiek postara – powtórzył Dario.

Kelly dopiła wodę. Zastanawiała się nad tym, co zostało do tej pory powiedziane.

– Jeszcze wody? – spytał Dario, wskazując gestem pustą szklanę.

– Nie.

Przytrzymał na chwilę jej spojrzenie. Wyczuwała jego oczekiwanie. Czekał z nadzieją, że powie coś więcej, że będzie mówić, mówić... ale nie zostało nic do powiedzenia. Wstała. Zamierzała wyjść. Czowała ciężar pasa z bronią na biodrach, kajdanki, latarka, radio. Różne akcesoria czyniące z niej kogoś, kim rzeczywiście była. Szeryfa, siłę prawa, ochronę przed złem... choć zaczynała myśleć, że te określenia właściwie nic nie znaczą. Stała, trzymając dłoń na barze, świadoma, że wszyscy na nią patrzą, a spojrzenia te niemal wypychają ją z baru.

– Pozwolisz, że zadam ci jeszcze jedno pytanie?

– Proszę pytać.

– Słyszałeś o chłopaku w szpitalu?

– Tak, słyszałem.

– Nie wydaje ci się to dziwne? Przez całe lata nic, a potem nagle morderstwo i wieczorem jeszcze trzy trupy.

– To rzeczywiście straszne.

– No tak. – Kelly patrzyła na pustą szklanę na barze tylko dlatego, że na coś musiała patrzeć, odwracało to jej uwagę od pytania, które naprawdę chciała zadać. – Krążą plotki, że ten chłopak był jakoś związany z kartelem.

– Pani tak uważa?

– Te same plotki krążą o tobie.

Dario uśmiechnął się.

– Kartel – prychnął. Machnął ręką. – To mamy w domu, w Meksyku. Nie tutaj.

– W domu?

– Juarez.

– Co robiłeś, nim przeniosłeś się do Stanów?

– Byłem policjantem.

Kelly patrzyła na Daria, próbując ocenić, czy mówi serio, czy nie.

– Trudno w to uwierzyć? – spytał.

– Jeśli mam być szczerą, rzeczywiście trudno.
– Mówię prawdą. Zresztą łatwo to sprawdzić.
– Niebezpieczne miasto – powiedziała.
– Bardzo niebezpieczne. Bardzo gwałtowne. Mnóstwo morderstw.

– Dlatego wyjechałeś?

– Tak – powiedział Dario. – Tu jest spokojnie.

– Było spokojnie – poprawiła go Kelly.

– Owszem. Ma pani rację. Było.

Znów spojrzała na pustą szklanekę. Mężczyźni rozmawiali cicho, spokojnie, od czasu do czasu zerkając na nich, rozmawiających przy barze.

– Mogę czymś jeszcze służyć? – spytał Dario.

– Nie, dziękuję. Niczego mi nie trzeba.

Zdjął jej szklanekę z baru. Kelly przyglądała mu się uważnie. Nie wiedziała, czy mówi prawdę. Może powiedział, że był policjantem, tylko po to, by zyskać sobie jej sympatię, a może akurat rzeczywiście nim był. Spojrzała na podłogę pod stopami. Na zewnątrz nic na nią nie czekało. Nie miała dokąd iść.

– Chciałabym zasięgnąć twojej rady. – Mówiła nie do Daria, tylko do stojącej przed nim filiżanki kawy, jakby zamierzała spytać sama siebie, testowała pytanie przed jego zadaniem. – Czego trzeba, żeby to się skończyło? Żeby miasto znów było takie jak kiedyś, żeby znów zapanował w nim spokój, z którego, jak mówiłeś, jest znane?

Dario wypuścił powietrze z płuc. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wstrzymywał oddech, że pozwalał jej mówić, nawet więcej: czekał na to, o co go mogła jeszcze zapytać.

– Nie ma powrotu do przeszłości – odparł.

– Nie powiedziałam ci wszystkiego. – Kelly uniosła na niego wzrok. Czekwała. Dario milczał, więc to ona przerwała ciszę, opowiedziała mu o bronco za miastem, o DEA i straży granicznej. Dodała, że to już koniec.

– W cokolwiek graliśmy w tym mieście, gra skończona. Już po wszystkim. Nic nowego nas tu nie czeka – zakończyła.

Dario uniósł filiżankę z baru, wypił łyk kawy, zwilżył wargi językiem.

– Zawsze na coś się czeka – zauważył.

– Żałujesz, że już nie jesteś gliniarzem?

– Nie. Ale chyba coś z tego rozumiem. Rozumiem coś z tego życia i dlaczego tu przyszłaś też.

– No, dlaczego?

– Chcesz czegoś więcej od tego życia – powiedział Dario. – To, co się tutaj dzieje, to codzienna rutyna, coś się zdarza, a potem przechodzi. Zawsze jest więcej tego samego, dla ciebie, dla mnie, dla ludzi takich jak my. Nie powinniśmy chcieć czegoś więcej? Czegoś, co by przełamało tę monotonię?

Na te pytania Kelly nie znalazła odpowiedzi. Zastanawiała się, co właściwie miał na myśli.

– A jeśli te plotki są prawdziwe? – spytała.

– Jakie plotki? – odpowiedział pytaniem Dario.

– Że pracujesz dla kartelu.

– A jeśli są prawdziwe?

– Wiesz, że jeśli znajdę coś, co mnie tu doprowadzi, wrócę nie po to, żeby pogadać?

– Wiem.

– Podoba mi się ten twój bar. Robi wrażenie.

– Dziękuję.

– Ale długo go nie utrzymasz. Czyżbyś naprawdę tego nie rozumiał? Nie widzisz, jak skończy się dla ciebie pobyt w tym mieście?

– Jestem tylko właścicielem baru. Tylko. Ale nie mam zamiaru przestać nim być.

□□□

Tom wszedł z Jeanie do biura szeryfa. Pierce natychmiast posłał ich dalej, do pokoju, gdzie na Kelly czekał już Tollville. Za przyjaźnili się kiedyś, a w każdym razie byli tak bliscy przyjaźni, jak to możliwe przy tej odległości, i Tom przez długą chwilę przy-

glądał się agentowi specjalnemu, siedzącemu tyłem do drzwi, a potem wszedł do środka i uściskał mu dłoń.

– Sporo czasu minęło – powiedział Tollville. – Siedział na krześle dla gości. Podniósł głowę, by spojrzeć na Toma, stojącego przy szafkach na akta zajmujących kąt małego gabinetu.

– Kto by pomyślał, że przyślą tu właśnie ciebie. – Nic innego nie przyszło Tomowi do głowy, żeby zagaić rozmowę.

– Edna zadzwoniła bezpośrednio do mnie. Prawdę mówiąc, czekałem na jej telefon. Myślałem, że odezwie się wczoraj.

Tom rozejrzał się. Biurko pośrodku pokoju, krzesło szeryf Kelly po jednej stronie, po drugiej siedzi Tollville.

– Z pewnością nie będzie miała nic przeciw temu. – Agent uniósł rękę, gestem wskazał mu jedyne wolne miejsce.

Tom czekał jeszcze sekundę, a potem uniósł biurko, podłożył koniec smyczy pod jedną z nóg, opuścił biurko, sprawdził, czy Jeanie się nie uwolni, i wreszcie usiadł naprzeciw gościa.

Popatrzył na niego ciekawie. Tollville właściwie się nie zmienił, chudy, z krótko ostrzyżonymi włosami i zapadniętymi policzkami wskazującymi na to, że nie ma czasu dobrze zjeść i nic go to nie obchodzi. Jak to miał w zwyczaju, nosił garnitur nawet w upale późnego popołudnia, w przedziwnie mlecznym powietrzu wypełnionym ulotnym pyłem, tańczącym w promieniach zachodzącego słońca. Pognieciona pod pachami marynarka. Jedyne widoczna różnica: posiwiałe włosy.

– Nic się nie zmieniłeś – powiedział Tom.

Tollville uśmiechnął się lekko. Wyciągniętą rękę trzymał na żółtej tekturowej kopercie. Postukał w nią kilka razy palcami.

– Edna mówiła mi, że jej pomagasz.

– Owszem. – Tom przyglądał się palcom tańczącym po kawałku papieru.

– Nawet gdybyś jej nie pomagał, i tak chciałbym z tobą pogadać.

Tom wyjrzał z pokoju. Pierce mozolnie przedzierał się przez stos papierów – młody chłopak, jedyny zastępca szeryfa, a wokół niego puste biurka i krzesła.

– Edna przeskanowała nam odciski palców zdjęte z trupa, którego znaleźli kilka kilometrów za miastem, w skradzionym bronco. – Agent przesunął kopertę po biurku, poczekał, aż Tom ją weźmie. – Przyleciałem helikopterem, uznałem, że po prostu muszę tu być. – Wzrokiem przeskakiwał od koperty do twarzy Toma i z powrotem. – Rozpoznajesz tego chłopaka?

Tom otworzył kopertę, przyjrzał się policyjnemu zdjęciu młodego Meksykanina.

– Nie znam go – odpowiedział.

– Odciski, które zdjęła Edna, zainteresowały mnie na tyle, żeby wpaść i zobaczyć, co się tu u was, na południu, dzieje.

– Ty go znasz? – Tom odwrócił kartkę ze zdjęciem. Pod nią były policyjne akta.

– Znam jego rodzinę.

Zabrzmiało to zabawnie.

– To mafia czy co?

– Tak blisko mafii, jak to możliwe w Nowym Meksyku.

– Od razu powiedz, że żartujesz.

– Nie żartuję – powiedział Tollville. Krzesło zatrzeszczało pod jego ciężarem. Siedząc, nie wydawał się taki wysoki, jaki był w rzeczywistości.

Tom odłożył na biurko Kelly otwarte akta, z widocznym zdjęciem. Nazwisko człowieka na zdjęciu nic mu nie mówiło. Tollville pochylił się, postukał w nie palcem.

– Ten facet tu w ogóle nic nie znaczy. Przed kilku laty próbował ukraść wielką czternastokołową ciężarówkę. Usiadł za kółkiem, ale okazało się, że nie bardzo wiedział, jak się prowadzi coś takiego. – Agent uśmiechał się i najwyraźniej dobrze bawił. – Udało mu się przejechać jakieś dwie przecznice, spalił sprzęgło, stracił panowanie nad kierownicą i wjechał jakimś pechowcowi do sklepu zoologicznego.

– To coś jak z listy najgłupszych przestępstw – zauważył Tom.

– Pewnie udałoby mu się jakoś z tego wyjść bez większej szkody, ale nie tylko rozwalił ścianę, ale jeszcze zabił sześć kotów, dwa labradory i pięćdziesięcioletnią kakadu. Znęcanie się nad

zwierzętami i tak dalej. – Tollville'a najwyraźniej cieszyła własna opowieść. – Policja znalazła go zakleszczonego w kabynie. Sikał po nogach. Uderzył przodem kabiny i drzwi się zacięły.

– Więc co w tych aktach skłoniło cię, by aż wskoczyć do helikoptera i przylecieć do nas?

– Jego wuj, Memo, jest największym dilerem w stanie.

– Kelly wspomniała coś o narkotykach w bronco?

– Gdzie pojawia się Memo, tam zawsze pojawiają się i narkotyki.

– Myślisz, że tu też? A jeśli ten mały Sanchez postanowił się po prostu zabawić jak kiedyś?

– Tak naprawdę sprowadziły mnie tutaj straty w ludziach. – Tollville pochylił się w stronę biurka. Mówił cicho, spokojnie. – Siostrzeniec Mema nie potrafiłby tego dokonać, nawet gdyby zaczął trenować od razu pierwszego dnia po wyjściu z więzienia.

Tom znów spojrział na młodego zastępcę szeryfa, Pierce'a, a ten zerknął na nich zza biurka.

– Niezła historia – przyznał Tom – ale nadal nie rozumiem, dlaczego chcesz o tym ze mną rozmawiać.

– Przed dwunastu laty sprawy między rodziną Mema a meksykańskimi kartelami zaczęły się układać naprawdę źle. Memo był ich człowiekiem tutaj i nagle, dziesięć lat temu, po tych wszystkich waszych kłopotach, amerykańscy członkowie kartelu zaczęli ginąć jeden po drugim. Wchodzili do pokoju, drzwi się za nimi zamykały i bum, znikali jak sen. Tak się działo wzdłuż całej granicy. Kawał solidnej roboty. Pięćdziesiąt procent obserwowanych przez nas ludzi albo znikło, albo zginęło na różne bardzo krwawe sposoby. – Tollville umilkł. Zastanawiał się przez chwilę.

– A ja nie mogę niczego udowodnić. To znaczy oczywiście wszyscy wiemy, że Memo wcześniej też zabijał ludzi, ale to wyglądało naprawdę źle. Wojna na pełną skalę, nikt nie bierze jeńców. I nagle wojna się skończyła. Nikt nikogo już nie zabija, my nie znajdujemy ciał, cisza, spokój. Nie ma tak dobrze. Wojna nie kończy się ot tak sama z siebie. Trwa i trwa, a potem stopniowo wygasa. Nie ustaje w jednej chwili.

– Myślisz, że teraz znowu się zaczyna?

– I to jest właśnie ta ciekawa rzecz – powiedział Tollville. – Przed dziesięciu laty wezwaliście mnie do pomocy w tej twojej aferze. Był to nasz pierwszy sensowny trop od dłuższego czasu. A tak między nami wszyscy wiedzieliśmy doskonale, że Angela Lopez nie jest czysta, i tylko dzięki temu nie poszedłeś siedzieć. Naprawdę podniecające było to, że po raz pierwszy mieliśmy okazję oficjalnie przyjrzeć się życiu jednej z figur kartelu.

– Miło słyszeć, że się tak dobrze bawiliście – przerwał mu Tom. – Ale ja straciłem pracę.

– Masz szczęście, że nie skończyłeś za kratkami. Biorąc pod uwagę, jak się zabrałeś do tej sprawy. Nie mając żadnych dowodów, tylko cynk, podejrzewam, że od kuzyna. Nic więcej.

– Wykonywałem tylko moją pracę.

Tollville podniósł rękę.

– Posłuchaj, nie mówię, że Lopez się nie należało. Według naszych kryteriów kwalifikowała się jako ta zła. Przewoziła narkotyki. Ale kiedy zapukałeś do jej drzwi, w domu miała tylko trochę pieniędzy i małą córeczkę. Co się stało, to się nie odstanie, Tom. Nie było innego sposobu. I to mnie właśnie tutaj sprowadza. Dwa takie przypadki w mieście takiej jak ta to więcej niż zwykły zbieg okoliczności.

– To i trupy.

– Owszem – zgodził się Tollville. – To i trupy. – Wskazał gestem akta. – Facet pokroju Sancheza nie narobiłby tyle szkody. W ogóle nikomu by nie zaszkodził, a już z pewnością nie celowo. – Wyciągnął rękę, podniósł fotografię. – Wówczas jakoś tego nie skojarzyłem, ale tym razem pogrzebałem w papierach, sprawdziłem parę rzeczy. Akta twojego kuzyna, Raya, zostały utajnione. Pamiętasz, jak sprawdzałem je wtedy, za pierwszym razem? Dowiedzieliśmy się wówczas kilku ciekawych rzeczy, nie? Ale teraz znów je utajniono. Wiesz, co to znaczy?

Tom pokręcił głową. Ale doskonale wiedział, co to znaczy. Zapomniał już, jaki zadowolony z siebie bywał Tollville, a dzięki do-

stępowi do tajnych akt wierzył, że jest sprytniejszy, niż rzeczywiście był.

– Kazał je zamknąć ktoś bardzo wpływowy. Ktoś mający dobre kontakty.

– O tym to ja już nic nie wiem – powiedział Tom.

– Kuzyn pracował dla twojego wuja, tak? Razem robili w ropie?

– Mój ojciec też.

– Ale przedtem Ray był w wojsku, tak?

Tom skinął głową.

– Dla mnie wygląda to tak, że Memo kazał siostrzeńcowi, temu, którego Edna znalazła dziś po południu w bronco na pustyni, dołączyć do kogoś w rodzaju twojego kuzyna. Wyobrażał sobie, że gówniarz nie narobi szkód, nie zdoła nic spieprzyć. No bo w końcu jest z rodziny, Memo musi się nim opiekować. Ale potem coś idzie nie tak, Gil Suarez wyrывa się im i ucieka. I napięcie między Memem i kartelem sięga punktu krytycznego. Zaczyna się gotować.

Zadzwonił telefon na biurku Kelly. Jeanie nastawiła uszu, ale nie ruszyła się ze swego miejsca pod biurkiem. Pierce odwrócił się, wstał, zrobił krok w ich kierunku. Ledwie się poruszył, a dzwoniły już wszystkie telefony w biurze.

Tom spojrział na telefon, a potem na Tollville'a.

– Twój kuzyn nie robi już w ropie? – zapytał agent.

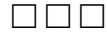
Tom patrzył na Pierce'a i na przewód słuchawki, którą trzymał w ręku.

– Od dawna nie widziałem Raya – powiedział. Widział, jak za plecami Tollville'a Pierce podnosi radio do ust, zwalnia przycisk.

– Co teraz? – spytał.

– Teraz czekamy – odparł Tollville. – Jeśli to, co się dzieje, ma przypominać to, co się działo dziesięć lat temu, możemy się spodziewać, że kilku członków kartelu zakończy życie w bardzo krwawy sposób.

Pierce rozmawiał przez radio. Powtarzał w kółko kilka słów: „Tate Bulger”, „dym” i „pożar”.



Dario siedział w kantorku. Z pobliskich toalet bił zapach moczu i wybielacza. Słyszał ciche głosy. Szeryf Kelly wyszła; czuł się dziwnie samotny, słuchając tych głosów, wiedząc doskonale, że wolałby w ogóle nie mieć do czynienia z facetami przy barze. Z Kelly rozmawiał uczciwie. Miał wrażenie, że od bardzo dawna nie był tak uczciwy.

A jednak kiedy dowiedział się o trupie w bronco, poczuł wielkie rozczarowanie. Wszystkie jego nadzieje, jego gra, testowanie granic nieuniknionego... Co za zawód! Kelly nie przyszła porozmawiać o starcu, którego zostawili skatowanego w jego własnym domu. Nadal bolały go knykcie od ciosów, które zadawał mu w twarz, rozrywając spuchniętą skórę, aż połała się krew. Kelly przyszła, bo wszystko w Coronado właśnie się kończyło, o czym on sam wiedział chyba równie dobrze jak ona.

Wyjął mały nóż z szuflady biurka. Słuchając głosów Meksykanów, raz za razem rzucał nim w podłogę, wbijał w drewno, przyglądał się drżącej rękoci. Nie miał pojęcia, czy tam, w bronco, znaleziono ciało Raya Lamara. Nie miał już żadnej nadziei na nic. Życie takie samo jak w minione dni, minione tygodnie.

Mężczyźni powiedzieli coś głośniejsze, roześmiali się hałaśliwie. Dario nie rozumiał nic z tego życia. Zaledwie wczoraj uczestniczyli w strzelaninie, a teraz się z niej śmiali. Co do jednej rzeczy nie miał wątpliwości: pewnego dnia przyjdzie jego kolej i pewnie nikogo to nie obejdzie.



Ray dostrzegł czerwoną lunę od pożaru ropy, zmieniającą się w pomarańczową wstęgę nad horyzontem, wyglądającą jak zaćmienie Słońca. Cały świat pogrążony w mroku nocy i cienka linia ognia tam, gdzie płonęła wieża wiertnicza. Prowadził furgonetkę ojca, ręce śmierdziały mu ropą, w kabinie czuć było wszechobecny zapach ognia, rozżarzonych węgla.

Zwolnił, kiedy obok niego przemknął radiowóz hrabstwa z włączonymi migaczami na dachu, poczuł szarpnięcie fali powietrza, które zostawiał za sobą. Przed maską, nad Coronado, unosiła się słaba poświata.

Nie miał nadziei na przyszłość, ojciec nie żył, a syn go odrzucił, przynajmniej takie odniósł wrażenie. Nie znał chłopca zbyt dobrze, zresztą przypuszczał, że tak właśnie będzie po tych wszystkich latach. Czego właściwie się spodziewał? Czego oczekiwał? Co chłopiec miał zrobić? Podbiec do niego, rzucić mu się w ramiona jak w jakimś filmie? No cóż, to się po prostu nie zdarza i nie zdarzy. Nie jemu.

Na siedzeniu pasażera leżała dubeltówka. Wziął ją z domu ojca. Błyszczała, zadbana, Gus troszczył się o nią, rozbierał i czyścił specjalnie przeznaczoną do tego celu szmatką. Ray znalazł broń tam, gdzie była zawsze: w szafce w przedpokoju. Wsunęte głębiej leżały pudełka ze starego cienkiego kartonu. Trzy pudełka, każde z innymi nabojami śrutowymi: numer osiem na przepiórki, numer sześć na kaczkę, numer dwa na mulaki i antylopy. Z każdego pudełka wyjął kilka nabołów i wychodząc z domu, wsunął je głęboko do kieszeni.

– Zamierzasz zrobić jakieś głupstwo? – mówił do siebie, idąc drogą i wspominając ten wieczór sprzed wielu lat, kiedy Marianne zadała mu to samo pytanie. Ropa znikła, a Memo zaledwie pojawił się w ich życiu. Ray klęczał przed szafką, trzymał w dłoniach rugera z magazynkiem wysuniętym na tyle, by móc sprawdzić, ile jest w nim nabołów.

Miesiąc później Marianne nie żyła, a on zaczynał robić setki tych różnych rzeczy, których nie można cofnąć i których miał zawsze żałować. Ojciec był jednym z powodów jego wyrzutów sumienia, a teraz patrzył na dubeltówkę, myśląc o tym, jak źle ułożyło mu się życie wtedy, dawno temu, i że teraz nie da się już niczego zatrzymać.

Pager na jego biodrze wibrował niemal bez przerwy. Odpiął go, znów spojrzął na numer. Był pewien, że Memo zdążył się już dowiedzieć o masakrze w domu Sullivanów, a może nawet i o

śmierci Sancheza, albo z wiadomości, albo z podsłuchu policyjnego radia. Raya nic to nie obchodziło. Interesy Mema nie były już jego interesami. Nie tak jak były nimi wcześniej, a trefny towar niech sobie gnije zakopany w ziemi, nic go to nie obchodziło.

Błysk czerwieni i błękitu we wstecznym lusterku, znikający w ciemności radiowóz. Ray otworzył okno. Wyrzucił pager. Miał go szczerze dość. W jego wnętrzu wzbierała burza, nie potrafił już jej opanować. Nie planował przyszłości dalej niż widoczna przed maską samochodu droga i to, dokąd prowadziła.



Kelly czuła, jak zmienia się wiatr. Ogarnęła ich fala gorąca tak wielkiego, że wydawało się, że topi skórę. Hastings podniósł rękę, powoli cofał się do radiowozu. Czarny dym nad ich głowami znikał w mroku nocy, płomień palących się szybów naftowych bił w niebo, jakby wypychał go silnik odrzutowy.

– Chryste – powiedział Hastings. Wzniesioną dłonią chronił twarz przed gorącą luną.

Kelly też cofnęła się kilka kroków. Nie spuszczała wzroku z wielkiej kuli ognia, która wznosiła się na dziesięć metrów i kończyła czarną chmurą dymu płonącej ropy; szkielet wieży wiertniczej to już tylko cienka metalowa klatka otaczająca żywiół, pulsująca czerwienią w miejscach, gdzie ogień miał do niej bezpośredni dostęp.

Dziwne wydało się jej to wszystko. Cofała się do samochodu, mając w uszach szum płomienia jak wycie wiatru wśród górskich szczytów. Gdzie protestujący? Gdzie pracownicy pól naftowych, gdzie transparenty, gdzie pikiety? Nikogo w zasięgu wzroku, tylko ona i Hastings, oboje cofający się przed walącym się na nich żarem. Strażaków z brygady ochotniczej nie było na miejscu, choć miała nadzieję, że już są. Pewnie ciągle sznurowali buty.

Pierce złapał ją przez radio, zaledwie wyszła z baru. Zdyszonym głosem raportował o wezwaniach z całej doliny. Kolumna czarnego dymu jak włócznia przebijała ostatnie, słabe promienie

słoneczne dotykające Tate Bulger, daleko na południowym wschodzie.

Straszny żar! Kelly dopadła radiowozu pierwsza, wrzuciła wsteczny, Hastings dołączył do niej, kiedy ruszała. Pojechali tyłem drogą dojazdową, przed maską wieża pluła ogniem, koła wznosiły tumany kurzu przed przednią szybą. Uciekali przed spalaniem.

Nic nie było tak, jak powinno być. Przez radio spytała Pierce'a, gdzie się znajduje.

– Jestem dokładnie tam, gdzie kazałaś mi być.

– Nie za blisko?

– Przecznicę od baru. Widzę główne wejście, jeśli ktoś wyjdzie, to go zobaczę.

– Doskonale – powiedziała Kelly. – Zostań na miejscu. Dołączę do ciebie możliwie jak najszybciej.

Tollville i Herrera czekają na nią w biurze. I ten strach, ta bezradność, powinna opiekować się miastem, a nic nie mogła zrobić. Kilka kilometrów na północ zapaliły się światła wozów strażackich, jadących szosą na ich spotkanie.

– Nie ma sposobu, żeby to zgasili, prawda? – spytał Hastings.

– Nie ma – przyznała Kelly. – Czegoś takiego nie da się powstrzymać. Ogień sam się wypali za jakiś czas.

□□□

Przez okna biura szeryfa dobiegł Toma dźwięk, którego nie potrafił rozpoznać. Coś jak kula burząca uderzająca w beton i metalowe wsporniki, metal i kamień. Podszedł do okna, wyjrzał w noc. Spojrzało na niego jego własne odbicie w tafli szkła. W powietrzu zawisło echo, umilkło, znów zapanowała cisza.

Odwrócił się od okna. Kątem oka widział, że jego duch też się odwraca.

Gdzieś tam, wyżej, pracowała pewnie Claire. Przepracuje cały dzień, postara się nadrobić zaległości poranka. Myślał o niej i o jej prośbie, żeby po prostu wrócili do domu, zostawili to wszystko za

sobą. Miał szansę pogadać z Tollville'em, powiedzieć mu prawdę, powiedzieć o nowych ofiarach, o tym, jak to się zaczęło. Tylko że nie chciał zrobić tego w tej chwili, choć wiedział, że ta właściwa może w ogóle nie nadejść. A w samym środku zdarzeń jego kuzyn Ray.

Zdawał sobie sprawę, że Tollville obserwuje go, stojącego przy oknie w biurze szeryfa. Agent czekał, nasłuchiwał z odwróconą głową. Żaden z nich nie miał pojęcia, co się dzieje, póki w radiu nie odezwał się głos Pierce'a, przestraszony i podekscytowany, a chwilą później na ulicy rozległy się strzały z broni palnej.



Ray nie kontrolował już swego zachowania. Scyzorykiem odkręcił tablice rejestracyjne z półciężarówki, zdrapał numer VIN, tablice wrzucił do najbliższego kosza na śmieci wraz ze wszystkimi papierami ze skrytki. Paskiem do spodni unieruchomił kierownicę tak, by samochód jechał na wprost, usztywnił konstrukcję, po czym wcisnął pedał gazu kawałkiem drewna. Znalazł je w korycie rzeczki powołanej do istnienia przez deszcz. A potem już tylko wrzucił bieg.

Wielka, ważąca pewnie około pięciu ton półciężarówka ruszyła ulicą, przyspieszając, przemknęła przez skrzyżowanie i uderzyła maską w drzwi baru Daria, podrywając w powietrze tylną oś niczym łódź pokonująca pierwszą wielką falę i lądująca w jej dolinie wśród tryskającej na wszystkie strony wody. Odłamki szkła, cegły i metal jakby znieruchomiały na moment w powietrzu, podobnie jak tylna oś samochodu, ale za chwilę wszystko zaczęło opadać na ziemię w trzasku miażdżonego metalu. Ogłuszający zgrzyt trwał, ciężki, metaliczny, prawie namacalny, gdy Ray ruszył przed siebie z dubeltówką w ręku.

Przeszedł przez skrzyżowanie z Main Street.

Podszedł do drzwi baru ze strzelbą załadowaną nabojami srurowymi numer sześć i rugerem za paskiem spodni. Przednia ściana budynku runęła, tworząc stos potrzaskanych cegieł. Maska

półciązarówki tkwiła w barze na głębokość z półtora metra. Powietrze przesyciła gęsta chmura ceglano-pyłowa. I słychać było kaszel wielu mężczyzn.

Ray przekroczył barierę gruzu. Wszedł do baru. Słaby poblask wiszący u sufitu lampy rzucał upiorne światło na ruiny, jak błyskawica w burzy piaskowej. Ludzie Daria powoli odzyskiwali orientację, ale wszędzie wokół widzieli tylko drobny ceglany pył o konsystencji gliny.

Ray strzelił z jednej lufy, kładąc od razu trzech z nich, śrut na ptactwo był zabójczo skuteczny. Każdy nabój szóstka zawierał około dwustu ołowianych śrucin. Trafionych rzucało o ściany, padali na podłogę, nie wypuszczając jednak broni z rąk. Na twarzach i ubraniach pojawiła się krew z małych, wywierconych w ciele przez okruchy ołowiu ranek.

Ray wystrzelił po raz drugi. Strzelał jak przez nieprzenikliwą zasłonę. Strzelał, kierując się ciężkimi oddechami. Echo strzałów pochłonęło wszystkie inne odgłosy.

Znalazł kryjówkę za barem, bo teraz i do niego strzelano, odłupując drzazgi z połamanego drewna. Nie sposób było dostrzec cokolwiek, ostrzeliwali się na oślep, a Ray zastanawiał się, co zrobić.

Złamał dubeltówkę. Wyjął naboje, jeszcze ciepłe. Upuścił je na podłogę. Ostrzelał z rugera narożniki pomieszczenia, aż opróżnił magazynek, aż rozległo się głucho kliknięcie kurka w pustej komorze. Odpowiedziano mu chaotyczną strzelaniną. Zostawił rugera; uzbrojony w dubeltówkę, obszedł bar. Trzymał ją w obu dłoniach, poruszał się ostrożnie, na ugiętych kolanach.

Z samego dna kieszeni wyciągnął dwa naboje zero-zero. Załadował broń. Każdym z tych dwóch nabołów można było położyć mulaka.

Znieruchomiał przy końcu baru, starał się opanować nerwy, w gardle czuł smak prochowego dymu, przez nos wciągał wszechobecny ceglano-pyłowy. Nadal do niego strzelano, skądś tam, z przodu. Zapamiętał pozycje strzelców, wstał i dał ognia z obu

luf. Usłyszał tępe „łup” grubych śrucin grzęznących w ludzkim ciele. Rozległy się krzyki rannych, przeszły w jęki, ucichły.



W kantorku za barem Dario wyjął czterdziestkępiątkę z szuflady biurka. Huk strzałów przenikał pod drzwiami, nieunikniony niczym dym pożaru wypełniający pomieszczenie, wdzierający się do gardła... Wstał, nie spuszczając wzroku z drzwi. Po każdym strzale drżały ściany, drewno rezonowało od uderzających w nie pocisków, ugięło się do środka.

Uśmiech wymuszony desperackim aktem woli, cienki i ostry jak pierwsza rysa na ciętej nożem skórze. Daria ogarnął spływający przez powietrze całun, płaszcz samej śmierci. Przeszedł przez kantorek, wpatrzony w drzwi. Potrafił już przewidzieć każdy kolejny strzał. Wyczekującym wzrokiem Dario przebiegał od miejsca, gdzie chciał być, do tego, gdzie napastnik powinien być – o czym doskonale wiedział – za mniej więcej minutę. Co chwilę rozlegał się donośny huk dubeltówki za zamkniętymi drzwiami, a każdy szarpał mu nerwy niczym silny wstrząs elektryczny.

W kantorku nie było okna. Pozostały mu wyłącznie drzwi prowadzące wprost do głównej sali baru. Z szafki na akta stojącej w rogu Dario wyjął kamizelkę kuloodporną. Założył ją pod marynarkę.

Strzały, coraz rzadsze, aż wreszcie zapadła przeraźliwa cisza.



Radio milczało długo. Kelly i Hastings siedzieli w radiowozie, głośność podkręcili do maksimum, a za ich plecami płomienie rozcinały ciemność. Nie słyszeli nic oprócz szumu radia, przerywanego trzaskami zakłóceń i ich własnymi ciężkimi oddechami.

– Pierce – rzuciła Kelly do mikrofonu, nie pierwszy raz. Odpowiedziały jej tylko odgłosy strzelaniny. Potem zapadła cisza.

– Jest tak cholernie przerażony, że pewnie wcisnął przycisk PTT, jak się zaczęło, i do tej pory go nie puścił – powiedział Hastings.

Kelly zaklęła głośno. Włączyła silnik, przesunęła dźwignię automatycznej skrzyni biegów na wsteczny. Światła radiowozu ciągle skierowane były na płomienie otoczone kłębamii czarnego dymu, wznoszące się z trzaskiem, opadające, wznoszące.

Wykrzyknęła nazwisko Pierce'a, wcisnęła gaz. Koła zabuksowały w pyle, samochód ruszył gruntową drogą w stronę szosy.

Kiedy wyjeżdżali na szosę, zasypując asfalt drobinami pyłu, wóz miejskiej straży pożarnej musiał zjechać im z drogi.



Nie było odwrotu. Ray szedł od ciała do ciała, w każdym szukając śladów życia. Doliczył się ośmiu, odwracał każde, sprawdzał, czy nie jest ciałem Daria. Dwóch z tych ośmiu jeszcze żyło, jeden z ręką uwięzioną pod kołem półciężarówki, otwarte złamanie, stercząca z rany naga kość, krew bijąca z rozerwanej tętnicy; drugi postrzelony śrutem w bok. Ten oddychał płytko, miał przebite płuco, krew rozsmarowaną na wargach, wypływała mu z ust za każdym razem, gdy próbował wziąć oddech za głęboki jak na pozostałe mu siły. Ray przyklęknął przy jednym i drugim, pytał o Daria, ale nie byli w stanie odpowiedzieć mu słowami. Stracili za wiele krwi, skórę mieli bladą, a ich skrzywione usta otaczały sine obwódki.

Ray zastrzelił obu z przyłożenia. Huk tych dwóch samotnych strzałów długo wisiał w powietrzu. Ray czekał, aż opadnie kurz. Czekał pewny, że lada chwila usłyszy wycie syren policyjnych.

Wyrzucił dwa zużyte dymiące naboje. Załadował. Obrócił się, dostrzegł drzwi do kantorka. Spróbował klamki. Okazały się zamknięte.

Rozwalił zamek jednym strzałem. Przyłgnął do ściany dającej mu osłonę. Z kantorka nie dobiegał żaden odgłos, nie wyczuł ruchu. Złamał dubeltówkę. Wyrzucił łuskę.



Przez policyjne radio w biurze szeryfa Tom i Tollville słuchali dokładnego sprawozdania sprzed baru. Mocny głos Pierce'a wręcz bił z głośników. Przekrzykiwał huk wystrzałów, choć z wielkim trudem.

Tom stał wystarczająco blisko małych, kilkunastocentymetro- wych głośniczków, by słyszeć każde westchnięcie, każdy głębszy oddech zaczerpnięty przez młodego zastępcę szeryfa w ciągu tych paru minut składanej Kelly relacji.

– Jezu! O kurwa! Jezu! – powtarzał Pierce raz za razem. Kelly próbowała go uspokoić, ale chłopak w ogóle jej nie słuchał. Pędzi- ła z Hastingsem z powrotem do miasta, słyszeli wycie syreny.

Z tego, co Tom był w stanie zrozumieć z chaotycznego ko- mentarza, Pierce siedział w radiowozie przecznicę od baru. Wi- dział, jak półciężarówka przejeżdża skrzyżowanie i rozwała fron- tową ścianę.

Tollville zdążył już zdjąć marynarkę. Szperał w jednej z sza- fek. Znalazł w niej należące do biura kamizelki kuloodporne i na- tychmiast jedną z nich założył. Kolba pistoletu na biodrze wyraź- nie odcinała się od bieli jego koszuli.

– Jak daleko jesteśmy? – spytał. Kręcił głową, przysłuchując się wystrzałom, starając się jakoś je zlokalizować.

– Trzy przecznice.

– Jak długo Edna będzie wracać do miasta?

Tom nie odpowiedział od razu. Zawahał się.

– Dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut.

Patrzył, jak Tollville przykłęka na jedno kolano, z kabury przy kostce wyjmując dziewięćmilimetrowego baby eagle'a.

– Przyłączysz się? – spytał.

Znów usłyszeli głos Pierce'a, niemal niezrozumiały w trzasku zakłóceń.

– Zostań, gdzie jesteś! – powiedziała Kelly przez radio.

Pierce mówił tak szybko, że właściwie bełkotał. Powtarzał coś o facecie z dubeltówką i błyskach światła widocznych w środku

czegoś, co kiedyś było barem.

– Zostań w samochodzie! – rozkazała Kelly. – Nie ruszaj się!

Tollville rzucił Tomowi baby eagle'a. Kazał mu założyć kamizelkę.

– Pomagałeś Kelly – przypomniał mu. – Teraz ja potrzebuję twojej pomocy.

Tom spojrział na pistolet, który trzymał w ręku. Przyjechał wydać kuzyna, postanowił zrobić to, bo innego wyjścia z tej sytuacji nie widział. Ray miał jedną jedyną szansę ratunku, ale teraz Tom wiedział już, że nie da się go uratować. Nie miał żadnych wątpliwości, że to Ray przeszedł przez ulicę z dubeltówką w rękach, że poszedł wprost do baru Daria. Nie było żadnej nadziei dla siedzących w środku facetów, dla samego Raya, nawet dla człowieka, za którego on sam się uważał. Patrzył na pistolet w dłoni i myślał o tym wszystkim, co czeka ich trzy przecznice stąd. Podniósł głowę.

– Nas dwóch to za mało – powiedział.

Tollville uśmiechnął się. Patrzył na Toma, jakby usłyszał żart, którego puentę doskonale zna.

– Na co za mało? – spytał. – Wiesz coś, czego ja nie wiem? – Był taki zadowolony z siebie, że Tom z tonu jego głosu dowiedział się wszystkiego, co chciał wiedzieć.

– Spełnię swój obowiązek – powiedział. – Założę kamizelkę, pójdę z tobą, ale nie mam pozwolenia na taką pomoc, jakiej w tej chwili potrzebujesz. Całe biuro nie wystarczy na to, co się tam dzieje.

Tollville przyglądał mu się jeszcze przez krótką chwilę, po czym podniósł słuchawkę telefonu. Chwilę później rozmawiał już z policją stanową. Tom odczekał jeszcze trochę, by upewnić się, że Tollville załatwił wsparcie, a potem przecisnął się obok niego i wyszedł na Main Street, gdzie czekał już na niego Pierce oraz jatka w barze. Mdliło go, drżał na całym ciele.

Ku swemu zdziwieniu odkrył, że każdy jego kolejny krok jest szybszy od poprzedniego. Że biegnie. Kamizelka ciążyła mu, krępowwała ruchy, płuca walczyły o uniesienie jej przy każdym odde-

chu, pasy wpijały mu się w ramiona. Obejrzał się, nie zobaczył Tollville'a, pomyślał, że chyba kupił sobie trochę czasu. Czasu na co? Nie miał pojęcia.

Skupił się na ulicy przed sobą i na barze. Na tym, co go jeszcze czeka.

Dobiegł do radiowozu. Pierce siedział nieruchomo z dłońmi na desce rozdzielczej. W jednej z nich ścisnął zapomnianą służbową broń. Błądą twarz okrywała ciasno cienka warstwa strachu.

Przecznicę dalej widać było półciężarówkę wbitą maską we frontową ścianę baru. Łatwo ją było rozpoznać, nawet bez tablicy rejestracyjnej. Zmiażdżony, porysowany, z podziurawionymi burtami, był to jednak niewątpliwie wóz Gusa.

Tom zastukał w drzwi pasażera radiowozu, pilnując, by nie zaskoczyć Pierce'a, nie przerazić go bardziej. Czekał, aż opadnie szyba w oknie, oczy Pierce'a odwrócą się w jego kierunku.

– Tollville poprosił mnie o pomoc – powiedział. – Zamierzam pójść od tyłu i pilnować parkingu. Ty uważaj na front. Tollville rozmawia ze stanowymi, my musimy na jakiś czas zająć się budynkiem.

Wydawało się, że Pierce jest w szoku, miał rozbiegany wzrok, nie był w stanie podnieść oczu, skupić spojrzenia na czymś konkretnym.

– Jesteś mi potrzebny, Pierce. – Baby eagle ślizgał się w dłoni Toma. Pot w fałdach skóry wydawał się gorący. Po raz pierwszy od dziesięciu lat Tom trzymał w ręku broń.

Pierce skinął głową. Huk pojedynczego wystrzału wydobył się z baru, przetoczył obok nich. Obaj skulili się, instynktownie szukając osłony. Ani śladu Kelly, ani śladu Tollville'a. Tom przygotował się do przebiegnięcia Main Street. Zdążył już nawet wybrać drogę prowadzącą na parking za barem Daria.

□□□

Strzał z dubeltówki szarpnął drzwiami w zawiasach. Rozwalił zamek do końca, drzwi uchyliły się na dobre trzydzieści centy-

metrów do wnętrza kantorka. Daria otoczył zapach prochu, zawisł w powietrzu, prześladował go skulonego, wciśniętego w róg małego pomieszczenia.

Trzymał czterdziestkępiątkę oburącz. Ramiona wcisnął między szafkę z aktami a ścianę. Skórę pod ciężką, wilgotną kamizelką miał lepłą, gorącą, pot spływał mu wzdłuż kręgosłupa.

Usłyszał stuk łuski spadającej na podłogę, stłumiony stuk kolejnej, zajmującej jej miejsce. Nie spuszczał wzroku z drzwi, zaczynał odczuwać skurcze ramion. Mięśnie pod skórą miał napięte do bólu i kiedy odciągał, a potem zwalniał zamek, czuł czyste, najczystsze podniecenie.

Czekał.

Najpierw w drzwiach pojawiła się lufa dubeltówki. Zatoczyła pełny łuk, pchnęła drzwi mocno, do samej ściany. Przeszukiwała pomieszczenie niczym wąż, jakby smakowała powietrze.

Dario wymierzył w punkt nieco ponad pół metra nad lufami. Czekał na mały, najmniejszy znak ciała. Pistolet trzymał w wyciągniętych dłoniach. Na czoło wystąpił mu pot, ściekał grubymi kroplami do oczu. Bronił się przed nimi, mrugając.

No chodź, pomyślał, patrząc na drzwi. Wyprostowana ręka, za nią lufa, dalej nic, pusto. No chodź.

□□□

Ray wiedział, że w kantorku ktoś jest, nie wiedział tylko gdzie. Jeszcze przez chwilę poruszał lufami dubeltówki, zaglądał do środka, ale niewiele był w stanie zobaczyć zza progu.

Nie wiedział, gdzie schował się Dario. Nie dowie się tego inaczej, niż wchodząc do środka. Widział tylko biurko stojące pośrodku pomieszczenia, za nim ceglana ścianę ostrzelaną grubym śrutem i dwa kąty po jego obu stronach. Tylne ściana z cegły, ścianki działowe z taniego gipsu na drewnianym szkielecie. Ray cofnął się o krok. Złamał dubeltówkę. Gruby śrut trafił do obu luf.

W świetle padającym z kantorka na cementową podłogę baru Ray przeszedł kilka kroków po jego głównej sali do miejsca,

w którym, jak mu się wydawało, kończył się kantor. Ściągnął spust, rozwalając ścianę. Następnie szybko, w plamie światła, wrócił swoim śladem i rozwalił drugą ścianę. Przez wybite śrucinami dziury usłyszał ciche, krótkie westchnienie.

Wszedł do kantorka. Ranny Dario leżał na podłodze. Przyciskał rękę do szyi, spomiędzy palców spływały strumyki czerwieni. Leżał rozciągnięty na podłodze kantorka, tylko jego nogi w ataku konwulsji kopały jeszcze przez chwilę podłogę spowitą pyłem i drewnianymi drzazgami. Marynarkę całą poharatał grubymi śrutami, wniknął przez nią, dotarł do metalowej płyty kamizelki... ale jedna śrucina znalazła drogę aż do nieosłoniętej szyi.

Ray pochylił się. Podniósł czterdziestkępiątkę. Trzymał ją w dłoni niedbale.

– Sprytne – powiedział, rozchylając marynarkę Daria lufą dubeltówki, przyglądając się kamizelce i dokonany przez jego strzały zniszczeniom. Facet był młodszy, niż się spodziewał, twarz pokrywała mu warstewka potu, sięgająca nasady włosów.

– Miałem nadzieję, że wpadniesz – powiedział Dario. Przyciskał rękę do rany, krew ciekła mu po palcach, głos brzmiał słabo.

Dario usiadł powoli, z wysiłkiem, głową dotykał blatu biurka, brodę musiał przytulić do mostka. Nacisk na tchawicę sprawiał, że jego głos w otaczającej ich ciszy wydawał się jeszcze bardziej świszczący.

– Mogłem cię zabić – rzucił Ray.

– Powinieneś – rzucił Dario, pólżąc, ze wzrokiem skierowanym w górę. Twarz miał skrzywioną z bólu.

Ray przyklęknął. Wsadził czterdziestkępiątkę za pasek spodni, obok rugera. Oderwał rękę Daria od jego szyi, struga krwi trysnęła na podłogę kantorka.

– Kiepsko z tobą. Mógłbyś przeżyć, ale wątpię, czy dasz radę.

Dario uśmiechnął się, choć z bólu zaciskał wargi.

– Śmieszne, jak to się kręci. – Natychmiast znów przyłożył do rany dłoń śliską od krwi. Kredowobiała twarz miała, zdaniem Raya, pozostać taka na zawsze. – Nic nigdy nie kończy się tak, jak przypuszczasz.

– Nigdy, fakt – przyznał Ray. – W mojej robocie często się to słyszy, a im częściej to słyszę, tym rzadziej myślę o tym, co się kończy i jak.

Wstał. Czubkiem buta trącił rękę Daria przyciśniętą do szyi. Patrzył na krew wyciekającą spomiędzy palców. Ten wyraz jego oczu, kojota postrzelonego w bebechy, przepełnionego nienawiścią, leżącego na boku, bezwładnie.

Ray już i tak za długo siedział w barze. Rozglądał się zdumiony, zaskoczony tym, że jeszcze żyje. Krew na ręku Daria wydawała się zdumiewająco czerwona na tle bladej skóry.

– Umrzesz – powiedział. Spojrzał na drzwi, obrócił się do wyjścia.

– Jeszcze nie. – Dario mówił szybciej, próbował go zatrzymać błagalnym wzrokiem. – Zawarłem układ z Memem. Zaslужuję na coś lepszego. To nie ja powinienem leżeć tu, na podłodze.

Imię szefa zatrzymało Raya w pół kroku.

– Powiedziałem mu, gdzie i kiedy będzie przejeżdżał Burnham. Wystawiłem i jego, i Gila.

Ray gapił się na leżącego. Jego dłoni nie widać już było spod krwi, która barwiła też kołnierz i klapy marynarki.

Dario roześmiał się. Twarz zalana potem, rozpaczliwy grymas wykrzywiający wargi.

– Wygląda na to, że ci o tym nie wspomniał. Wygląda na to, że jest sporo spraw, o których nie wspomniał.

Ray wpatrywał się w niego, próbując coś zrozumieć. Przed laty Memo obiecał mu wszystko. Obiecał, że wszystko się ułoży, wszystko będzie w porządku, że jeśli Ray wykona swoją robotę, to będzie chroniony. Nic z tego się nie sprawdziło, Ray stracił żonę, porzucił syna, uznał, że kartel go namierzył, namierzył jego rodzinę... ale teraz nic już nie było dla niego jasne. Świat przewrócił się do góry nogami.

– Gwarancje Mema są nic niewarte – powiedział Dario. – Nikt nie miał zginąć. Nie powinno się zdarzyć nic z tego, co się zdarzyło. – Patrzył na stojącego nad nim Raya, próbował podciągnąć się

wyżej, ale na to był już za słaby, ręka, zbędna, opadła na podłogę.
– To był prosty plan, tylko posunięty za daleko.

– Mój ojciec nie żyje.

– Wiem – rzucił Dario.

– On nie miał z tym nic wspólnego i o niczym nie wiedział.

Dario nie spuszczał z niego wzroku.

– Mogę ci pomóc – powiedział Dario. – W tym nie jesteś sam. Już nie. Zacznesz polowanie na Mema, ale nigdy nie uda ci się go dorwać. W tym mogę pomóc. Mogę ci pomóc go podejść.

Ray roześmiał się, w ciszy jego śmiech zabrzmiał nieoczekiwanie i okrutnie. Jeszcze przez chwilę patrzył na Daria, a potem po prostu zostawił go na podłodze.

□□□

Tom czekał za budynkiem baru. Nie wiedział, co robić. Zakładał, że Tollville dołączył już do Pierce'a i że może właśnie w tej chwili podchodzą do baru od frontu.

Dotarł na miejsce przed niemal minutą. Nogi mu zeszywniały, bo skrył się za niską, dwukrotnie niższą od niego, ścianą z betonowych bloczków, zza której widać było kontuar. Uszy przystosowały się już do otoczenia, przedziwnej ciszy nocy i miasta, w którym umilkły strzały.

Minęły kolejne dwie minuty i przez tylne drzwi wyszedł Ray. Stał w świetle księżyca cały pokryty pyłem. W rękach trzymał staroświecką dubeltówkę.

– Pasujemy do siebie – powiedział na widok Toma skulonego za ścianką, z baby eagle'em w dłoni podpartej na krawędzi muru. Mierzył wprost w niego.

Tom wstał. Ręka, w której trzymał broń, drżała.

– Widzę, że wróciłeś do służby. – Ray skinieniem głowy wskazał kamizelkę z oznakowaniem biura szeryfa. – Nagroda za to, że mnie wydałeś?

– Nie powiedziałem nic przeciw tobie. Jestem tu sam, nie musisz się martwić o nikogo innego.

– To nie ma żadnego znaczenia – powiedział Ray. – Już nie.

Tom przeniósł spojrzenie z niego na tylne drzwi do baru. Nie miał pojęcia, gdzie jest Tollville. Nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby agent DEA znalazł ich tu, na tyłach budynku, rozmawiających jak dwaj faceci w przerwie na papierosa.

– Nie jestem pewien, co powinienem teraz zrobić – przyznał. – Dałem ci szansę, ale z niej nie skorzystałeś.

– Powinieneś wiedzieć, że to się tak nie skończy. Dla mnie.

– Tak, powinienem – przyznał Tom. – Ale jakoś, kiedyś, miałem nadzieję, że jednak wszystko się rozejdzie po kościach.

Ray pokazał zęby w uśmiechu. Koszulę ochlapała mu krew, na piersi i wyżej, pod samą szyją. Tom ani przez chwilę nie sądził, że to może być krew Raya.

– Między nami nie musi się tak skończyć – powiedział Ray.

– Posłuchaj... – Tom umilkł. Zabrakło mu słów. Ale wiedział, że musi je znaleźć, jakieś słowa muszą paść, że z nich dwóch to on powinien przemówić. – Posunąłeś się za daleko, sam sobie zrobiłeś przez to krzywdę i moim zdaniem sam wiesz, że jedyne wyjście dla ciebie to poddać się.

– Nie mieszałeś się do tego wcześniej, to czemu mieszasz się teraz?

– Nie przesadz, Ray – ostrzegł go Tom.

Ray zrobił krok w kierunku ulicy.

– Nie! – Tom wziął go na muszkę. Dłoń już mu nie drżała. Jego głos zabrzmiał ostro w panującej ciszy, jedno słowo zawisło między nimi, gwałcąc ją.

Ray zrobił drugi krok. Nie spuszczał wzroku z kuzyna. Nie uniósł luf dubeltówki wyżej niż na kilka centymetrów, ani razu w niego nie wymierzył.

– Ray, nie zmuszaj mnie do tego. – Ale nawet Tom wiedział, że zdradził go ton głosu. Wiedział, że nigdy nie zdobędzie się na to, żeby strzelić do Raya, i że popełnił błąd, zjawiając się tu, ale po prostu musiał się tu zjawić. Żeby uwierzyć, musiał zobaczyć na własne oczy. Musiał na własne oczy zobaczyć Raya i to, do czego jest zdolny.

– Jeśli już musisz do kogoś mierzyć – powiedział Ray – to lepiej wejdź do środka. Nigdy nie chciałeś pomóc mi w tym, co musiało zostać zrobione. Ale teraz sam możesz zobaczyć, że wszystko skończone, i jeśli kiedyś cenileś mojego ojca, to zrozumiesz, że trzeba było to zrobić.

Ray zrobił jeszcze krok. Szedł dalej. Nogi nie niosły go w stronę kuzyna, tylko w przeciwną. Obszedł bar i przechodził przez ulicę, kiedy Tom opuścił baby eagle'a. Trzymał go luźno przy nodze. Tylne drzwi baru były uchylone. Biegł do nich, myśląc, że ci w środku nie mają już szans.

Na jego spotkanie z baru wypłynął powiew rozlanego alkoholu i metaliczny zapach krwi. W powietrzu wisiała chmura gęstego ceglanego pyłu. Pozwolił się jej obmyć, a potem wszedł do środka. Oczy przyzwyczajały mu się przez chwilę do mroku wąskiego pięciometrowego korytarza, który otwierał się na salę barową. Tom szedł ostrożnie, na ugiętych nogach, nasłuchując, czy ze środka nie dobiegnie go jakiś dźwięk.

Przed sobą usłyszał gruchot spadających cegieł, zgrzyt gnieczonego butami gruzu.

– Tollville?! – krzyknął, ale głos miał słabszy, niż się spodziewał. Jeszcze raz wykrzyknął nazwisko agenta. Czekał na odpowiedź. Usłyszał trzask, coś strzeliło i natychmiast się przepaliło. Bar zapłonął na najkrótszą chwilę zimnym elektrycznym światłem. W powietrzu ciągle unosił się dym spalonego prochu.

Tom czekał i słuchał, niepewny tego, co go jeszcze spotka. Ktoś zrobił znowu kilka kroków, a potem w mroku zabrzmiał głos Tollville'a wymawiającego jego imię.

Gdzieś pomiędzy nimi, w korytarzu, ktoś zakaszłał chrapliwie kilka razy. I ucichł. Tom pomyślał, że brzmi to tak, jakby się topił.

□□□

Ray szedł szybko Main Street. Próbowował uporządkować myśli. Wyjął wystrzelone naboje z luf, rzucił je na ziemię. Szedł dalej, a jego krokom towarzyszył grzechot plastiku na betonie.

Wyszedł z baru, myśląc o tych wszystkich minionych latach, o ich skomasowanych skutkach, solidnych i trwałych jak nic w jego życiu. Gdzie był. Co robił. Uświadomił sobie, że droga na południe, ta, na której jego syn oniemiał, a żona zginęła, prowadzi także na północ.

Samochód Marianne uderzony został w bok i zepchnięty z drogi. Pozostawił na asfalcie podwójny ślad spalonych gum jak wizytówkę, której aż do tej chwili Ray nie potrafił odczytać. Choć próbował. Oddał tym próbom całe swoje serce, mijały lata, miał nadzieję, że dzięki nim zastąpi w sercu coś, czego nie sposób było zastąpić.

Od samego początku wszystko to było pułapką. Przed wielu laty Marianne, teraz Burnham, padający na ziemię przed trzema dniami. Krwawiący bladą wodnistą krwią z rany na policzku, z trudem wypowiadający słowa, na które Ray nie był jeszcze gotów: że Memo oszukuje ich wszystkich.

Jezu – pomyślał. Reguły się zmieniły, nic już nie jest takie, jak było.

Przebywał w barze zaledwie kilka minut. Ale nawet kilka minut to było za długo, więc teraz zastanawiał się nad tym, co powinien zrobić i dokąd pojechać. Posunął się za daleko i w tej chwili uświadomił sobie, że w którymś momencie zaczęło mu się to nawet podobać. Musiał teraz przypominać sobie, że zamordowany został jego ojciec. Mężczyzna, dla którego w jego ostatnich chwilach życia on sam był tylko wspomnieniem.

Musiał to sobie przemyśleć. Nic innego się nie liczyło, ani narkotyki, ani jego życie. Ciężar na piersi, znał go aż za dobrze, napędzający go ból, nieznośny jak oparzenie.

Pozostały mu już tylko naboje z drobnym śrutem. Załadował dubeltówkę. Przecznice dalej zatrzymał się samochód, oświetlił go blaskiem reflektorów. Zdumiony kierowca zareagował z opóźnieniem, ale w końcu wrzucił wsteczny i uciekł. Ray złożył dubeltówkę. Szedł ulicą, oglądał się na bar, choć nie spodziewał się zobaczyć Toma, ale nie zostawiał niczego przypadkowi.

Nie spodziewał się, że mu się uda, samo to, że przeżył, było dla niego czymś dziwnym, czymś cudownym. Oddalał się od baru z dubeltówką w gotowości. Nie miał planu innego, niż ruszyć na północ, do Las Cruces, do Mema, do jego biura, w którym przyjął pierwsze zlecenie.

□□□

Byli za daleko i Kelly doskonale o tym wiedziała. Pierce siedział cicho dobre pięć minut, a potem odezwał się przez radio. Straszliwie spanikowany opisywał, co widzi na ulicy tuż przed sobą.

– Powtórz! – poleciła mu Kelly. Od świateł Coronado dzieliły ich zaledwie minuty.

– Idzie ulicą, jak gdyby nigdy nic!

– Kto?!

– Facet ze strzelbą!

– Zostań, gdzie jesteś, Pierce! – poleciła Kelly. – Nie ruszaj się z miejsca, zostań, gdzie jesteś.

Siedzący obok niej Hastings wyjął z uchwytu mossberga kaliber dwanaście. Ładował go, nabój po naboju.

Noc przemykała za oknami radiowozu. Przed nimi czekało Coronado, a ona nie mogła być tam, gdzie w tej chwili koniecznie powinna być.

– Odchodzi i zaraz zniknie. – Głos Pierce'a cichł, jakby dobiegał teraz z większej odległości. Jakby Pierce się spieszył.

A potem radio umilkło, chociaż Kelly raz za razem wzywała zastępcę po nazwisku.

□□□

Głos zaskoczył Raya w pół kroku. Odwracał głowę powoli, aż w jego polu widzenia pojawił się młody zastępca szeryfa mierzący do niego z broni służbowej. Otwarte drzwi radiowozu służyły

mu jako swego rodzaju osłona, a dubeltówka na tę odległość była całkowicie bezużyteczna. Może i chłopak dostałby śruciną, ale najprawdopodobniej drobny śrut ugrzązłby po prostu w metalu.

Zastępca szeryfa wzywał go do rzucenia strzelby.

Ray wiedział tylko, że chce się stąd wydostać, wydostać z miasteczka, uciec jak najdalej. Tamten ciągle wrzeszczał. Ray pochylił się, przykucnął tak nisko, że mógł delikatnie położyć dubeltówkę na asfalcie. Dał dowód koncertowej głupoty, myśląc, że zdoła wydostać się z Coronado żywy. Podniósł rękę. W jednej z nich trzymał czterdziestkępiątkę Daria.

Huk strzału odbił się echem w cichej uliczce. Ray opuścił głowę. Z jego boku sączyła się krew, przeinaczając koszulę. Zastępca szeryfa ciągle w niego mierzył, na jego twarzy malowały się szok i zdumienie.

Ray przyłożył dłoń do rany. Poczuł ciepłą krew. Przyklęknął na jedno kolano. Pojawił się ból, wyznaczał ścieżkę kuli w skórze.

Nie spuszczać wzroku z chłopaka, Ray uniósł czterdziestkępiątkę. Strzelił trzykrotnie, mierząc pod radiowozem, w taki sposób, by trafić go w stopy. Raz mu się udało, zastępca szeryfa krzyknął głośno i upadł.

To obudziło go do życia. Wyprostował się, pokuśtykał przed siebie. Ciepła krew spływała mu już do dzinsów, mierzył w chłopaka, a drugą ręką przyciskał ranę. Poszarpane mięśnie ocierały się o siebie przy każdym ruchu, jakby szlifowano je papierem ściernym.

Na strzelbę nie było czasu. W Rayu nie pozostało nic więcej, tylko pragnienie, czyste jak nic w całym dotychczasowym życiu... pragnienie ucieczki.

Kiedy się zbliżał, zastępca szeryfa uniósł lufę służbowego pistoletu. Ray postrzelił go w ramię, wytrącił mu broń z ręki, podszedł i stanął nad chłopakiem oddychającym z trudem, ciężko i chrapliwie, z twarzą skrzywioną od bólu.

Ray pochylił się. Uderzył go w skroń kolbą czterdziestki i pięćki akurat tak mocno, by pozbawić go przytomności.



Tom rozmawiał przez telefon z sanitariuszami, kiedy na ulicy rozległ się pojedynczy strzał. Tollville, który klęczał przy Dariu i przyciskał chusteczkę do jego rany, uniósł głowę. Biała chusteczka w jego ręku poczerwieniała od świeżej krwi, lśniła wilgocią w słabym świetle kantorka.

Dario już dawno stracił przytomność. Agent, zaciskający dłonie na ranie, podniósł wzrok i spojrzął na Toma.

– Wiesz, że nie mogę go tak zostawić. – Zabrzmiało to, jakby Tollville się tłumaczył. – Nie mogę go zostawić tak po prostu.

Tom nie powiedział mu nic o Rayu. Jakżeby mógł? Z każdą spędzoną tu minutą, każdą minutą, podczas której zachowywał milczenie, czuł, jak pogrąża się coraz głębiej w króliczej norze, którą sam sobie wykopał. Za wiele trzeba by było wyjaśniać, mógł tylko żywić rosnącą z każdą sekundą nadzieję, że jakoś uda mu się z niej wydostać.

Rozległy się jeszcze trzy strzały, równie donośne jak pierwszy, ale następujące szybko po sobie. Tollville wpatrywał się w niego z napięciem, Tom nie mógł już tego znieść. Wypadł z kantorka, przebiegł przez bar. Nie miał żadnego planu, chciał tylko znaleźć się daleko stąd, jak najdalej od agenta specjalnego i smrodu krwi.

To, co zobaczył, było gorsze, niż się spodziewał. Szedł coraz szybciej, a potem zaczął biec ulicą w stronę oddalających się na północ tylnych świateł radiowozu. Na ulicy leżał człowiek, miał nadzieję, że to nie Ray, a równocześnie wiedział, że to Pierce.

Chłopak leży na ulicy, a obok niego, na asfalcie, jego broń. Do stał postrzał w stopę i w mięśnie ramienia. Leży sztywny na ulicy, Toma przeszywa strach, bo może Pierce już nie żyje? Strach i poczucie winy oblewające go jak woda, od stóp do głów.

Przyklął. Wyczuł powolny oddech. Pręga na twarzy Pierce'a właśnie zaczynała puchnąć; Tom nie miał wątpliwości, że Ray go tu uderzył. Dwie rany postrzałowe, ale można mieć nadzieję, że niegroźne dla życia.

W perspektywie ulicy tylne światła radiowozu widać już było wyłącznie jako bardzo dalekie migające kropki. Tom obejrzał się na bar i dalej, na drogę wiodącą w stronę Meksyku i wszystkie miejscowości na szlaku. Zauważył zbliżające się niebieskie i czerwone światełka. Kelly.

Za minutę, nie dłużej, będzie przy nim. Zacznie zadawać pytania, na które nie znał odpowiedzi. Tak więc zostawił Pierce'a leżącego na ulicy, żeby to ona się nim zajęła. Nie będzie na nią długo czekał, a on tymczasem ruszy w pościg za tymi oddalającymi się od Coronado światłami, ma w ręku kluczyki do samochodu Luisa, za to nie ma pojęcia, co może się zdarzyć.

□□□

Kelly zatrzymała radiowóz tuż przy barze. Półciężarówka bez tablic rejestracyjnych tylnymi kołami stoi jeszcze na ulicy, ale maska i kabina przebiły ścianę i zatrzymały się w środku.

Przyglądała się tej scenie zaledwie chwilę. Hastings wysiadł z samochodu, stanął oświetlony silnymi światłami, zatrzasnął drzwi. Kelly szukała wzrokiem radiowozu Pierce'a. Ani śladu migających świateł w linii zaparkowanych przy Main Street samochodów, a Pierce nie odpowiada na wezwanie radiowe.

Przed nimi, zza rogu, wyjechała karetka; na tym skrzyżowaniu skręcało się w ulicę prowadzącą do szpitala. Wycie syren rozdarło ciszę ulicy.

Oslaniając oczy przed silnym czerwonym i białym światłem, Kelly wyciągnęła rękę do konsoli między siedzeniami kierowcy i pasażera. Wzywała zastępcę przez radio, powtarzała jego nazwisko, przechodziła na odbiór.

Dopiero kiedy karetka zatrzymała się kilkadziesiąt metrów przed nimi z mocno skręconymi kołami, Kelly zobaczyła ciemny kształt leżący na ulicy.

□□□

Ray przekroczył sto dwadzieścia, wskaźnik prędkościomierza przesuwał się w górę, doszedł do stu czterdziestu, bynajmniej na tym nie poprzestał. Wokół niego nie było nic, tylko pustka pustyni, za plecami światła Coronado, straszny ból w boku, tam gdzie ugodziła go kula. Koszula przemoczona krwią, na czoło występuje pot.

Nadal przyspieszał.

Po czterdziestu pięciu minutach znalazł się na drodze między-
stanowej. Jeśli nie straci przytomności, nie wyląduje w rowie, następne będzie Deming. Tam porzuci samochód, znajdzie spokojne miejsce, podkuruje się trochę, po czym ruszy do Las Cruces. Polowanie na Daria było nierozważną decyzją, teraz to widział. Ale to nie facet z kartelu go postrzelił, tylko byle zastępca szeryfa, o połowę od niego młodszy. Było to jakoś pocieszające, pozwalało znieść ból w boku, napływający falą za każdym razem, gdy poruszył się na siedzeniu.

Przyjrzał się sobie w słabym świetle wnętrza radiowozu, zobaczył obszarpaną dziurę w miejscu, w którym kula rozdarła koszulę. Wolną ręką podniósł materiał, spojrzął na ranę. Oślizgła plama krwi na skórze, jak cienka warstwa jakiegoś ciemnego syropu.

Wyglądał fatalnie. W tym stanie nie oszuka żadnego recepcjonisty w motelu. Zakrwawiona koszula. Zapach prochu i potu, zapach morderstwa. Niewielkie ma szanse, żeby dotrzeć do między-
stanowej w skradzionym radiowozie hrabstwa, wyprzedzającym szaleńczo zwykłe samochody i długie wieloosiowe ciężarówki kierujące się na północ.

Nie miał wyjścia, musiał jechać dalej przed siebie. Radiowóz z potężnym silnikiem prowadziło się gładko, budził poczucie zaufania. Ray miał nadzieję, że zastępca szeryfa przeżyje. To wciąż dzieciak, świeżo po college'u. Za młody na coś takiego, na cały ten burdel.

Zjechał na lewy pas, wyprzedził kolejną wielką ciężarówkę. Omal nie zahaczył nadjeżdżającego z przeciwka samochodu. Szarpnął kierownicą, uniknął zderzenia, usłyszał pisk hamulców pneumatycznych ciężarówki. Jezu – pomyślał – skup się. Ciągle

masz szansę. Jeszcze tylko trzy kwadransy i wszystko to będzie za tobą.

□□□

Kiedy Kelly dotarła do Pierce'a, jego skóra wydawała się krucho i łamliwa jak woskowany papier. Oddychał płytko, z trudem. Ulica zalana była krwią. Ale sanitariusze powiedzieli, że w barze jest ktoś z potencjalnie śmiertelną raną szyi, założyli Pierce'owi opatrunek i odbiegli, zostawiając go z Kelly.

Uklękła przy nim. Przycisnęła opatrunek do rany na ramieniu. Robiła wszystko, by przywrócić mu przytomność. Hastings najpierw pobiegł za nią, ale zaraz zawrócił do radiowozu; zamierzał podprowadzić go, żeby mogli położyć Pierce'a na tylnym siedzeniu i odwieźć do szpitala.

Przygotowano ich na tego rodzaju wypadki, przeszli odpowiednie szkolenie, ale jakoś nic z niego nie pamiętał. Kelly podniosła głos, uświadomiła sobie nagle, że chce przywrócić Pierce'owi przytomność krzykiem. Jej głos niósł się ulicą, ale nikogo na niej nie było.

Oszołomiona, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, bezmyślnie zaczęła ciągnąć chłopaka w stronę szpitala. Paskudna rana od uderzenia na skroni, postrzały w ramię i stopę, buty wlokące się po asfalcie.

Gdzie jest Tom? Gdzie Tollville? Nikogo na ulicy, tylko ona wlokąca chłopaka trzymanego pod ramionami. Mięśnie już zaczynały ją boleć. Przy jej boku pojawił się Tollville, powtarzał, żeby przestała, dała sobie spokój, położyła chłopaka, bo już jedzie druga karetka. Zdążył skontaktować się ze stanową drogówką. Poprosił o blokadę.

□□□

Sto sześćdziesiąt na godzinę, krwawienie nie ustaje. Ray przyłożył dłoń płasko do żeber, nacisnął, poczuł nagłą falę bólu, zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Nie wiedział, czy da radę. Postrzelony tylko nieco powyżej brzucha. Cały zakrwawiony. Prowadzący skradziony wóz policyjny w stronę jednego z większych miast południowego zachodu. Najzwyczajniej w świecie nie rozumiał, jak to jest możliwe.

Przed nim pojawił się czerwony i niebieski poblask, wiedział, że to radiowóz policji stanowej przekraczający grzbiet wzgórza jakieś piętnaście kilometrów dalej. Szosa prowadziła w góry Hermanos, nie było innej, policja stanowa za kilka minut ustawi blokadę, odetnie mu drogę na północ.

Droga do domu ojca odchodziła w bok za niecałe dwieście metrów. Ray zdjął nogę z gazu. Zjechał z szosy z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów. Tylne koła radiowozu zabuksowały na żwirze, w reflektorach pojawiła się pustynia. Rzuciło go na drzwi, ból był nie do zniesienia.

Wyprostował się. Jechał dalej.



Tom, jadący za radiowozem, omal nie przegapił błysku światła stopu. Nie miał pojęcia, ile wyciągnie ze starego silnika, pickup ojca cały wibrował, wiatr kołysał nim, gwizdał w lusterkach. Przez pięć minut nie był w stanie choćby zbliżyć się do radiowozu. Zaledwie dostrzegł światła stopu. A potem nie było już nic.

Zwolnił. Opuścił szybę. Dojechał do miejsca, w którym radiowóz zjechał z szosy. Chłodny wiatr, księżyc w pełni, to pojawiający się, to znikający za czarnymi chmurami.

Niczego nie było tu, na tej równinie, oprócz niewyraźnego zarysu krzaków, a dalej – ciemność.

Jechał dalej powoli, nie chciał niczego przeoczyć. Wokół wszechobecna czerń pustyni i to uczucie oszalamiającej samotności, stracił Raya, uciekł przed Kelly. Nie mógł zrobić nic innego,

niż jechać przed siebie z nadzieją, że jednak wszystko się jakoś ułoży.

W skrytce na desce rozdzielczej znalazł latarkę. Wyciągnął ją, przesunął promieniem światła przez krzaki uboczki i dumosy rosnące po obu stronach drogi. Gdzieś daleko na południu ciemność nocy rozerwał błysk światła, a kilka sekund później rozległ się grzmot.

Tom dojechał do rozjazdu. Doskonale wiedział, gdzie jest i gdzie się podział radiowóz. Zjechał z szosy, pod oponami poczuł nie beton, lecz ziemię. Do rancza Lamarów było stąd niedaleko.



Powietrze smakowało metalicznie, krwią. Kelly przeszła przez maskę półciężarówki. Weszła do tego, co kiedyś było barem. W jednej wyciągniętej ręce trzymała pistolet, druga sięgnęła do paska, odpięła latarkę i zapaliła ją.

W środku panował kompletny chaos, przewrócone krzesła i stoły, zniszczone, postrzelane ściany, na podłodze stłuczone szkło i drzazgi, odpryski drewna.

Za plecami usłyszała zgrzyt gruzu pod butami Tollville'a podchodzącego do półciężarówki. W ciszy baru brzmiał on niezwykle głośno. W powietrzu ciągle unosiła się mgiełka drobnego pyłu. Pierce trafił już do szpitala, Hastings pojechał na północ i dołączył do stanowych przy blokadzie. Teraz, kiedy wszystko już się skończyło, przed barem zgromadził się tłumek miejscowych, ciekawych nowin ze środka.

Tollville podszedł do niej. Ruchem ręki zaprosił ją do współpracy. Obeszli bar, idąc w przeciwnych kierunkach. Kelly rozpoznała Medinę leżącego na podłodze z otwartymi oczami.

Twarz miał skąpaną we krwi.

– Byłam tu – powiedziała Kelly. – Rozmawiałam z Dariem zaledwie kilka godzin temu. Rozpoznaję wszystkich tych ludzi.

– Niektórych ja też rozpoznałem – powiedział agent, oglądając głębokie rysy pozostawione przez śruciny na ścianach. – Moim

zdaniem możemy już oficjalnie ogłosić, że śledztwo przejmuje agencja federalna. DEA wysyła helikopter. Startujemy najszybciej, jak się da.

Kelly rozejrzała się po barze. Wróciła drogą, którą szła, butem odwracając ciało tak, by widzieć twarz.

– Spokojnie – poradził jej Tollville.

– Rozpoznaję wszystkich tych ludzi – powtórzyła Kelly.

Nie podniosła wzroku, nie spojrzała agentowi w oczy, tylko stała, wpatrując się w leżącego najbliżej martwego mężczyznę.

Meksykanin, jak oni wszyscy. Zdumiewało ją, że zaledwie trzy dni po tym, jak wszystko się zaczęło, czuje się tak zwyczajnie, niemal normalnie w sali pełnej trupów.

□□□

Podjeżdżając do rancza, Tom zgasił światła samochodu. Prowadził wąską gruntową drogą we wszechobecnym bladoniebieskim poblasku promieni księżyca. Krzaki i słupy ogrodzenia dodatkowo je przyciemniały, czyniąc je obcymi, niemal upiornymi.

Przejechał przez pręty zapobiegające ucieczce bydła. Zatrzymał się za radiowozem z biura szeryfa. Ani śladu Raya. Światło w domu, z mroku wyłaniają się ledwie widoczne pnie wielkich dębów w dolinie.

Wyłączył silnik. Noc napłynęła do niego z ciemności milionem różnych dźwięków, tykaniem stygnącego silnika, brzęczeniem owadów, szum wiatru w rosnących w pobliżu krzakach. Wyjął ze schowka latarkę, znów ją zapalił. Stuknął nią w otwartą dłoń.

Daleko na drodze wydłużała się kolejka samochodów podjeżdżających do policyjnej blokady. Przejechał jeden radiowóz, to Kelly, a może Hastings mknął na północ, ku światłom. Tom prowadził go wzrokiem. W porzuconym radiowozie było oczywiście radio, ale nie miał zamiaru kontaktować się z kimkolwiek, póki nie znajdzie Raya. Zauważył czerwoną plamę lepkiej krwi na siedzeniu kierowcy, mocniej ścisnął baby eagle'a w rękę.

Nie wiedział, co z Pierce'em, czy młody zastępca szeryfa w ogóle żyje. Ciekawe, czy Kelly albo Hastings szukają teraz jego, próbują go wytropić. Wszystko, co wypracował sobie przez ostatnie dziesięć lat, mozolnie odbudowywana wiarygodność w mieście takiej jak Coronado będzie niewarta funta kłaków, jeśli dowiedzą się, że przez cały czas pomagał Rayowi.

Jeśli chodzi o śmierć Gusa, Tom nie mógł nic zrobić. Może ci ludzie tam, w barze, prosili się o to, co ich spotkało. Być może zasłużyli na zemstę Raya, ale teraz, patrząc na skradziony radiowóz, na krew na siedzeniu, pomyślał, że Pierce na nic sobie nie zasłużył.

Powoli wspiał się na ganek. Wokół ciemność, tylko światło lampy bije z wnętrza domu przez siatkowe drzwi. Słaby wiatr owiewa plecy, przesuwa się od świata za drzwiami przez same drzwi do wnętrza domu, na którego progu stoi Tom. W ciemności brzęczą dzwoneczki wiatrowe, skrzypią zawiasy siatkowych drzwi, dreszcz strachu przebiega wzdłuż kręgosłupa Toma, drzwi postukują cicho o futrynę. Nad pustynią wisi echo grzmotu i wszechobecny zapach mokrych kamieni nadchodzącego z południa deszczu.

Przeszedł ganek, noga za nogą. Zatrzymał się tuż przy siatkowych drzwiach, spojrzął w głąb pokoju dziennego, gdzie czekał na niego ojciec, a Billy siedział w przeciwległym kącie, gapiąc się na trzynastocalowy, czarno-biały telewizor.

– Tu go nie ma – powiedział Luis.

Tom wszedł do środka. Skinął głową Billy'emu siedzącemu bardzo blisko plamy krwi na ścianie. Luis, a może ktoś inny, przykrył prześcieradłem fotel, na którym zmarł Gus.

– Ray postrzelił zastępcę szeryfa. – Tom uważnie obserwował ojca. Chciał się zorientować, czy wiedział o tym wcześniej, czy też dowiedział się od niego.

– Mniej więcej tego się domyśliłem – powiedział Luis.

Wstał z fotela, podszedł do okna. Teraz obaj mogli przez nie wyglądać, obserwować zaparkowany radiowóz. – Twój kuzyn nie

zamierzał pogodzić się z tym, co się stało, o czym sam pewnie wiedział od początku. Równie dobrze jak ja.

– Pozwoliłeś mu pojechać do miasta? – zdziwił się Tom. Zniżył głos. – Wiedząc, co zamierza zrobić?

– O niczym nie wiedziałem – zaprotestował Luis. – Wolałem założyć, że wszystko będzie dobrze. Jak ty. Ale nawet jeśli założysz, że będzie dobrze, to nie zawsze tak musi być, prawda?

– Nie ma go tu?

– Był wystarczająco długo, żeby zabrać swoją strzelbę i przeżyć ranę. Zajęło mu to może pięć minut. Nie powiedział wiele, właściwie tylko tyle, że powinniśmy spodziewać się ciebie i być może nie tylko ciebie. Pożegnał się ze mną, z Billym, a potem znikł.

– Gdzie dostał?

– W bok. Koszulę miał całą we krwi. Nie potrafię powiedzieć, czy to coś poważnego, ale kiedy już wyszedł z łazienki, zachowywał się i mówił tak, jakby nie zamierzał wrócić.

Tom sprawdził każdy pokój z osobna w bladym świetle lampy, które widział, jeszcze stojąc przed domem, zmieszany z odbłaskiem rzucanym przez telewizor i łazienkowym kinkietem. Nie znalazł nic oprócz napoczętej rolki plastra, wielkiego pudła gazy i śladów jodiny na podłodze w łazience.

□□□

Kelly zostawiła Tollville'a w środku, a sama wyszła przed zniszczony budynek. Stała na parkingu z tyłu baru, hałas tłumu gapiów przed wejściem od ulicy docierał do niej jako stłumiony szum. Wyjęła radio z pasa, zwolniła przycisk.

Zgłosił się Hastings. Zdała mu relację z tego, co znaleźli.

– Trudno to wyjaśnić – powiedział Hastings. – Nikt z tych przysłanych ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, z kim mamy do czynienia.

– Co wiedzą?

– To, co wyciągnęliśmy z Pierce'a, nim straciliśmy z nim kontakt.

– Powiedziałeś im, że człowiek, którego szukamy, ma broń? Długą?

– Powtarzałem to kilka razy – zapewnił ją zastępca. – Co z granicą z Meksykiem?

– Tollville kontaktował się już ze strażą graniczną i z meksykańskimi władzami.

– Złapiemy go – powiedział z przekonaniem.

– Nic nie wiemy o tym facecie – zauważyła Kelly. – A granica jest zaledwie piętnaście kilometrów stąd. Jeśli pochodzi z południa, już mógł ją przekroczyć. I zniknąć.

Przez chwilę w eterze panowała cisza, po czym znów odezwał się Hastings.

– Powiedzieli mi właśnie, że wyślą ci na pomoc dwa radiowozy. Poprowadzę je do baru. – W radiu jego głos wydawał się daleki, zimny. – Edna? – dodał po króciutkiej chwili wahania. – Może wiesz, co z Pierce'em?

– Jest operowany. Jeszcze przez jakiś czas niczego nowego się nie dowiemy.

– A Dario?

– To samo. Więcej nie mogę ci powiedzieć.

– Mam nadzieję, że złapiemy tego faceta. – Hastings mówił ciszey, głosy policjantów w radiu też przycichły. Kelly zrozumiała, że odszedł kawałek na bok i mówi do niej z miejsca, w którym nikt go nie podsłucha.

– Wiem. – I powtórzyła: – Wiem.

Na tym skończyli rozmowę. Kelly powiedziała mu jeszcze, że DEA wysyła helikopter po Tollville'a, że polecą oboje, poświęcą trochę po okolicy, ale nadzieja znalezienia czegoś w nocy jest bardzo niewielka.

Tom stał przed domem, rozglądał się po gospodarstwie Gusa. Nie zauważył niczego szczególnego. Przeszedł do stodoły; okazało się, że jeden z końskich boksów jest pusty. Nawet jeśli Ray tu był, to teraz już go nie było. Tom wyszedł ze stodoły i zaczął szukać śladów na twardym, udeptanym piasku. Ojciec nie udzielił mu żadnej konkretnej informacji oprócz jednej, że Ray wyszedł z domu i poszedł do stajni.

Pracował szybko i już po pięciu minutach znalazł ślady podków. Trop wiódł na północ, w głąb doliny, tam gdzie dawniej stały cysterny Lamarów, a może i dalej, do Deming. Luis przyglądał mu się z ganku.

Tom pomyślał o Claire, o tym, że jest dla niego chyba bardziej rodziną niż jego własny ojciec. Zostali mu Luis i Billy. Tylko Gus był naprawdę jak ojciec, i dla niego, i dla Billy'ego, ale Luis bardzo się teraz starał go zastąpić, bo wiedział, że musi. Dla Billy'ego.

Tom nie miał żadnych wątpliwości: Ray nie wróci. Pojechał na północ, im da spokój. Jakikolwiek miał plan, prowadzić mógł on wyłącznie do nieszczęścia, jak w barze w Coronado. I znów będą ofiary.

Tom stał w wielkiej plamie zimnego niebieskiego światła, nad jego głową księżyc w pełni świecił tak jasno, że ślady kopyt widać było na dobre trzy metry.

– Zostaw go – odezwał się z ganku Luis. – On odszedł. Już nie wróci.

Tom nie odpowiedział ojcu. Przyklęknął. Wpatrywał się w ślady podków, ich krawędzie powoli rozwiewał wiatr. Ray odjechał krótkim galopem. Tom nie miał pojęcia, co robić. Przed nim rozciągała się wielka kraina: płaska aż do cystern i gór. Dalej teren stawał się coraz trudniejszy i coraz bardziej stromy, przejezdny tylko konno.

Wrócił do stajni poszukać siodła.

□□□

Kelly weszła do biura szeryfa. Zamknęła za sobą drzwi. Paliły się wszystkie górne światła. Pokój wydał się jej obcy teraz, nocą, z pięcioma biurkami nadal stojącymi w rzędach, jak w czasach, gdy były pieniądze dla siedzących za nimi zastępców. Hastings został w barze ze stanowymi, więc w biurze nie było nikogo, choć miała nadzieję, że zobaczy Toma z nogami na blacie jednego z biurek, czekającego, żeby z nią pogadać, jak tego pierwszego dnia, pod szpitalem.

Zajrzała do swojego pokoiku. Metal szczęknął o metal, aż podskoczyła ze strachu, ale zza biurka wyjrzała Jeanie i zmierzyła ją psim spojrzeniem.

– Hej – powiedziała Kelly, pochylając się i wyciągając do niej rękę. – Gdzie się podział twój pan? – Pies tylko się jej przyglądał. – Nie chce cię chyba oddać, co?

Zostawiła psa u siebie, usiadła za biurkiem Pierce'a. Podparła głowę dłońmi, odetchnęła trzy razy szybko, a potem wstrzymała oddech. Czuła płomień głęboko w płucach.

Podniosła słuchawkę telefonu. Zadzwoiła do szpitala, przyglądając się leżącej na podłodze Jeanie. Lekarz opisał jej stan Pierce'a, ale właściwie nie miał nic do powiedzenia. O Daria nawet nie spytał. Ten typ nic jej nie obchodził. Nie jej zmartwienie.

Siedziała tak dość długo. Pragnęła wyrwać gniazdko telefonu ze ściany, cisnąć aparatem o podłogę, deptać go, aż pozostanie po nim tylko kabel wśród okruchów plastiku.

Usłyszała klekot łopat wirnika helikoptera, to DEA nadleciała znad pustyni. Tollville już jej pewnie szukał, wkrótce będą w powietrzu. Może coś się uda wypatrzyć z góry. Powiedział, że Tom był z nim w barze, że założył nawet kamizelkę kuloodporną z biura szeryfa i że chętnie służył pomocą. Miała o czym myśleć. Rozejrzała się, szukając wzrokiem jakiegoś śladu, przecież zaledwie godzinę temu byli tu i on, i Tollville, i nawet Pierce.

Słyszała krążący nad miasteczkiem helikopter, za oknem przesunął się promień reflektora punktowego. I chociaż Kelly wiedziała, że wejdzie na jego pokład, jeszcze nie była na to gotowa. Podniosła słuchawkę telefonu, wybrała dobrze znany numer.

Odczekała pięć, może sześć sygnałów. Automat ruszył z kliknięciem, rozległ się nagrany głos Toma, czekała na sygnał, ale w ostatniej chwili odłożyła słuchawkę.

Zobaczyła na parkingu Tollville'a; oświetlał go snop światła rzucany przez reflektor helikoptera, niewyraźny w wirującej chmurze pyłu. Agent DEA szedł w stronę biura. Przypomniała sobie wtedy ludzi stojących przed barem i twarze, które widziała w tłumie. Gdy Tollville znalazł się w środku, usłyszała głos z automatycznej sekretarki Claire. Podszedł do jej biurka.

Podniosła rękę, uciszyła go, wezwała Hastingsa przez radio i poprosiła, by spytał Claire, czy widziała Toma.

Hastings odezwał się po chwili. Claire nie wiedziała, co z Tomem, ale mogła zidentyfikować samochód, który staranował ścianę baru i wjechał do środka. Widziała go wcześniej tego dnia, należał do Gusa Lamara.

Dzień czwarty

Tom jechał przez pustynię na kasztanowatej klaczy. Północ minęła przed zaledwie kilkoma minutami, księżyc zawisł w najwyższym punkcie swej wędrówki po niebie.

W pewnym momencie tej jazdy zmieniło się światło z niebieskawego na zupełny brak światła pod tym, co pozostało z chmur. Tom stracił trop, a potem go odnalazł. Tu i tam sterczały kolczaste palce ocotillo, mroczną dolinę porastały kruche krzaczki wszechobecne jak piasek. Po chwili zobaczył je wyraźnie, dwa gładkie ślady opon wyciśnięte w piasku, pozostałe z istniejącej tu przed laty drogi na północ, a także ślady kopyt.

Właściwie sam nie wiedział, na co ma nadzieję. Ray postrzelił policjanta, zabił ponad dziesięć osób i nadal cieszył się wolnością. Tom jako dawny glina nie był w stanie tego zaakceptować. Z drugiej strony Ray był jego kuzynem, zaledwie miesiąc od niego starszym, byli kiedyś jak bracia bliźniacy, dorastali razem i bardzo długo myśleli, że Coronado na zawsze pozostanie ich domem. Teraz, jadąc na północ, Tom właściwie nie wiedział, co czuje.

Stara droga wiedzie przed siebie, potem opada krótko tam, gdzie pasmo Hermanos dochodzi do samej pustyni, a dalej wspina się na szereg wzgórz w niekończącym się ich łańcuchu, wzgórz porośniętych piniami i akacjami. Jeszcze dalej jest cienka warstewka śniegu, tam gdzie deszczowe chmury wczorajszej nocy zderzyły się ze szczytami.

Widział zające; stawały słupka, a potem błyskawicznie uciekały w pustynię. Zaskakiwał ptaki, śpiące pod krzakami uboczki, wysyłał je w nocne powietrze, w którym krążyły, czekając, aż oddali się niebezpieczeństwo. Za plecami miał pustynię, pasma niebieskawych wzgórz i gdzieś, daleko, ledwie dostrzegalne mżenie

świateł blokady drogowej, rząd samochodów jak cenne klejnoty rozrzucone wzdłuż szosy.

Na niebie nie było już ani jednej chmury, gdy przed sobą dostrzegł zardzewiały blaszany dach szopy nafciarzy, stojącej w głuszy pustyni. Budynek miał tylko jedno pomieszczenie z wyłamanymi oknami, stare deski ścian wydawały się od zewnątrz zniszczone, spetryfikowane przez pustynne słońce. Kiedyś było to bardzo pożądane schronienie dla ojca i ludzi, z którymi pracował. Tom przypomniał sobie czasy dzieciństwa, jeździł z Rayem na północ, na pustynię, dowozili posiłki z kuchni robotnikom na polu naftowym. Podczas jazdy wyszukiwali węzowych wylinek, pozostałych na skałkach i krzakach. Robili sobie z tego zabawę, ganiali się jak szaleni, wznosząc kłęby kurzu. Droga z tamtych czasów znikła, pozostały po niej tylko dwa równoległe ślady opon, miejscami szerokie zaledwie na ćwierć metra, a czasami całkowicie znikające.

Sto metrów od jednopokojowego budynku Tom ześlizgnął się z końskiego grzbietu i podszedł do najbliższego okna. Przed sobą miał resztki czegoś, co było niegdyś wieżą wiertniczą, została po niej wyłącznie ruina, zwalone na ziemię zardzewiałe rusztowanie. Księżyc świecił za jego plecami, przed sobą miał więc własny cień, czarną sylwetkę prześlizgującą się po krzakach i piasku na chwilę przed tym, nim sam przez nie przeszedł.

Szedł, mierząc w budę z pistoletu, zostawiając za sobą drogę, którą tu dojechał. Zajrzał do środka. Nie zobaczył nic oprócz mroku, ciemnych kątów i połamanych desek podłogi pokrytych ulotnym, gromadzącym się tam przez lata kurzem. Nie zobaczył Raya. Nie zobaczył konia. Nie zobaczył żadnego śladu mogącego świadczyć o tym, że postąpiła tu stopa jego kuzyna.

Obejrzał się za siebie, na trakt, którym przyjechał. Koń przywiązany do krzaków szaławii, a poza tym nic. Pusto.

Zaledwie dwadzieścia kroków dalej stała pompa, korzystał z niej kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem, teraz pokrywały ją oblażące płyty rdzy. Przykląkł przy niej, zbadał grunt. Droga kończyła się tu nie nagle, ale stopniowo, pustynia pożerała ją metr po me-

trze. Zauważył ślady butów Raya na piasku, obchodził pompę, potrzebował wody. Tom też spróbował; na dłoniach pozostały mu płatki rdzy i pamięć dotyku czegoś chłodnego, łamliwego, metal został przeżarty rdzą do tego stopnia, że czepiał się jego dłoni jak łuski.

Przez chwilę Tom stał nieruchomo. Porządkował myśli. W pobliżu były wzgórza wyrastające na trzysta metrów wprost z pustyni, spiętrzenie nagich skał, gęsto rosnące sosny i jałowce. To oznaczało stromą wspinaczkę, ale też milion różnych kryjówek. Koniec drogi, koński trop prowadzący w górę, przekraczający pasmo, a następnie zapewne biegnący w dół, do leżących po jego drugiej stronie miasteczek i miast.

Tom wrócił do konia. Odwiązał go, wskoczył na siodło, ruszył przed siebie. Po najwyższej trzydziestu metrach, kiedy przejeżdżał przez grupę skałek, nagle gwizdnęła kula, wbiła się w piach może metr od niego. Koń spłoszył się, rzucił w bok. Huk wystrzału rozległ się gdzieś wyżej na zboczu.

Następna kula przeleciała tuż nad końskim łbem, klacz spłoszyła się, wspięła, przebierała w powietrzu przednimi kopytami. Tom próbował utrzymać się na jej grzbiecie, kurczowo ścisnął wodze, ale pozbawiony oparcia spadł; ogarnęło go uczucie nagłego przerażenia, a po chwili twardo zwałił się na ziemię.

Podniósł głowę. Na policzku miał warstwę drobnego pustynnego osadu, w rękę trzymał broń, rozglądał się nerwowo od kamienia do kamienia, od skałki do skałki. Szukał czegoś, czegokolwiek, co dawałoby choćby pozór osłony. Kasztanowata klacz, na której tu dojechał, była już daleko, huknął kolejny strzał, koń skoczył i jeszcze przyspieszył, szybkim galopem wracał, skąd przybył.

Tom nie dostrzegł żadnego ruchu na wzgórzu. Obejrzał się na szopę, a potem znów spojrział na zbocze. Nadal nic. Cokolwiek zrobię, już po mnie – pomyślał. Pył ciągle lepił mu się do twarzy. Na czoło wystąpił pot. Wstał i pobiegł na wzgórze, żeby ukryć się wśród akacji. Przed sobą miał zielone czuby piniowego zagajnika.

Kula uderzyła metr od niego, sypiąc wokół piaskiem. Tom poślizgnął się, zatrzymał, odwrócił w poszukiwaniu osłony. Skoczył za duży głaz, był w połowie stoku, kiedy kolejna kula trafiła w ziemię dokładnie w miejscu, w którym stał przed chwilą, odłupała kawałek kamienia, a echo rykoszetu poniosło się w dolinę.



Kelly klęczała w pokoju Gusa. Przyglądała się niemal już zaschniętej kałuży krwi pod fotelem, szkarłatnym bryzgom na ścianie, wgnieceniu po kuli w futrynie drzwi. Po przeciwnej stronie pokoju Luis czeka, aż Kelly coś powie, trzyma dłoń na ramieniu chłopca, nie pozwala mu odejść. Chłopiec ma na sobie piżamę, patrzy to na Kelly, to na Tollville'a, to przez cały pokój na telewizor, w którym leci stary film z wyłączonym dźwiękiem.

Tollville stał blisko chłopca, koło drzwi, przyglądał się przez siatkę białemu helikopterowi DEA. Było piętnaście po pierwszej w nocy. Przylecieli doliną z włączonym reflektorem do poszukiwań nocnych, najpierw prowadził ich pilot, a potem już Kelly sama powiedziała, w którym miejscu mają skręcić na zachód.

Radiowóz Pierce'a stał sobie spokojnie pod domem, jakby kierowca zaparkował go tu na noc, i wyglądał jak na policyjnym parkingu. Z jedną różnicą – w siedzenie kierowcy wsiąkło mnóstwo krwi.

– Powinieneś nas wezwać – powiedziała z wyrzutem Kelly, odwracając się do Luisa. Było chyba z milion różnych rzeczy, które chciała mu zakomunikować, ale żadna z nich nie pasowała do tej sytuacji. Kilka dni temu siedzieli w barze przy jednym stoliku, popijali piwo; przez te ostatnie kilka dni było tak, jakby wstrzyknięto jej coś głęboko pod skórę, jakąś substancję twardniejącą niczym zaprawa na ceglach, uniemożliwiająca jej powiedzenie tych wszystkich rzeczy, które normalnie powiedziałyby w takiej chwili. – Twierdzisz, że to krew Gusa?

Luis skinął głową. Patrzył na Tollville'a. Agent patrzył na niego.

– A krew w łazience? – spytała Kelly. – Bandaże na podłodze?
– Nie chciała posunąć się dalej, nie chciała nikogo o nic oskarżać. Wiedziała, że czas jest istotnym czynnikiem, że w tej chwili wszystko jest istotne. W Bogu nadzieja – myślała – że Tom jest na to wszystko za sprytny, ale przecież zdawała sobie sprawę, że raz już przeszedł tą drogą i że ona była prawdopodobnie jego jedyną ucieczką. – Jeśli chcesz nam pomóc – mówiła dalej – to przede wszystkim muszę wiedzieć, co się tu stało. Musisz powiedzieć mi prawdę, Luis.

Minęło pół minuty. Nie padło ani jedno słowo.

– Pamiętasz Raymonda Lamara? – Ciszę przeciął głos Tollville'a. Agent zdjął zdjęcie z półeczki nad kominkiem. Podał je Kelly. Przyjrzała mu się: stare zdjęcie Raya, Luisa i Gusa przy szybie wiertniczym w dolinie.

– Oczywiście, że tak – przytaknęła. – To ja przyniosłam mu wiadomość o żonie.

Tollville przeszedł obok niej do kuchni, spojrzął na krople krwi na linoleum.

– Tom przyjechał dzisiaj do biura – powiedział. – Szukał ciebie, chciał z tobą rozmawiać. W tej chwili będę rozstrzygał wątpliwości na jego korzyść. Wolę uznać, że przyjechał do biura opowiedzieć ci o tym, co tu zaszło i co się stało Gusowi. – Zawrócił. Wszedł do łazienki. Na podłodze leżały bandaże. Kelly i Luis wymienili szybkie spojrzenia. – O nic Toma nie oskarżam, ale wiem, co to oznacza dla niego – odezwał się Tollville z łazienki. – Przeszedł do biura, bo miał ci coś ważnego do powiedzenia, i z jakiegoś powodu nie chciał tego zdradzić mnie.

– Nic o tym nie wiem – rzuciła Kelly. Patrzyła na Luisa rozpaczliwie, błagała go wzrokiem, żeby coś powiedział, sprostował, cokolwiek Tollville sobie wyobraził, cokolwiek sugerował.

– Nie ścigam Toma. – Agent wyszedł z łazienki. Stał w pokoju dziennym, zwracał się bezpośrednio do Luisa. – Wiem wszystko o małym Billym, wiem, co go spotkało, wiem, jaki miało to wpływ na Raya. Wiem, że tę rodzinę spotkało wiele nieszczęść,

ale muszę usłyszeć wszystko, co możesz mi powiedzieć o Rayu Lamarze, i muszę to usłyszeć właśnie teraz. Rozumiesz?

Luis spojrzał najpierw na chłopca, a potem na agenta specjalnego.

– Tom zawsze podziwiał Raya – powiedział cicho.

– Luis... – Kelly nie dokończyła zdania. Chciała mu powiedzieć, żeby zamilkł, ale wiedziała przecież, że nie może. Nie chciała jeszcze raz przechodzić tych wszystkich kłopotów, co kiedyś z Tomem, nie mogła sobie na to pozwolić.

– Dasz nam chwilę, Edno? – spytał Tollville. Stał w miejscu, nie ruszał się, tylko patrzył na nią i czekał, aż wyjdzie.

Spojrzała na Luisa. Staruszek nie opuścił wzroku. Skinął głową.

– W porządku – powiedział. – Może wzięłabyś Billy'ego do mnie, włączyła mu telewizor.

Podchodziła do drzwi, obejmując chłopca ramieniem, kiedy usłyszała, jak Tollville pyta:

– Tom i Ray praktycznie tu razem dorastali, prawda?

□□□

Do twarzy Toma przykleiła się cienka warstwa pyłu. Siedział oparty plecami o sporą skałę. Pięć minut temu usłyszał regularny klekot helikoptera lecącego wzdłuż doliny do domu Gusa.

Potem przyjrzał się czerwonym i zielonym światłom pozycyjnym na pustyni, na południu. Helikopter najpierw okrążył rancho, a potem wylądował.

Parę minut przed tym, jak usłyszał helikopter, Tom spróbował wyrzeć zza skałki, zobaczyć, co się dzieje na zboczu. Kula przeleciała mu nie dalej niż ćwierć metra od twarzy i ugrzęzła w ziemi tuż przy jego stopach. Instynktownie szarpnął się, zdążył ukryć, nim jeszcze usłyszał huk strzału.

Oddychał ciężko, czekał, a kiedy udało mu się opanować oddech, krzyknął:

– Ray, do diabła, przestań strzelać, to ja, Tom!

Bardzo chciał wierzyć, że Ray tylko tak sobie z nim igra, że za nic by go nie zastrzelił, że tylko chce go spowolnić, najpierw płoszy konia, potem zmusza do siedzenia w kryjówce. Pewnie nie chciał go postrzelić, bo przecież, o czym Tom doskonale wiedział, z tego rodzaju broni Ray strzelał doskonale, kiedy jeszcze obaj byli dzieciakami, a należało chyba przyjąć, że armia uczyniła z niego jeszcze lepszego strzelca.

Czekał, wsłuchany w odgłosy pustyni. Wczesnym rankiem budziły się owady. Chłodne powietrze owiewało jego spoconą twarz. Wyprostował się, mocniej przycisnął plecy do skały. Miniaturowy wir powietrza uniósł pył spod jego stopy. Przesunął się kawałek i znikł w krzakach uboczki.

– Słyszysz mnie, Ray?! – krzyknął.

Czekał na odpowiedź.



Tollville znalazł Kelly siedzącą w małym domu Gusa, opartą o ścianę. Obok niej siedział Billy, wpatrzony w telewizor. Spytała o Toma, o Luisa i o to, czego zdołał dowiedzieć się o Rayu Lama-rze. Słowami, które w jej ustach miały kwaśny smak.

– Chyba jestem ci winien wyjaśnienia – powiedział Tollville.

– Nie – zaprotestowała. – Nic mi nie jesteś winien. Nigdy nie byłeś. Nie zamierzałam ci wchodzić w drogę wtedy, dawno temu.

– Chodzi o to, co powiedziałem teraz. Nie ścigam Toma. Wiem, że nie jest winien niczemu, co zaszło.

– Ale pomagał Rayowi, zgadza się?

– Jakiś udział w tym miał, ale gdybym zaczął drążyć, wszystko by się niepotrzebnie skomplikowało. Byłaby to kolejna warstwa odgradzająca mnie od ludzi, których naprawdę chcę zobaczyć przed sądem.

– Chcesz mi powiedzieć, że będziesz go chronił?

– Popatrz. – Tollville podał jej wyjętą z kieszeni chusteczkę, w którą zawinięta była łuska. – To czterdziestkapiątka. Poza sru-

tówką, którą znaleźliśmy, wszystko inne to broń kalibru dziewięć milimetrów. Mam rację?

– Wszystko, zaczynając od Gila Suareza.

Tollville spojrział na Billy'ego.

– Wyjdźmy – zaproponował.

Wyszli razem przed domek. Luis stał przy pick-upie, na który załadowano trochę wyniesionych z domu rzeczy. Drzwi od strony kierowcy były otwarte.

– Jadą na wzgórze, do sąsiadów – wyjaśnił Tollville. – Ci zostali uprzedzeni, więc już się ich spodziewają.

– Co czeka Luisa?

– Nic złego. Wierzę w to, co mi powiedział. Zamierzam wyłączyć go ze sprawy. Nie wiem, czy on i Tom wyjdą z tego bez szwanku, ale Luisowi obiecałem, że zrobię w jego sprawie wszystko, co mogę.

– Więc wiesz, gdzie jest Tom?

– Luis powiedział, że wziął konia i pojechał za Rayem.

□□□

Tom odczekał pięć minut. Liczył sekundy. Za bardzo się denerwował, żeby wyskoczyć zza osłony skały. Coraz jaśniej uświadamiał sobie, że skoro pozwolił Rayowi na dokonanie zemsty, to teraz jest odpowiedzialny za to, co zdarzyło się Pierce'owi. Skoro zdecydował, że puści Raya, to teraz nie ma wyboru. Musi go powstrzymać, niezależnie od tego, co będzie to dla niego znaczyło.

Czekał z nadzieją, że wróci mu odwaga. Że wystarczy mu odwagi, by zrobić to, co musi. W każdej sekundzie spodziewał się usłyszeć świst kuli, ale kule nie świszczwały, więc powoli wyszedł z kryjówki. Nadal spodziewał się postrzału, uderzenia, które cisnie nim na bok, jak cisnęło na bok Gila Suareza przed trzema dniami.

Nie usłyszał strzału, nie usłyszał trzasku rykoszetu, nie usłyszał stuknięcia kuli zakopującej się w piasku.

On i Ray nie byli już rodziną, nie w sposób, w jaki Tom spodziewał się, że nią będą. Teraz pojawiło się coś innego. Przed dziesięcioma minutami Ray oglądał go przez celownik tej swojej strzelby. Ściągnął spust. Mógł go zabić, zdjęć z końskiego grzbietu w każdej chwili, gdyby tylko przyszła mu na to ochota. Jednak nie zrobił tego, więc Tom musiał wierzyć, że jest w nim też coś dobrego, odrobina człowieczeństwa niepozwalająca ściągnąć spustu, niepozwalająca zabić przyjaciela.

Strach ustępował powoli. Tom szedł pod górę po tropie pozostawionym w piaszczystej ziemi, po odciskach butów Raya, białych rysach zostawionych przez końskie kopyta na kamieniach. Zbocze przed nim zrobiło się naprawdę strome. Pinie i agawy trzymały się blisko ziemi. Tom ocenił, że choć bez konia porusza się całkiem szybko, dolina zmaląła, szosa była tylko cienką przecinającą ją linią.

Drzewa przed nim rzedniały. Usłyszał brzęk upręży, parsknięcie konia i coś jeszcze: ciężki, przerywany oddech Raya.



Ray wiedział już, że Tom nie ustąpił, że nadal jest gdzieś za nim i cały czas go tropi. Tam, na dole, koło szopy na polu naftowym strzelił do Toma. Chciał tylko spłoszyć konia i przestraszyć kuzyna, ale on nie dał się przestraszyć. Ray nie chciał go postrzelić, ale robi to, jeśli będzie musiał. Był gotów na wszystko, byle tylko uciec.

W pewnej chwili zaczęło go zawodzić ciało. Próbował oddychać głęboko, by choćby w ten sposób zwilżyć gardło, ale chrypiał i dławił się gęstą śliną. Od kilku godzin się nie pocił. Męczył go rzeżący kaszel, a kiedy przyłożył dłoń do ust, zobaczył na niej nitkę krwi. Za stromo było, żeby jechać konno, a ciągnięcie za sobą konia pod górę osłabiało go jeszcze bardziej.

Skreślił za skałą, słyszał kroki Toma niedaleko, gdzieś wśród drzew. Nie obejrzał się nawet, znikł pomiędzy nimi, porzucając wierzchowca. Kamień uciekł mu spod stopy, Ray zjechał ze zbo-

cza dobre dziesięć metrów, nim udało mu się powstrzymać upadek. Poczuł rozdzierający ból w boku, w dół, ku dolinie, poleciała lawina kamieni, a on leżał na dnie skalnej rynny, instynktownie osłaniając ręką brzuch.

Wszędzie stały niskie pinie wyrastające z czerwonej spalonej ziemi. Usłyszał stuk butów na skale powyżej i głos Toma wołającego na niego z góry.

Ray nie miał już niczego, nie miał rodziny, którą kiedyś chciał mieć, nie marzył o szczęśliwym życiu, bo szczęśliwe życie było dla niego niedostępne. Uświadomił to sobie i zachował głęboko w pamięci, leżąc na skale, wyczerpany, gasnący niczym kawałek węgla w popiele, spalający się na śmierć.

Chciał tylko wrócić do domu. Ale wszystko się zmieniło, nic nie było tak, jak przypuszczał, że będzie. Tom znów krzyknął z góry. Krzyczał na niego; Rayowi nie została nawet nadzieja.

Uniósł czterdziestkępiątkę Daria. Strzelił w kierunku głosu. Słyszał, jak kula uderza w skałę, jak echo spada na daleką dolinę.

Wstał i pobiegł, nim zdążyło ucichnąć.

□□□

Kelly klęczała nad śladem kopyt, obok Tollville'a. Wstała. Od północy wraz z wiatrem doleciał do nich odległy huk wystrzału. Stojąc tak, wyprostowana, Kelly spojrzała w stronę gór, gotowa na wszystko.

Noc, nadal noc i echo strzału płynące w powietrzu.

Tollville też wstał i spojrzał na pasmo Hermanos. Niebo na wschodzie pojaśniało, pojawiły się pasma fioletu i błękitu, przed nimi rozciągała się dolina.

– Pistolet albo rewolwer – stwierdził agent.

– Czterdziestkępiątkę? – spytała Kelly.

Wracali do helikoptera. Tollville zasygnalizował pilotowi, że zaraz startują.

□□□

Kula przeleciała nad głową Toma tak blisko, że poczuł gwałtowny podmuch. Nie spodziewał się, że Ray kiedykolwiek ośmieli się aż tak ryzykować.

Jeszcze niżej, poza zasięgiem wzroku, kamienie uwolnione uderzeniem kuli toczyły się po zboczu ku odległej dolinie. Tom podniósł głowę, zobaczył skalną rynnę niemal całą. Pomiedzy sosnami wiał wiatr, a na zboczu, dziesięć metrów niżej, mignęła mu koszula Raya i niemal natychmiast znikła wśród drzew. Tom skoczył na równe nogi, uniósł broń, jeszcze raz, na moment, pojawiła się koszula Raya w polu jego widzenia.

Ześlizgnął się rynną do miejsca, w którym widział kuzyna po raz ostatni. Pobiegł za nim. W powietrzu nadal wisiało pasemko pyłu, pozostawiony przez niego ślad, ale był ulotny, przesuwał się z wiatrem i nikł pomiędzy drzewami.

Tom pobiegł jego śladem, okrążył zbocze i zobaczył Raya przykucniętego między dwiema sosnami, z bronią w wyciągniętej ręce. Rzucił się głową w dół. Usłyszał, jak kula uderza w ziemię w miejscu, w którym był przed chwilą.

Leżał nieruchomo, cały zamieniony w słuch. Krwawiły mu dłonie, którymi próbował zamortyzować upadek. Czuł się brudny, na głowie miał bolesne skaleczenie. Nic nie słyszał. Patrzył w górę, próbował przeszyć wzrokiem las. Poczucił się bezpieczniej, obejrzał dłonie, starte do żywego mięsa. Krew już zaczynała ściekać mu po nadgarstkach. Przycisnął je do spodni, obnażone nerwy zaprotestowały przeraźliwym bólem.

Nie miał pojęcia, gdzie jest Ray.



Z helikoptera niewiele było widać. Reflektor szperacz przesuwał się po skałach i drzewach, aż zawisł nad pokrytym śniegiem grzbietem wzgórza. Lecieli wzdłuż niego, a potem zaczęli się zniżać nad doliną. Przez dwadzieścia minut latali tam i z powrotem, nie mając prawie żadnej nadziei, że coś znajdą.

Przez pierwsze pięć minut lotu pochylona w fotelu Kelly wpatrywała się w płaską pustynię, a potem, gdy znaleźli się wśród wzgórz i gór, usiadła wygodniej i tylko od czasu do czasu wyglądała przez okno. Niebo na wschodzie przybrało barwę ciemnoszara, jak zwykle przed świtem. Słabe światło dosięgło już zbocza, nad którym lecieli.

– Kontynuujemy poszukiwania? – spytał Tollville'a pilot.

Agent oderwał wzrok od okienka z tyłu kabiny. Poleciał mu gestem dokonanie jeszcze jednego przelotu. Jego głos w słuchawkach hełmów, które miał na głowie każdy z nich, wibrował w rytm wibracji maszyny. Podobnie jak Kelly, Tollville nadal miał na sobie brązową kamizelkę kuloodporną z biura szeryfa, tyle że rozluźnił paski, by łatwiej mu było obserwować ziemię poniżej. W dłoni trzymał służbową broń. Stał na szeroko rozstawionych nogach dla zachowania równowagi w maszynie zawracającej ostro i rozpoczynającej kolejny przelot poszukiwawczy.

Przeczesywali teren według dość drobnej siatki. Do tej pory nie widzieli nic oprócz drzew i skał. Łopaty wirnika nośnego hałasowały, zmuszone wysokością do dodatkowej pracy. Wznosili się, czekał ich kolejny przelot nad grzbietami wzgórz.



Gdzieś niżej rozległ się hałas pracującego z wytężeniem wirnika helikoptera. Łoskot łopat dobiegał z zachodu, z odległości ładnych kilku kilometrów.

Ray położył się na zboczu. Wykorzystując sam ciężar ciała, obrócił się na plecy. W jednej ręce nadal trzymał czterdziestkępiątkę, drugą rozpiął koszulę. Brzuch miał poplamiony na czerwono jodyną, którą oczyścił ranę.

Kilka minut wcześniej wykaszlał krew, nadal czuł jej smak w ustach. Nie był to najlepszy ze znaków. Otwór wlotowy był chyba nieco za nisko, żeby kula mogła uszkodzić płuco, ale nie da się ukryć, że miał trudności z oddychaniem, a na języku czuł alkaliczny smak krwi.

Wokół niego prawie nie było już pinii, tylko niska trawa, a skały wysokich gór tu i tam pokrywała cienka warstewka śniegu. Przed nim nic, tylko płaski, prowadzący łukiem na przełęcz trakt, a po drugiej stronie grzbietu łagodny spadek. Na północy drobne, jakby eteryczne światła szosy przebijającej się przez góry, a jeszcze niżej większa plama światła: Deming, od którego dzieliło go jakieś piętnaście kilometrów.



Tom ruszył osypiskiem pod górę niemal dokładnie w chwili, gdy nad jego głową przeleciał helikopter DEA. Biały brzuch maszyny przesuwiał się wzdłuż grzbietu, blask silnego reflektora ciął mrok.

Być może spowodowało to dziwne ukształtowanie terenu, może fale dźwiękowe odbijały się między zboczami, a może winny był jego zdyszany oddech i hałas, jaki robił, ślizgając się na luźnych kamieniach, ale do końca nie słyszał silnika helikoptera, myślał, że jest on gdzieś dalej, kilometr, dwa na zachód.

Stał, patrząc, jak maszyna przesuwana się wzdłuż linii przełęczy, pojawiła się nagle i nagle znika. Z pokładu obserwowano otwarty teren: skały i pasy zieleni dzielące południowe zbocze góry od północnego.

Ani śladu Raya.



Ray usłyszał helikopter wyskakujący zza zasłony zbocza wprost nad szczyt i przełęcz. Nie było go i nagle był, niespełna pół kilometra na zachód od niego. Błady ruchomy cień na kamieniach. Ray biegnie, pochylony, skręcony, biegnie po otwartym terenie, po ziemi wyczyszczonej przez wiatry. Osłonę znajdzie daleko, po drugiej stronie przełęczy.

Biegł, przyciskając rękę do brzucha. W drugiej trzymał czterdziestkępiątkę, strzelbę nadal miał przewieszoną przez plecy. Krew z rany zaschła, szorstka i krucha, na koszuli.

Helikopter przesuwiał się w jego kierunku, od plamy szperacza dzieliło go może sto metrów, może mniej.

– Pośpiesz się! – popędzał sam siebie. Zacisnął zęby. Wydechane powietrze smakowało metalicznie, kwaśno.

Biegł, potykając się o kamienie i porośnięte turzycą nierówności. Twarz miał skrzywioną z bólu, pod dłonią twardy, napięty brzuch. Zaczynało mu brakować sił, dlatego poruszał się sztywno, skulony nienaturalnie, a rana pod palcami wydawała mu się ciepła.

W zmęczonych od wspinaczki nogach tracił czucie. Tu, na skałach i w wąskich szczelinach między skałami, było już dużo śniegu. Poślizgnął się, coś jakby podcięło mu nogę, wyciągnął rękę, żeby złagodzić upadek. Padając, jęknął przez zaciśnięte zęby, od gwałtownego ruchu ciało przecięło mu ostrze bólu.

Światło przesunęło się po nim, odpłynęło... i wróciło. Unosiło się w powietrzu niczym ciało niebieskie, wiszące trzydzieści metrów nad ziemią. Ogarnął go ryk silnika i nagły, gwałtowny wicher.

Ray spojrzął przed siebie. Nadal miał szansę dotrzeć do granicy drzew odległej o niespełna sto metrów. Ściągnął z ramienia strzelbę, potrafił już myśleć tylko o ucieczce, niczym więcej. Wszechogarniający, rytmiczny łomot łopat wirnika uderzał o nagie skały. Pulsujący echem ból rozchodził się z brzucha po całym ciele, straszliwe pragnienie ścisnęło Rayowi gardło.

□□□

Ostrzeliwano kadłub helikoptera! Kelly słyszała kule przebijające metal. W kabinie zaiskrzyło, czerwone lampki na desce rozdzielczej rozbłysły i zaraz zgasły. Rozległ się sygnał alarmu, helikopter niebezpiecznie przechylił się na bok.

– Spieprzajmy stąd! – krzyknął Tollville, a w jego głosie brzmiał strach. Rozkazał pilotowi obniżyć wysokość, odlecieć na wschód, skryć się za grzbietem. Padł kolejny strzał, kula przebiła podłogę i rykoszetowała od dachu kabiny.

Kelly odwróciła się, chciała sprawdzić, czy Tollville nie został ranny, ale nic nie zobaczyła, bo spadali, spadali szybciej, niż wydawało jej się to możliwe, pilot wykonał ostry zwrot w lewo, opuścił nos, skierował maszynę za osłonę grzbietu górskiego.



Tom biegł. Wspinał się stromym podejściem, od skały do skały, dotarł na szczyt, zobaczył przed sobą Raya biegnącego w dół zbocza w stronę nieodległej linii przysadzistych, grubych drzew.

Słyszał strzały. Przyglądał się bezradnie helikopterowi, widział, jak kołysze się w powietrzu, a potem odlatuje w lewo i znika z oczu.

Biegł za Rayem, nawet gdy kuzyn znikł wśród niskich sosen i karłowatych jałowców czepiających się rozpaczliwie przewiewanego silnymi wiatrami zbocza. Miał do przebiegnięcia jeszcze pięćdziesiąt metrów, nie słyszał helikoptera, doskonale wiedział, że jeśli ma dopaść Raya, to musi to być teraz albo nigdy.

Wpadłszy między drzewa, Tom zwolnił. Nastawił uszu na każdy dźwięk. Cienie były tu bardzo głębokie. Stał w gęstniejącym sosnowym lasku. Porastająca przełęcz turzyca tu rosła tylko w wątych kępach pomiędzy drzewami, wystawiając łodygi jak czułki nad cienką warstwę śniegu.

Przed nim, na ziemi, odcisk pięty buta w śniegu, ślad czubka półtora metra dalej. Nie sposób było określić, gdzie znikł Ray, Tom szedł za nim, próbując odczytać coś ze skąpych tropów w śniegu, nim znikną tak szybko, jak się pojawiły.

Nic rezygnował. Wysunął broń przed siebie, ostrożnie stawiał nogi, a nim zrobił krok, zmiatał butem suche poszycie i upewniał się, że zachowa ciszę. Ślady Raya widział przed sobą na może

dziesięć metrów, potem nikły w ciemności. Słońce zaledwie wschodziło, świat wypełniały kontrastowe plamy światła i cienia.

– Zostań tam, gdzie stoisz, Tom!

Zamarł. Głos rozległ się tuż za nim.

– Rzuć broń, a potem się od niej odsuń!

Zrobił, co mu kazał Ray. Rzucił broń na kępkę trawy, metal zabłyśnięt odbitym światłem promieni słonecznych. Tom obserwował kuzyna wychodzącego z za jego pleców, z cienia rzucanego przez jałowiec. Kulał, z całej siły przyciskał dłoń do boku. Dotarł do jego broni, przyklęknął, podniósł ją, obrzucił wzrokiem, a potem spojrział wprost na niego.

– Chodź – powiedział i machnął nią niedbale. – Nie mam ochoty tak stać i czekać, aż helikopter powróci. I nie zostawię cię tu, żebyś im zasygnalizowała, gdzie jesteście.

– Skąd wiesz, że helikopter wróci?

– Posłuchaj.

Tom spojrział na grań. Przez drzewa widział sam początek przełęczy, nagiej ziemi smaganej wiatrami hulającymi wśród górskich szczytów. Skupił się, po chwili usłyszał odgłos pracujących łopat, nisko, po drugiej stronie góry, coraz donośniejszy, w miarę jak helikopter nabierał wysokości, donośniejszy z każdą upływającą sekundą.

– Ile to potrwa? – spytał.

– Najwyżej parę minut. – Ray znów machnął ręką, w której trzymał broń. Poganiał kuzyna. – Trafiłem ich, owszem, ale nie aż tak dobrze, żeby nie mogli latać.

– Mogłeś ich zabić!

– Mogłem, ale nie zabiłem. Dobra, idziemy.

– Prawie udało ci się zabić Pierce'a – powiedział Tom. – Tego nie musiałeś robić.

– Kogo?

– Mówię o tym młodym zastępcy szeryfa przed barem.

– Przeżyje. Zrobiłem, co musiałem zrobić. – Zerknął przez ramię, hałas wirnika stawał się coraz donośniejszy.

Helikopter wyłonił się zza grani, promień światła szperacza skierowany był w niebo. – Jeśli nie pójdziesz ze mną teraz, w tej chwili, postrzelę cię w nogę. Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Tom przyglądał mu się ciekawie. Nie miał pojęcia, co robić, a nadzieja, że uda mu się zatrzymać Raya, umarła. Nie chciał z nim iść, ale nie chciał też zostać postrzelony. Żałował, że dał się wplątać w całą tę beznadziejną sprawę, nie ruszał się, patrzył na kuzyna, próbował odpowiedzieć na pytanie, czy gdyby mógł, to coś by zmienił, ale nie miał żadnych wątpliwości, że nie, że tak czy inaczej znów znalazłby się tu, na grani.

Helikopter hałasował przeraźliwie. Ray gestem kazał mu iść przed sobą.

□□□

Pilot wyłączył lampki ostrzegawcze. W kabinie śmierdziało spalonymi przewodami i przepalonymi bezpiecznikami, ale jakoś unosili się w powietrzu. Stracili ponad trzysta metrów, a teraz pracownicy odzyskiwali wysokość. Tollville bezlitośnie poganiał pilota. Powtarzał, że muszą próbować, że muszą wrócić tam, skąd do nich strzelano.

Kelly uspokoiła się, obejrzała za siebie. Agent siedział w fotelu. Jedną ręką opierał się o ścianę kabiny dla zachowania równowagi, drugą przytrzymał pasów nad głową. Jego broń jeździła po podłodze w rytmie poruszeń i drgań kabiny.

Wirnik ogonowy postukiwał. Pilot szarpał się z drążkiem, robił, co w jego mocy, by zapanować nad maszyną. Każde stuknięcie oznaczało konieczność dokonania korekty, ogon przesuwiał się, choć ledwie wyczuwalnie, to w prawo, to w lewo. Wznosili się, owszem, ale nie oznaczało to, że mieli pełną kontrolę nad maszyną.

□□□

Skalna rynna prowadziła na północ. Po obu jej stronach wznosiły się wysokie ściany, iść można było tylko w dół. Tom prowadził, Ray szedł za nim, przez cały czas mierząc mu w plecy z czterdziestkopiątki.

– Zastrześlibyś mnie? – spytał Tom, nie zwalniając. – Tam na górze?

Zatrzymał się, spojrzął na kuzyna opartego o skałę, przyciskającego dłonią ranę w boku.

Ray oderwał rękę od rany. Na koszuli pozostała wilgotna plama krwi.

– Kto powiedział, że już o tym nie myślę? – spytał, odpychając się od skały. Machnął lufą, nakazując Tomowi iść dalej.

Tom ruszył posłusznie w dół. Słońce wypłynęło na niebo, zabarwiając szczyty ścian na pomarańczowo padającymi skośnie promieniami. Odbijało się od nich echo ich kroków.

– Dlaczego pozwalasz mi żyć, skoro myślisz, że cię zdradziłem? – spytał Tom.

– Powiedzmy, że wyrównaliśmy rachunki.

– Nic im o tobie nie powiedziałem. Nawet chciałem, ale w końcu się na to nie zdobyłem.

– Strasznie chciałbym usłyszeć tę rozmowę. – Ray się roześmiał.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Tom słyszał dobiegający z tyłu huk łopat, helikopter latał tam i z powrotem nad granią, raz przeleciał nawet nad wąską szczeliną rynny, pojawił się i znikł w następnej chwili.

– Więc zamierzasz po prostu uciec? – spytał Tom. – Jak już raz uciekłeś? Znów zostawisz Billy'ego?

– Wiesz, że to wcale nie jest tak. Chciałem wrócić. Zawsze chciałem wrócić. Ale widzę, że to nie dla mnie.

– No, nie wiem... Jeśli o ciebie chodzi, to już nic nie wiem.

– Chciałem znów być kimś takim jak wtedy, przed dziesięciu laty, nim zginęła Marianne. Ale to się nie udało. Gdy tylko próbuję uchwycić przeszłość, ona natychmiast się ode mnie oddala.

Pojawiło się leżące w dolinie miasto. Jego kawałek, drobny fragment, widać było przez wąską szczelinę u dołu rynn, błękitno-żółte światła miasta o wschodzie słońca.

– Byłem tylko pionkiem w grze – powiedział Ray. – Przez cały czas mną manipulowano. Przez dziesięć lat. A ja nic o tym nie wiedziałem i po tym wszystkim, co wtedy zrobiłem, teraz okazuje się, że to nie kartel jest moim zmartwieniem.

□□□

– Tutaj! – zdecydował Tollville. – Wyląduj tutaj! – W słuchawkach hełmu jego głos zabrzmiał bardzo donośnie. Helikopter chwiał się w powietrzu nad szerokim, kamienistym dnem przełęczy, pilot walczył o wyrównanie płóz. – Gotowa? – Położył dłoń na ramieniu Kelly, pochylając się do przodu, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

Kelly poczuła, jak płozy uderzają twardo o ziemię. Pilot natychmiast wyłączył silnik, przerzucił kolejne przełączniki, łopaty wirowały coraz wolniej, aż wreszcie zamarły w bezruchu. Tollville otworzył drzwi, wyskoczył na ziemię, niecierpliwie popędził Kelly.

– Złapiesz swojego zastępcę przez radio? – spytał, gdy tylko wydostali się poza zasięg wichru powodowanego obrotami wirnika.

Kelly odpięła radio od paska, a kiedy w głośniku rozległ się głos Hastingsa, agent natychmiast zaczął dyktować jej, co ma mu powiedzieć. Opisywał, gdzie się znaleźli, kazał Hastingsowi przekazać informację innym.

– Gotowa? – spytał, gdy tylko schowała radio.

– Wymyślasz to wszystko ot tak, bez przygotowania? – odpowiedziała pytaniem Kelly.

□□□

– Czego ci potrzeba? – spytał Tom. Zatrzymali się na chwilę, usiedli, odpoczynek okazał się konieczny. Nie spuszczał wzroku z kuzyna, oddychającego ciężko, opartego o skalną ścianę naprzeciwko.

Ray opowiedział mu o wszystkim: o tym, jak Memo nadał mu robotę, o Sanchezie, o Gilu Suarezie, o Burnhamie. Wszystko, co zdarzyło się od czasu śmierci jego żony, kiedy to zostawił Billy'ego pod opieką Gusa.

– Żeby przestać? – Zastanowił się. – Nie wiem. Myślałem, że skończyłem z tym wszystkim lata temu, ale teraz rozumiem, że nic się nie kończy. I że popełniłem za wiele błędów, żeby to odkręcić.

– Więc chcesz załatwić szefa? Myślisz, że to wszystko jego wina, że to on napuścił cię na kartel?

– Nie wiem – przyznał Ray. – Ja już nic nie wiem. Zrobiłem w życiu wiele złych rzeczy. Nie da się cofnąć czasu, ale kiedyś sądziłem, że mam powody, by tak postąpić. Już tak nie myślę.

– Cokolwiek zrobisz, Ray, nie przywróci to życia Marianne. I takiego życia, jakie miałaś.

– Skrzywdziłem wiele osób – powiedział Ray. – Muszę zadośćuczynić za wiele krzywd, nawet jeśli miałbym to zrobić po swojemu. – Zakaszłał, zasłonił usta dłonią, a potem spojrział na widoczne na niej kropelki krwi. Zakaszłał znowu, splunął na ziemię między stopami. – No, idziemy. – Machnął na Toma lufą pistoletu. Kolejne trzysta metrów, i wyjdą na równię u stóp góry.

Tom nie ruszył się z miejsca. Po prawdzie nie wiedział, jak sam do tego wszystkiego pasuje. Dlaczego zrobił to, co zrobił? Naprawdę zamierzał zatrzymać Raya, przekazać go Kelly jak jakiegoś zbiegłego przestępcę?

Pierce wydobrzej, to wydawało się oczywiste. Nie miał nic wspólnego z pościgiem za Rayem, nikt nie miał z tym nic wspólnego oprócz niego samego i tego, kim był kiedyś. Tom nie miał pojęcia, gdzie w tym jest jego miejsce. Chciał znów być blisko biura szeryfa, jak wtedy, wieczorem, kiedy spotkał Kelly przed szpitalem, chciał mieć choć odrobinę z tamtego dawnego życia, któ-

rego już nie mógł wieść. Claire natomiast dzwoniła do niego co dziesięć minut z powodu ich przeszłości, z którą nie chciał mieć już nic wspólnego. To była jego wina, doskonale o tym wiedział. Tego wszystkiego nie dało się uniknąć, choć próbował.

Dokąd go to zaprowadziło? Kilka godzin temu był pewien, że chce widzieć Daria martwego, i podobnie jak kuzyn był przekonany, że chce go załatwić. A teraz Ray mówi, że wcale nie chodzi o Daria i nigdy o niego nie chodziło.

Czy Tom nie powinien pragnąć widoku Mema ponoszącego karę taką, na jaką, jego zdaniem, zasłużył Dario? Pierce został postrzelony przez niego, przez to, że on, Tom, uznał za stosowne trzymać się z boku.

– Ray – powiedział – nie mogę iść z tobą dalej.

Twarz Raya straciła wszelki wyraz, aż wyglądała jak z kamienia. Twarz bez wyrazu, Tom nie potrafił nic z niej odczytać. Czy zostanie zamordowany, tu i teraz, czy też może puszczone wolno?

– Wiem, że powinienem chcieć iść z tobą – przyznał. – Gus bardzo wiele dla mnie znaczył. Powinienem chcieć tego, czego i ty chcesz, ale nie mogę trzymać z tobą w tej sprawie, udawać, że nikt postronny nie zostanie przez nią skrzywdzony.

Ray stał półtora metra od niego z bronią w ręku i tym samym, nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– Nie uda ci się – powiedział Tom.

– Nie mogę puścić cię wolno.

– Zastrzel mnie, jeśli musisz, bo krokiem się stąd nie ruszę.

Ray wyjął zza paska baby eagle'a należącego do Tollville'a, na jego miejsce wsadził swoją czterdziestkępiątkę. Wyrzucił na dłoń magazynek baby eagle'a, schował go do kieszeni.

– Powiedziałaś kiedyś, że powinienem postąpić jak trzeba – powiedział.

– Chciałem, żebyś się poddał.

– Niewiele mi już zostało. Nie, nie poddam się, już nie. To mam za sobą. Ale mogę, dla odmiany, zrobić coś dobrego.

– Zabić swojego szefa?

– Nie – zaprzeczył Ray. – Teraz niewiele to już znaczy, ale może zacznie coś znaczyć w przyszłości. Kiedy wrócisz pod dom Sullivanów, znajdziesz powód tego wszystkiego. Zakopany dwadzieścia kroków na wprost od kuchennych schodów.

– Mówisz o narkotykach?

– To niewiele, ale może dzięki temu wyjdiesz z tej sprawy czysty. – Z bliska, z półtora metra, Ray rzucił Tomowi od dołu baby eagle'a. – Mam nadzieję, że ci się uda. Że wszystko ci się uda.

– Nie rób tego, Ray. Potrzebujesz pomocy lekarskiej. Powinneś ze mną wrócić. Przynajmniej tyle.

– Za daleko zaszedłem.

– Przecież ci się nie uda.

Ray wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Powiedz Billy'emu, że go przepraszam. I pozdrów ode mnie Luisa.

– A ty pozdrów ode mnie Gusa.

Ray uśmiechnął się lekko.

– A więc to koniec?

– Chyba tak – przyznał Tom. – Do widzenia, Ray.

– Do widzenia, Tom.

Ray odszedł prowadzącą w dół skalną rynną, tak wąską, że jej ściany wydawały się na niego napierać. Przed nim, na pustyni, świeciło miasto.

Tom odwrócił się. Ruszył pod górę, ostrożnie stawiając nogi. Zastanawiał się, czy dobrze postąpił, pozostawiając Raya ot tak po prostu. Może powinien przemówić mu do rozumu. Może powinien pomóc mu w czymś, zrobić coś, żeby zrezygnował. Czegoś takiego nigdy nie wie się na pewno.

Zatrzymał się. Usiadł na kamieniu. Musiał złapać oddech. Ściany rynny nie były tu tak wysokie jak niżej. Bardziej przypominało to kanion niż rynnę. Wyobraził sobie Raya idącego w dół, ostrożnie, pomiędzy dwiema wysokimi skałami.

Czekał, pot na jego skórze robił się zimny. Wreszcie, kilkadziesiąt metrów wyżej, pojawili się Kelly i Tollville. Zmierzali w jego

kierunku.

– Nic ci nie jest? – spytała Kelly, gdy tylko stanęła obok Toma. Kręgi potu pod pachami, taką pamiętał ją ze spotkania na drodze przed czterema dniami.

– Zmęczyłem się, ale poza tym wszystko w porządku – odparł Tom.

Tollville zatrzymał się za Kelly. Spojrzał na zegarek, a potem przed siebie, w dół.

– Gdzie Ray?

– Jak Pierce? – odpowiedział pytaniem Tom. – Wyjdzie z tego?

– Stracił mnóstwo krwi – wyjaśnił agent. Włosy miał wilgotne, pociemniałe od potu. – Widziałem ciężiej rannych odzyskujących zdrowie.

Tom skinął głową. Chciał spytać o Daria, ale wolał nie słyszeć odpowiedzi. Nic już nie miało znaczenia i w tym momencie wiedział z całą pewnością, że nigdy nie przypnie sobie gwiazdy na piersi. Stracił wszelką nadzieję, pozostała mu tylko pewność, że pójdzie siedzieć za to, co do tej pory zrobił dla kuzyna.

– Sprawy posunęły się za daleko, Tom – powiedziała Kelly. – Rozmawialiśmy z Luisem. Wiemy o Gusie. Wiemy wszystko. Musisz nam pomóc.

– Teraz to rozumiem – przyznał Tom. – Poszedł na dół, chce dotrzeć do doliny.

– Idę – oznajmił Tollville. – Połącz się z Hastingsem. Powiedz mu, że spróbuję go stąd pogonić w stronę równiny.

Kelly odprowadziła go wzrokiem, a potem spojrzała na Toma, ale on nie miał już nic do powiedzenia.

– Ufałeś mu, prawda? Zawsze mu ufałeś.

– Owszem – przyznał Tom.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, a potem podniosła radio do ust. Powiedziała Hastingsowi, gdzie się w tej chwili znajdują, a potem gdzie mają się rozstawić policjanci.

Ray dotarł na równinę. Mocno kulał, nadal przyciskał dłoń do otworu wlotowego rany, ale czuł się silny. Tak silny nie był od dawna. Szkolił się właśnie do tego. Miał pewność, absolutną pewność, że nie może teraz się poddać. Musiał wierzyć, że wszystko, co się zdarzyło, zdarzyło się po to, żeby dotarł tu, gdzie jest teraz. Szedł równiną w świetle wczesnego poranka, a przed nim, poniżej, rozciągało się miasto.

Wszystko prowadziło do tej chwili. Nie ma tu nic oprócz niego samego, równiny, pulsowania rany pod dłonią. Szedł przed siebie. Szkolenie, lata pracy dla Mema, umiejętność poruszania się bezgłośnie, zachowywania całkowitej ciszy, sztuka poddania się fali życia, by obrosło go jak pnącze winorośli.

Wszedł chwiejnie na wzniesienie, niemal z niego spadł, mięśnie ud drgały mu od ciężaru ciała, ale wnosiły go na kolejny pagórek, pozwalały zejść w dolinkę przed następnym. Myślał tylko o jednym: musi iść dalej. Mięśnie brzucha już dawno napięły mu się do granic możliwości i takie pozostały. Na ciele formowały się ochronne warstwy, jedna po drugiej, grube jak średniowieczna zbroja.

Zatrzymał się na następnym wzniesieniu. Słońce świeciło nad horyzontem, dawało akurat tyle światła, by mógł zobaczyć w nim czarną postać. Przyjrzał się jej dokładniej i nie, nie była to postać, lecz grupa postaci. Miał przed sobą czarne sylwetki ludzi. Nie wiedział, kim są i jak go znaleźli. Zrobił krok przed siebie, usłyszał, jak do niego wołają, słyszał ich głosy niosące się w powietrzu jak sygnał z innego świata.

Spojrzał w dół, na ranę w boku. Uniósł koszulę. Sączyła się z niej już nie krew, lecz śliskie, przezroczyste osocze. Ściekało mu po brzuchu. Wszystko było w porządku, czuł się świetnie, wiedział, że nic nie jest w stanie go powstrzymać, ani ci ludzie, ani ich krzyki. Miał wrażenie, że uwalnia się od samego siebie, że już idzie ulicami miasta, zbliża się do swej ostatniej ofiary.

Ktoś wykrzyknął jego imię, krzyczał znacznie donośniej od innych, mózg Raya w jakiś sposób wzmacniał ten głos. Dobrze zrobił, że zostawił kuzyna, bardzo go to cieszyło. Tom powtarzał, że

mu się nie uda, próbował go powstrzymać, kazał mu się zatrzymać, zastanowić nad sytuacją. Ale tego akurat Ray nie mógł zrobić. Nie wolno mu było pozwolić, by tak się stało. Na to był za silny, czuł to teraz, zrobił krok, potem drugi, znów usłyszał głos, tak donośny jak przedtem, głos każący mu stanąć, stać, stać, nie ruszać się.



Tam, w dole, zabrzmiał strzał. Czekali już czterdzieści pięć minut, na wietrze wśród niskich sosen. Skośne promienie słońca tuż nad horyzontu przedzierają się przez zasłonę drzew, kłębki pyłu tkwią w ziemi, wbite w nią jak włócznie. Ptaki budziły się, hałasowały, były wszędzie wokół nich.

Tam, w dole, zabrzmiał strzał. Donośny strzał. Tom wiedział, że to czterdziestkapiątka Raya. A potem salwa. Policja. I szum w radiu Kelly, najpierw szum, potem głos Hastingsa informujący, co się stało.

Dzień trzysta sześćdziesiąty piąty

Dario przyjechał z El Paso autobusem o szóstej. Miał na sobie jeden ze swoich lnianych garniturów, w rękę trzymał małą skórzaną teczkę wielkości prawie dokładnie ryzy papieru, zapinaną na zamek błyskawiczny. Po raz pierwszy od dziesięciu miesięcy pojawił się na północ od granicy i jak pamiętał z długich lat tu spędzonych, powietrze było czyste, suche niczym wszechobecna pustynia. Pogoda nietypowo upalna jak na tę porę roku w tej części Nowego Meksyku, cienka warstwa pyłu wisi nad równiną jak mgiełka.

Dario wysiadł z autobusu. Białą chustką otarł pot z czoła. Trzymał ją w rękę, rozglądając się po pustym placu, na którym go wypuszczono. Nic oprócz małej knajpki po przeciwnej stronie ulicy i stacji benzynowej.

Wielki facet, z którym miał się spotkać, czekał na niego w cieniu daszku na stacji benzynowej. Blisko, na jednym z miejsc parkingowych, stał jego czarny chevrolet z białymi oponami.

Kiedy wsiedli do samochodu, facet, przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu, o ciemnej karnacji, z trądzikiem na szyi i tygodniowym zarostem na policzkach, spojrzał na Daria ciekawie.

– Wyglądasz inaczej, niż się spodziewałem – powiedział.

Dario rozpiął zamek błyskawiczny teczki. Wyjął z niej cztery paczki banknotów, dziesięć tysięcy dolarów w paczce. Podał je facetowi.

– Myśl o mnie jak o pełnomocniku człowieka, który mnie tu przysłał. – Głos miał nieco niższy, nieco groźniejszy niż w Coronado, a na szyi bliznę w miejscu, w którym chirurg usunął mu fragment struny głosowej. – Kiedy patrzysz na mnie, patrzysz na nie-

go. Przyjechałem sprawdzić, czy praca została właściwie wykonana.

Facet przyglądał się trzymanym w ręku banknotom. Dario pomyślał, że pewnie w życiu nie widział tyle forsy naraz.

– A reszta? – spytał.

– Po zakończeniu roboty.

Jechali równiną, przyglądając się przemykającym za oknem, ciągnącym się kilometrami krzakom. Droga rzadko skręcała w prawo lub w lewo. Ciągnęła się, prosta, przez płaską bajadę ku odległym o dwie godziny jazdy góróm.

Po godzinie zjechali z szosy, przekroczyli mały strumień, bardzo płytki, bo pierwsze opady śniegu czekały, ukryte, daleko w górach. Wyjechali z łożyska strumienia, Dario wsłuchiwał się w szum nawiewu i warkot silnika. Wjeżdżali na niewielkie wzniesienia.

Jechali jeszcze pół godziny, słońce nachylało się już nad horyzontem na zachodzie, jego promienie padały skośnie, bladoróżowe i fioletowe.

Przed maską pojawił się dom w stylu starej hiszpańskiej misji. Sto lat temu było tu wielu misjonarzy, ale teraz nie pamiętali już o tej ziemi. Jeden pokój, ściany z gliny zmieszanej z suchą trawą, długie drewniane bale nad głową jako coś w rodzaju sufitu. Drewno poczerniałe ze starości, miejscami odłupane, wytarte i wysuszone przez czas i słońce. Dario wysiadł z samochodu. Poczł zapach jadaloszynu i szałwii. Jak na przystanku autobusowym, przed godziną, przywitał ich tylko suchy wiatr.

Dario przez dłuższą chwilę przyglądał się małemu domkowi.

– Powiedziałaś mi przez telefon, że wydała go jego siostra z Las Cruces, tak? – spytał.

– Dzięki niej go dopadłem.

– A siostra?

– Powiedziała, że nic nie chce wiedzieć.

Dario nie ruszał się z miejsca. Słuchał pustyni. Nie słyszał nic, ale różowe światło przenikało wszystko, a to wszystko jakoś się z sobą łączyło, jakby wszyscy byli częścią jednej istoty.

- Często korzystasz z tego miejsca? – spytał.
- Szef chciał, żeby odbyło się to dyskretnie.
- Owszem – przyznał Dario.
- Gotowy? – spytał facet.
- Owszem.

Weszli do domu. Popękane bale zawaliły się do wnętrza, nie było tu żadnego światła oprócz tego, które zdołało się dostać z nieba, wiszącego nad nimi jak wątła nić. W środku mrok, tylko mrok, tu i tam poprzecinany pasmami światła.

Na klepisku, przed nimi, ludzka głowa obrócona do nich tyłem, by oczy nie dostrzegły wchodzących.

- Zakopałeś go w ziemi?

Wielki facet skinął głową.

- Chciałem mieć pewność, że będzie tu, kiedy wrócimy.

Dario wciągnął powietrze przez nos. Potworny smród moczu, tak silny, że aż zamrugął. Widząc, jak marszczy nos, wielki facet się wytłumaczył:

– Przedtem, zanim go zakopałem, dałem mu wiadro, ale rzucił nim we mnie, kiedy przyniosłem jedzenie, więc je zabrałem.

Dario obszedł pokój, trzymając się na długość ramienia od ścian. Zakopany po szyję mężczyzna miał paskudne skaleczenie na policzku, od oka do szczęki. Ślad piany od kącików ust, zaschłej na podbródku. Oczy zamknięte, twarz poparzona słońcem do tego stopnia, że skóra schodziła z niej płatami.

- Żyje? – spytał Dario.

Wielki facet podszedł, kopnął piach, sypnął nim w głowę. Zakopany człowiek jęknął, zamrugął, by oczyścić oczy. W usta wtknięty miał kawałek materiału.

- Powiedział coś po tym, jak go dopadliście?
- Przekazano mi, że powinien być zakneblowany.
- Nawet kiedy je?

Wielki facet uśmiechnął się. Spojrzał na pręgi pokrywające prawie całą twarz zakopanego.

- Szybko się uczył.
- Zaczekaj na mnie w samochodzie, dobrze?

Dario poczekał, aż facet wyjdzie, i jeszcze trochę, żeby zdążył oddalić się od budynku, a potem przykucnął przy zakopanym.

– Memo? Minęło trochę czasu.

Memo usiłował skupić na nim wzrok. Jedna powieka opadała mu znacznie niżej niż druga.

– Przez ciebie miałem spore kłopoty w Coronado. – Dario wyrwał kawałek płótna z ust Mema. Czekał na reakcję.

– Zrób, co trzeba – powiedział Memo – i niech to się wreszcie skończy.

– Trudno było znaleźć cię po procesie. Co za układ zawarłeś? Bardzo szybko wydali korzystny dla ciebie wyrok. Zastanawialiśmy się, co mogłeś im powiedzieć.

Memo spojrzał w górę. Dario zobaczył jego tęczę.

– Wiesz, że propozycja, którą ci złożyłem, nadal jest aktualna? Nadal mogę ci pomóc. Nadal mogę cię od nich uwolnić.

– Raymond Lamar też ci ufał, prawda? Ufał ci aż do samego końca.

– To co innego – zaprotestował Memo. – Ty jesteś kimś innym. Naprawdę nie rozumiesz, że mogę ci pomóc?

– Nie – powiedział Dario. – Nie sądzę, żebyś mógł mi w jakikolwiek sposób pomóc.

– Nic o tobie nie powiedziałem. Tego bym nie zrobił.

– Doprawdy?

– Mówię ci samą prawdę.

– W końcu wyszło na to, że nie jesteś mi do niczego potrzebny, prawda? Żadnych narkotyków w barze, odciski palców Raymonda Lamara na mojej czterdziestce. – Dario umilkł na chwilę. – Cokolwiek im powiedziałeś, nie miało w końcu żadnego znaczenia.

– Nie powiedziałbym o tobie nic. Nikomu.

– Wiem – przytaknął Dario. – Ale i tak powiedziałeś za dużo. Wiele zmieniło się od czasu, kiedy rozmawialiśmy w zeszłym roku. Było, minęło. Pozostały doświadczenia, na których można się uczyć.

Wstał. Nie spuszczał wzroku z zakopanego w ziemi Mema. Otworzył teczkę, wyjął z niej mały skalpel. Kupił go w El Paso, zaraz po przekroczeniu granicy w Juarez. Na widok skalpela Memo zaczął rozpaczliwie kręcić głową. Próbował się bronić.

– Nie lubię tego – przyznał Dario – ale zdążyłem się przyzwyczaić. Będziesz naszym posłańcem.

Dario wyciągnął rękę, zacisnął palce na nosie Mema. Czekał, aż twarz mu poczerwienieje, a kiedy Memo otworzył wreszcie usta, wsunął w nie skalpel. Ostrze dokonało dzieła.

Podziękowania

Któregoś dnia w 2008 roku, kiedy jeszcze mieszkałem w Bostonie i pracowałem w restauracji, przyjąłem ofertę przyjaciela, Jamesa Fergusona. Pozwoliłem mu odwiedzić się do domu. Tydzień wcześniej James pojechał na licytację samochodów do New Hampshire. Przyjechał z niej nowym modelem Jeepa Cherokee. Skończyliśmy właśnie jedną z tych długich popołudniowych zmian, kiedy siedzi się na zapleczu i czyta niedzielne gazety albo gra w kości w małej szufladzie pod ekranem naszego restauracyjnego komputera. Nie muszę chyba tłumaczyć, że byliśmy w lekkim dołku po długim dniu pracy, w którym nie mieliśmy praktycznie nic do roboty, a więc nic też nie zarobiliśmy. Poza tym to James wygrał wszystkie partyjki gry w kości. Nie czułem się szczęściarzem.

Kiedy wsiadłem, powiedział, żebym zajrzał do skrytki na desce rozdzielczej. Jednocześnie ruszył. Jechaliśmy Commonwealth Avenue, a ja trzymałem w dłoniach małe czarne pudełko z jednym czerwonym guzikiem na wierzchu i z przewodami prowadzącymi do skrytki.

Na widok takich pudełek podejrzewam, że gdybyśmy rozpędzili jeepa do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, to może zdarzyłoby się coś wystrzałowego. Tak więc oczywiście przyci-

snąłem guzik, światła rozbłysły na całą przecznicę, migotały, jakbyśmy naprawdę musieli bardzo szybko gdzieś dojechać, tak więc wszyscy inni kierowcy ustępowali nam z drogi. Ten przełącznik świateł miał mnie przenieść w przyszłość tak, jak Marty'ego McFlya i doktora Browna. (Aha, gdyby ktoś się zdziwił, informuję, że przegraną w kości miałem spłacić wspomnieniem w *Podziękowaniach w Powrocie do przyszłości*).

Morał z tej historii brzmi: pomysły na powieści pochodzą z mnóstwa różnych źródeł, więc jestem winny podziękowania mnóstwu różnych źródeł. James podpowiedział mi początek powieści, o której istnieniu dowiedziałem się wiele lat później. Dzięki, James.

Przez dłuższy czas miałem wrażenie, że te różnego rodzaju pomysły biegają sobie po mojej głowie, czasami przystają i czekają na zmianę świateł, żeby znowu sobie pobiegać. Za to pragnę podziękować Reedowi i Tinie Waite'om, Paulowi Sullivanowi i Lizzie Stark, ludziom, którzy udostępni mi miejsce do pisania na tydzień, dwa tygodnie, nawet na kilka miesięcy. Dzięki temu mogłem uporządkować myśli, a także, co znacznie ważniejsze, przelać je na papier.

Dziękuję także i składam przeprosiny tym wszystkim, którzy szli ze mną na kielicha po długim dniu pisarskiej pracy, czyli wam, Danie Coxonie, Mitchu Cunananie, Carterze Sickelsie i Zachary Wattersonie. Jamesie Scotcie, dzięki za stałą ochotę na bourbona i pogaduszki. Chipie Cheeku, dzięki za to, że mogłem sprawdzać na tobie swe pomysły, i za to, że dzieliłeś się ze mną swoimi. Dzięki wam, że nie zwracaliście uwagi na to, jaki jestem opryskliwy, i na moje doprawdy fatalne zachowanie. I za nocę, kiedy pomagaliście mi znaleźć właściwą drogę.

Debby DiDomenico dziękuję za dodawanie odwagi koniecznej do zagłębiania się w gąszcz i jak zawsze dziękuję za to, że jesteś moją wierną czytelniczką. Tony'emu Matsonowi, Victorii Wang, Janowi Tureckowi i Hal-Bearowi dziękuję za wycieczkę na pustynie Nowego Meksyku, za budzenie się w pokrytym lodem namiocie, za radość z każdej minuty tej wyprawy (nawet jeśli zna-

czek Hal-Beara nie otwierał aż tak wielu drzwi, jak się spodziewaliśmy).

Za wszystko, co dla mnie zrobili, od początku do końca, jestem dłużnikiem personelu Sobel Weber and the Abner Stein Literary Agency. W Londynie Caspianowi Dennisowi, Arabelli Stein i Sandy Violette, w Nowym Jorku Julie Stevenson, Adii Wright, Kirsten Carleton i przede wszystkim Natowi i Judith, którzy przeczytali zbyt wiele wersji wstępnych tej książki, żebym je zdołał policzyć. Dzięki wam obojgu za wszystko. Wasze rady okazały się nieocenione.

Tę książkę pisałem dwa lata, czyli mniej więcej o rok dłużej, niż przewidywałem termin. Wydawnictwu Simon & Schuster U.K, dziękuję za nieustanne wsparcie i wiarę w owoce mej pracy, łanowi Chapmanowi, Francesce Main, Maxine Hitchcock i Clare Hey dziękuję za to, że jesteście najlepsi i zawsze dodawaliście mi odwagi. Peterowi Hammansowi z Niemiec, Takahiro Wakai z Japonii, Manuelowi Tricoteaux z Francji, Susan Sanderus z Holandii i wszystkim moim zagranicznym wydawcom bardzo, bardzo dziękuję za e-maile, rozmowy i wsparcie, które oferowaliście mi przez kilka ostatnich lat.

W Stanach Zjednoczonych pragnę podziękować mojemu redaktorowi Davidowi Highfillowi z wydawnictwa William Morrow za to, że zawsze był wobec mnie uczciwy, za zadawane pytania i za to, że w ogóle taki praktyczny z niego facet. Świat stał się lepszym miejscem, odkąd wiem, że jesteś gdzieś tam, świadcząc literackie dobre uczynki. Dziękuję Jessie Williams za to, że nie dała mi zbłądzić w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Laurze Cherkas i jej zespołowi korektorek dziękuję za sprawienie, że moja kiepska gramatyka nie wygląda aż tak kiepsko i za pozwolenie zastąpienia spójników przecinkami w zdaniach współrzędnie złożonych.

W ciągu kilku ostatnich lat sporo czasu spędziłem w podróży. Czuję się dłużnikiem miejsc, które odwiedziłem, i ludzi, których spotkałem. Justinowi St. Germainowi, którego spotkałem dawno temu, gdy obaj byliśmy kelnerami w Bread Loaf, dziękuję za polecenie mi *Dwóch złotych coltów* Oakleya Halla i za to, że po paru

latach nawrzeszczałeś na mnie, że jeszcze ich nie przeczytałem, choć wiedziałem, że powinienem. Miałeś rację. To świetna książka. Dziękuję wszystkim w Sewanee, zwłaszcza Kevinowi Wilsonowi, który mimo że jest człowiekiem bardzo zajęтым, znalazł czas, by pogadać ze mną o kolejnych książkach. Dzięki, nawet nie wiesz, jak bardzo było mi to potrzebne.

Podczas podróży wiele się nauczyłem: słuchając ludzi, rozmawiając z nimi, przerzucając się historyjkami. Nie sądzę, bym bez tego zdołał napisać tę książkę. Tak więc dziękuję Theakston Old Peculiar Crime Writing Festival w Harrogate, dziękuję Sewanee i Cuyahoga County Library za zafundowanie przelotu i zaliczkę, dziękuję stanowi Nowy Meksyk wraz ze wszystkimi, których tam poznałem. Ale największy dług zaciągnąłem – i winien jestem najgorętsze podziękowania – mojej żonie, Karen, znoszącej mnie bez słowa skargi ze wszystkimi tego konsekwencjami. Jeśli jej wierzyć na słowo, są to bardzo poważne konsekwencje.